

PAWEŁ FLESZAR



SMOOG

PAWEŁ FLESZAR

SMOG



Harper
Collins

Opracowanie graficzne okładki: kris3rdeye@icloud.com
Ilustracja na okładce: Adobe Stock; zdjęcie Mostu Kotlarskiego – Wojciech
Kaczówka

Redaktor prowadząca: Alicja Oczko
Opracowanie redakcyjne: Magdalena Mendys
Korekta: Monika Ulatowska

© 2023 by Paweł Fleszar
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2023

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości
dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób
rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins
Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody
właściciela.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
ul. Domaniewska 34a
02-672 Warszawa

www.harpercollins.pl

ISBN: 978-83-276-9374-7

Opracowanie ebooka
Katarzyna Rek

Pies miał ciemną sierść, od grzbietu do brzucha przechodzącą w szarą, z białymi łatami na piersiach i gardle. Kiedy podszedłem do kojca, przysunął pysk do siatki i patrzył na mnie z ciekawością. Żadnego szczekania, skakania, uderzania łapami o siatkę, merdania ogonem, wizgów i jazgotów. Parę tygodni później zachował się tak samo, gdy do ogrodzenia mijanego przez nas domu zbliżył się rasowy husky, z niebieskimi, magnetycznymi oczami. Wtedy jednak na co dzień nie był już taki opanowany; kilka razy omal mnie nie przewrócił, witając po powrocie z pracy, a pazurami porobił mi rany na tydkach, bo rzucił się również od tyłu.

– Wabi się Rico. Jest mieszańcem husky i owczarka niemieckiego. – Podeszła do mnie pracownica Czterech Łap, bardziej hoteliku dla zwierząt i domu tymczasowego niż schroniska, jak się reklamowali. Było mi to obojętne. W Mieście, gdzie pracowałem, miałem do nich najbliżej. – Na przełomie października i listopada skończy dwa lata. Od szczeniaczka miało go małżeństwo, które się rozwiódło. Mąż nie chciał psa, a żona nie mogła się nim opiekować.

Po rozwodzie, pasuje do mnie – pomyślałem. A głośno powiedziałem:

– Wezmę go.

– To praktycznie pierwszy pies, którego zobaczył pan, wchodząc do nas. – Dziewczyna uniosła brwi. Miała jasne włosy związane w luźny węzeł i czarny workowaty sweter. – Nie odradzam panu, ale może przejdzie pan wzdłuż kojców, obejrzy inne, utwierdzi się w swoim przekonaniu. Każdego do tego namawiam. Proszę potem przyjść do mnie do biura, podpiszemy umowę adopcyjną. Muszę pana zostawić, bo czeka tam na mnie facet, który chce adoptować kota. Jest jakiś dziwny...

Zastanawiałem się wcześniej nad kotem. Koty podobno są dobre na stres. Jednak po historii z Marzeną nie wytrzymałbym w tym samym mieszkaniu z kolejną wyrachowaną, egoistyczną istotą.

Nie miałem ochoty zwiedzać schroniska, oglądać nieszczęśliwych zwierząt, które tu zostaną. Postąpiłem chwilę obok Ryśka (jak go przechrzcilem), przez siatkę pogłaskałem go dwoma palcami po nosie, rzuciłem: „zaraz wracam” i poszedłem do biura.

Tam napięcie było wyczuwalne już od progu.

– Proszę pana, karmimy dobrymi karmami, więc jeśli ktoś chcący zaadoptować jednego kota, nie jest w stanie zapewnić mu karmy lepszej jakości, to lepiej niech zrezygnuje – dziewczyna wpadała w ton oficjalny. – Nie wydajemy również kotów na wieś do łapania myszy. Bo owszem, kot może zamieszkać na wsi, ale w domu, a nie w stodole, i ma być normalnie karmiony, a nie łapać myszy i żywić się tylko nimi.

– Szanowna pani, takie pięknoduchy jak pani byłyby irytujące, gdyby nie były tak bardzo zabawne. – Mężczyzna około pięćdziesiątki wystawiał się starannie, wręcz elegancko, z czym kontrastowała jego sfatygowana marynarka i wystający, wystrzępiony kołnierzyk koszuli. – Kot nie jest zwierzęciem domowym, ale zaledwie udomowionym. Jest bardzo inteligentny, więc dla swojej wygody dostosował się do oczekiwań człowieka. Ale Bóg czy też natura, zależnie od tego, w co pani wierzy, dały mu instynkt łowiecki. Stworzyły go jednym z najbardziej okrutnych drapieżników. Zastanawiała się pani kiedyś, co znaczy to popularne powiedzonko: „bawić się jak kot z myszą”? Widziała pani, jak kot bawi się ze złapaną myszą? Straszyc ją mianowicie, a śmiertelnie przerażona mysz produkuje więcej adrenaliny, która poprawia smak mięsa. To na pewno nie jest sucha karma, ale większość waszych podopiecznych przedłożyłaby ją nad tę, którą im serwujecie.

Pracownica schroniska coraz mocniej czerwieniała na twarzy, na zakończenie oracji wstała i już, już podnosiła rękę, aby pokazać mu drzwi, ale zmytygowała się i wycedziła tylko:

– Życzę panu powodzenia w poszukiwaniach rasowego drapieżnika, ale prowadzonych na łonie natury. Tutaj go pan nie znajdzie.

Mężczyzna nic nie odrzekł, odwrócił się na pięcie, a przechodząc obok mnie, mruknął: „pięknoduchy”.

– Przepraszam, ale właśnie osiągnęłam poziom sześć, sześć, sześć – prychnęła dziewczyna. – Zdecydował się pan na Rico? Może jeszcze weźmie go pan na spacer? Właściwie od razu powinnam to zaproponować.

– To chyba zbyt wiele. Nie chcę zabierać pani zbyt wiele czasu.

– Przepraszam, zaraz ochłonę i dopełnimy formalności. Nie spodziewałam się, że nawet w tej pracy może być tak nerwowo. No cóż, tylko czekolada mnie rozumie i kocha. – Uśmiechnęła się znacząco.

Nie zastanawiałem się nawet, czy to zaproszenie do niezobowiązującego flirtu. Przez ciąg skojarzeń szybko przebyłem drogę od czekolady do Marzeny i kiedy pracownica schroniska tłumaczyła zasady przysposobienia zwierzaka, sformułowania umowy adopcyjnej oraz wymagania stawiane przez schronisko, wyłączyłem się, wspominając, jak w pierwszych miesiącach związku planowaliśmy wspólną przyszłość. Pół żartem, pół serio uznaliśmy, że w weekendy będziemy samowystarczalni, między innymi w sferze kulinarnej. Miałem gotować „na słono”, a ona „na słodko”. Wywiązywałem się z ustaleń, ale nie doczekałem się żadnego z obiecywanych przez nią ciast. Wyjątkiem były kobiece dni, przed których nadejściem jadła wszystko i to na ogół naraz. Na co dzień mania bycia fit przerodziła się u niej w obsesję. Jej wizyty na siłowni zabierały nam coraz więcej wieczorów, deserem zaś można było ją straszyć, a co dopiero namówić do upieczenia czegoś. Wreszcie przestała jeść również moje obiady, bo były zbyt tłuste, więc zacząłem gotować według wskazań apostołek zdrowego stylu życia. A odkąd Marzena odeszła, włączałem gaz tylko pod wodą na herbatę, a jedyne ciepłe posiłki jadałem w małym bistro obok firmy.

ROZDZIAŁ 1

1

Słyszac przyspieszony, płytki oddech, dyspozytorka Krakowskiego Pogotowia Ratunkowego uznała, że będzie to jeden ze stalkerów seksualnych dyszących do słuchawki, a potem opowiadających sprośności. Sytuują się oni na przeciwnym biegunie do starszych, staroświeckich panów, którzy poetycko nazywają dolegliwości oraz części ciała, nie chcąc urazić uszu słuchającej kobiety, a może i swoich ust. „Zawodzi mnie hydraulika, szanowna pani”.

Na stalkera wskazywał również fakt, że dzwonił bezpośrednio na dziewięć, dziewięć, dziewięć – obsługa numeru sto dwanaście spuściłaby go wcześniej po brzytwie.

Mężczyzna po drugiej stronie słuchawki przełknął ślinę, a kiedy wydobył z siebie chrapliwy głos, zrozumiała, że nie będzie to jeden z setek bezsensownych, absurdalnych telefonów, stanowiących niemal jedną trzecią zgłoszeń. Zamówień pizzy (albo tylko keczupu, który się skończył), skarg na zablokowany telefon (na numery alarmowe można dzwonić bez karty, PIN-u czy doładowania), pytań o najbliższą aptekę albo: „jak ja mam zażywać te białe tabletki?”. Spowszedniało jej też traktowanie jak zegarynkę.

- Proszę pani, chciałem zgłosić wypadek.
- Tak, z jakiego adresu pan dzwoni?

– Ale może opowiem, co się dzieje, bo ten gość to już chyba trup.

– Proszę podać adres zdarzenia. – Tego zawsze musieli dowiedzieć się najpierw, w razie gdyby zgłaszający nagle się rozłączył i trzeba było szukać ofiar.

– Smocze Apartamenty. Adres: Rakowicka 44D, ale na tyłach, za Karmelitami Bosymi i dalej.

To się zgadzało; na wypełniającej ekran mapie z lokalizacją dzwoniącego numeru widziała czerwoną kropkę mrugającą w centrum miasta, nieopodal cmentarza Rakowickiego i Uniwersytetu Ekonomicznego.

– Ile osób jest poszkodowanych?

– No, jeden facet, jak mówiłem. I jeszcze jest jego kobita, która mi tu trochę świruje – przy drugim zdaniu mężczyzna ściszył głos.

– Co się dzieje? – przeszła do właściwego wywiadu medycznego.

– No, facet dostał jakiegoś ataku i ta pani Laura przybiegła do mnie, że nie oddycha i nawet jak mu lusterko przystawia, to nie ma na nim pary.

Dyspozytorka odbierała zgłoszenie przez zestaw słuchawkowo-mikrofonowy, wolnymi rękami na bieżąco notowała na klawiaturze otrzymane informacje. Z każdej rozmowy musiała powstać notatka, ale nawet jeśli rozmówca twierdził, że poszkodowany być może nie żyje, byli zobowiązani wysłać karetkę.

– Czy poszkodowany jest przytomny?

– Yyy... no nie, wie pani, on leżał u siebie w mieszkaniu i... – Mężczyzna wypowiadał swoje kwestie ciężko, z przydechem, ale teraz na dodatek jego głos przybrał dwuznaczny ton. – No i ta pani Laura przyszła do mnie po pomoc, na recepcję. Bo ja jestem tu ochroniarzem.

– Czy poszkodowany oddycha?

– Nie, no mówiłem, że nie oddychał już, jak mu lusterko przystawiała.

– Czy wykonał pan masaż serca lub sztuczne oddychanie?

– Tak, masowałem go, ale to nic nie dało. Chyba kipnął. A usta-usta to ja się brzydzę z facetem, wie pani...

Przesłała elektroniczną Kartę zlecenia wyjazdu do dyspozytora wysyłającego.

– Proszę kontynuować masaż aż do przyjazdu karetki – powiedziała do dzwoniącego mężczyzny.

– Nno tak, ale ja nie jestem już tam w mieszkaniu. Musiałem wyjść, bo ta pani Laura zaczęła spazmować i latać po budynku. Dzwonię do pani z recepcji.

Według przepisów, nie powinna się rozłączać ze zgłaszającym zdarzenie aż do przyjazdu karetki, ale widziała, że mężczyzna dzwoni z numeru stacjonarnego.

– Proszę w takim razie wrócić do mieszkania i kontynuować masaż klatki piersiowej. Zgłoszenie przyjęte, proszę czekać na karetkę.

Jeśli nie zaplanowano akurat ustawki kibiców Wisły i Cracovii, nocny dyżur z niedzieli na poniedziałek jest zazwyczaj najspokojniejszy w tygodniu. Dyspozytor wysyłający rozporządził kilkoma wolnymi załogami czekającymi w bazie przy Łazarza, ale na Karcie zlecenia widniała adnotacja „nagle zatrzymanie krążenia”. Wprawdzie czas wyjazdu w Kodzie 1 wynosił sześćdziesiąt sekund, jednak karetka na SOR-ze przy Wrocławskiej właśnie włączyła status „gotowy”, więc zareaguje szybciej. Wysłał zlecenie do nich.

Akurat zdali pacjenta na sortowni i wsiedli do karocy, kiedy rozległ się elektroniczny gong, anonsujący pojawienie się Karty zlecenia na przyczepionym do deski rozdzielczej tablecie. Janusz klepinięciem potwierdził przyjęcie, otworzyło się okno dialogowe z danymi. Nagłe zatrzymanie krążenia, trzydziestokilkuletni mężczyzna, Rakowicka 44 – wyćwiczone oko przesuwawało się po kluczowych informacjach.

– No to hajda, do pompki! – krzyknął Mariusz, włączając błyski i wyjeżdżając na Wrocławską z bramy Wojskowego Szpitala Klinicznego.

Druga w nocy, pusto, więc przynajmniej nie będzie się pchał „na żyłetki”, w każdą minimalną choćby przerwę między samochodami, ale nie zdejmie nogi z gazu, wjeżdżając na czerwonym świetle na skrzyżowanie. Nigdy nie zdejmował, chyba że musiał depnąć na hamulec. Był nieformalnym rekordzistą krakowskiego pogotowia w liczbie dzwonów i stłuczek. Z litery prawa w sądzie orzeka się winę stangreta; trzeba wszystko brać na klatę, mimo że często to tamci kierowcy nie odsunęli się bądź zajechali drogę, ale Mario ma swoje za uszami. Sława niektórych jego wyczynów za kółkiem dotarła nawet do szefostwa i kilka razy zabrali mu premię.

– Po co się tędy pchasz? Przecież na ekranie masz trasę przez 29 Listopada i Prandoty – warknął na niego, widząc, że ze Słowackiego zjeżdża w dół, ku Pawiej. Król życia, cholera jasna; wszystko musi robić po swojemu, nawet pomarańczowy polar odwiesza zwykle na oparcie siedzenia i póki nie zrobi się zimno, wbrew przepisom o oznakowaniu systemu pogotowia, paraduje w czarnym T-shircie.

– Spoko, luz, nie bądź Januszem. Od tej strony będzie bliżej.

– GPS nie zna tej drogi?

– Nie jest chyba jeszcze oficjalnie otwarta. W zeszły weekend odprowadzałem Wiołkę na dworzec i jechałem tamtędy później, to

wiem. Rakowicka dochodzi do nowego ronda.

Po wyjeździe z tunelu nawinął w lewo, dodał gazu na Wita Stwosza, przyhamował, skręcił w prawo, dodał gazu i zatrzymał się z piskiem hamulców tak gwałtownie, że tył furgonetki mercedesa nieomal się podniósł. W świetle reflektorów widać było blokujące rondo podłużne betonowe bloki, z żółtym pasem u wierzchu. Po lewej mieli parking, za nim w głębi Muzeum Armii Krajowej, do którego należał.

– Nie porucham w tym odcinku – fuknął Mariusz.

– A może chcesz wyjść i je poodsuwać? Nie powinny ważyć więcej niż po sto kilo.

– Nie wpieniam mnie przynajmniej dzisiaj.

Mieli po kilkanaście lat stażu w pogotowiu, obaj na etacie, więc w miesięcznym grafiku dyspozytor dość często umieszczał ich razem. Byli jak Paweł i Gaweł, a gwarantowane przyływy antypatii następowały w takie soboty jak wczorajsza, kiedy wypadł im wspólny dzień gospodarczy. Pomiędzy wyjazdami musieli wypucować od A do Z cały samochód. Karetka jest sprzątana na bieżąco, codziennie, ale i tak mogą się w niej znaleźć wszelkie płyny ustrojowe, naturalne bądź nie, jakie pacjent jest w stanie wypuścić z siebie dowolnym otworem ciała, plus produkty otaczającego go życia. A Mario nie jest fanem czyszczenia wszystkich zakamarków, póki nie zajeżdża z nich zgnilizną albo bakterie nie szarżują na niego w szyku bojowym.

Obrażony Mariusz przeleciał Lubomirskiego, na zakazie skręcił w lewo w Rakowicką i od razu w lewo za kościołem Karmelitów. Na końcu wąskiej odnogi ostro zawrócił, zostawiając za plecami feralne rondo, z tej strony też zamknięte rzędem betonowych brył. Po lewej mieli budynek z szyldem Rakowicka 44D i czymś na kształt neonu – Smocze Apartamenty – u szczytu; po prawej – wykopki pod fundamenty, a dalej blok dociągnięty do dachu, ale ze

ślepych oczodołami okien. Perspektywę uliczki, za fragmentem zabytkowej siedziby Uniwersytetu Ekonomicznego, zamykał jaśniejący na tle granatowego nieba Szkieletor. A raczej – były Szkieletor, prawie zupełnie już wyszykowany.

Zaparkowali na placu za wjazdem do parkingu podziemnego. Mariusz nałożył niebieskie nitrylowe rękawiczki. Janusz miał je już na rękach; zabrał tablet z deski rozdzielczej i zarzucił plecak z lekami, zestawem do intubacji, opatrunkami, płynami, strzykawkami, igłami, słuchawkami. Łącznie z piętąście kilo.

– A może tym razem ty weźmiesz armatę? – wyszczerzył się do niego szyderczo Mariusz, wskazując kilkunastokilogramowy defibrylator, wyglądający jak przenośny telewizor.

Zignorował go. Kręgosłup sypał mu się od roku, kiedy skumulowały się efekty wieloletniego, codziennego dźwigania ciężarów, urozmaicanego nieczęstymi, ale dobijającymi występami w konkurencji olimpijskiej – znoszeniem otyłego pacjenta na krzeselku z czwartego piętra bez windy, wąską klatką schodową.

Budynek miał kształt odwróconej litery C, na podwórze wiodła zamknięta bramka, ale w rogu widać było oszkloną recepcję. Ruszył do niej, Mario podreptał za nim z armatą i siedmiokilową butlą z tlenem. Za kontuarem pusto, wjechali na piąte piętro, oznaczone olbrzymią cyfrą na popielatoszarym tle. Nie musieli szukać numeru mieszkania podanego na tablicie, z pewnością były to uchylone drzwi na końcu korytarza, tuż przy drugiej windzie.

Pomieszczenie rozjaśniały tylko przyćmione światła wbudowane w ściany. Na skraju dużego, okrągłego łóżka siedział mężczyzna, który wyglądał, jakby opadł tam, bo nie mógł utrzymać się na nogach. Szczupły, szpakowaty, czerwony na twarzy, podniósł aparat telefoniczny do okularów bez oprawek, ale najwyraźniej nie mógł trafić w klawisze. Przy ścianie, odsunięta od

niego najdalej, jak się dało, stała bardzo blada kobieta, z kontrastującymi intensywnie ciemnymi, zmierzwionymi włosami. Miała szybki oddech, dłońmi obejmowała gardło, jakby się dusiła. Typowa reakcja nerwowa. Była ubrana w nieporządnie zawiązany biały szlafrok, pod nim chyba nic nie miała albo tylko bieliznę, bo w rozchyleniu warstw materiału ukazywało górny fragment nagiego uda. Janusz odwrócił wzrok. W tej cholernej robocie już nawet pożądania się nie czuje.

– To pan jest pacjentem? – zwrócił się do siedzącego mężczyzny.

– Nnnnie... nieee – odpowiedział tamten zdławionym głosem. – Ja... ja jestem ochroniarzem, przyszedłem tu, jak mi kazała ta pani z pogotowia, żeby kontynuować masaż. Przyniosłem nawet telefon, żeby się z nią połączyć. A człowieka nie ma. Nie ma.

– Jak to nie ma?! – Mariusz był dużo lepszy w socjotechnikach od niego, już na progu umiał rozładować napięcie, ale tym razem nie potrafił się znaleźć. Zadał to pytanie i nawet nie zamknął ust.

– Nie ma. Tu leżał. Tu. – Mężczyzna wskazał łóżko za sobą. – Nogi mu z brzegu zwisały. Ale poprawiłem. Wyłożyłem na wierzch. Nie mógł spaść. Zresztą wszędzie sprawdziłem, zaglądnąłem wszędzie.

Mówił krótkimi, urwanymi zdaniami, jakby brakowało mu tchu. Za chwilę okaże się, że przytargany sprzęt jednak się przyda...

– Kiedyś pojechałem w zespole z lekarzem, do słuchacza płyt chodnikowych, którego nie zastaliśmy, gdzieś zniknął. Za to kawałek dalej leżał inny poszkodowany. Lekarz uznał, że sztuka jest sztuka i zabraliśmy tego drugiego leżaka. – Mario najwyraźniej ochłonął, bo mówił tonem konwersacyjnym. – Ale pacjent widmo jeszcze nigdy mi się nie trafił.

Kobieta wydała zduszony okrzyk i wybiegła z pokoju. Gdzieś rozległ się trzask zamykanych drzwi.

– Trzeba dzwonić po pały – powiedział Mariusz, oglądając się za nią. Wyjął telefon, wybrał numer dyspozytora medycznego, który według regulaminu wzywa policję.

– Jesteśmy pod adresem, ale zniknęło ciało – zdążył powiedzieć, kiedy dobiegły ich stuki, szuranie, krótki ostry krzyk, jak przestachu, i łomot przewracanego sprzętu. Janusz miał koncepcję, co tam się może dziać. Pobiegł do przedpokoju. W niedużym, matowym oknie drzwi jaśniało światło.

– Niech się pospieszą, jest następna awaria! – usłyszał z tyłu wołanie nadbiegającego Mariusza.

Szarpnął drzwi, niemal uderzając nimi kolegę, kiedy się otworzyły. Kobieta wisiała na pasku od szlafroka zaczepionym o wieszak na ubrania. Rozchylone poły wyjaśniały, że pod spód założyła króciutką, prześwitującą koszulkę na ramiączkach, podwiniętą aż po biodra. Nie ruszała się, stopami i łydkami zgiętych w kolanach nóg dotykała posadzki. Janusz podniósł ją, aby poluznić zacisk. Owionął go zapach wanilii. Tymczasem Mario rozsypływał pasek na jej szyi. Położyli samobójczynię na łazienkowych płytkach i podjęli reanimację. Po kilkunastu minutach zaczęła odzyskiwać przytomność, wtedy też zjawili się niebiescy. Pierwsza weszła ta blondynka, z którą zetknęli się latem, podczas akcji w Galerii Krakowskiej.

3

Trudno było rozpoznać sytuację, a zastane w mieszkaniu osoby w tym nie pomagały. Jeden z ratowników klęczących nad ułożoną na podłodze kobietą skinął im tylko głową. Wokół walały się bambetle: wysoki plecak, sprzęt przypominający przenośny telewizor, butla.

– W samą porę – powiedział drugi ratownik, w czarnym T-shircie. – Sorry, dajcie nam chwilę, musimy dokończyć reanimację. W sypialni macie świadka.

Zajrzeli do obszernego salonu, otwartego na kuchnię. Duży, okrągły stół, niska ława, obicia foteli i krzeseł, stolik pod telewizor, tak jak i wystrój kuchni – były orzechowe. Nie było tam jednak nikogo. Kolejne drzwi prowadziły do sypialni, z białymi ścianami, białymi szafami i szafkami nocnymi. Na krawędzi białego łóżka siedział mężczyzna w białej koszuli, jaką zazwyczaj noszą ochroniarze. Popatrzył na nich tępo i nie odezwał się. Światło w pokoju było słabe, Klaudia znalazła na ścianie przełącznik i suwakiem zwiększyła jasność do trzech czwartych skali. Na stoliku przy głowach łóżka stała kanciasta butelka z czarną etykietą Jack Daniels, poniżej wyzierał bursztynowy płyn. Żadnych szklanek, za to pusty talerzyk z ciemnego, nietłukącego szkła.

Wacek Koziński postąpił w kierunku mężczyzny na łóżku, a ona wróciła do przedpokoju, skąd trafiła do ostatniego pomieszczenia – niedużego, pełniącego funkcję gabinetu bądź pracowni. Nie było tu łóżka, od białych jak wszędzie ścian odcinały się czarne meble: rozłożyste biurko pod oknem, ze srebrzystym laptopem na blacie, krzesło biurowe na kółkach, przeszklone szafy biblioteczeki zajmujące dwie dłuższe ściany oraz dwa foteliki przy niskim stolyczku do kawy, usytuowane pod ścianą przeciwną do okna.

Po bliższych oględzinach uznała, że to właściwie nie biurko, ale niski, masywny, wąski i długi stół z szafką z szufladami po lewej stronie oraz czarnym urządzeniem wielofunkcyjnym, jakie sami mieli w domu, z drukarką, skanerem, ksero, a może i faksem – po prawej. Nad stołem, jak zgrzyt w tych minimalistycznych, stylowych wnętrzach, wisiał na ścianie kolorowy wydruk formatu A4, z kotem buraskiem o śmiesznej minie i wytrzeszczonych oczach oraz nagłówkiem:

A poniżej, od krescekek:

- *Powinni pracować, ale prawdopodobnie akurat mają drzemkę.*
- *Gapią się na ciebie i nikt nie wie, o czym myślą.*
- *Mają reputację uroczych i okrutnych jednocześnie.*
- *Znikają na wieki i nagle pojawiają się, oczekując jedzenia.*
- *Prędzej czy później okazuje się, że myślą o zabiciu wszystkich.*

Dołem kartki, na pasku, biegł jeszcze jeden napis:

Nie jestem statystycznym Polakiem, lubię czytać książki.

Wróciła do sypialni, leniwie zastanawiając się, dlaczego ten ni to mem, ni to plakat wydawał się gospodarzowi aż tak śmieszny. Potem było jej głupio, że nie skojarzyła od razu.

Za to Wacek zdołał odkorkować faceta na łóżku.

– Pan nazywa się Roman Doroz, jest tutaj ochroniarzem – zwrócił się do Klaudii wyjaśniającym tonem. – Właściciel mieszkania, któremu udzielał pomocy i który zniknął, to Daniel Kasprzak, a tamta kobieta ma na imię Laura. – Wskazał kciukiem pomieszczenie za ścianą. – Pan Doroz nie zna jej nazwiska, ona nie jest żoną Kasprzaka.

Wciąż otwarte było zagadnienie, czy starszy aspirant Waław Koziński jest właściwym dla niej partnerem, czy jednak jego zachowania doprowadzą ją w przyszłości do wybuchu. Bez szemrania zaakceptował służbowe polecenie wzięcia jej do patrolu, cierpliwie znosił kpiące pytania kolegów, czy się ubezpieczył, sam nie żartował z Klaudii i nie odnosił się do niej jak do trędowatej. Jednocześnie, o niespełna dziesięć lat starszy, traktował ją jak córkę, która uciekła z domu i choć wróciła – trzeba być wobec niej wyrozumiałym, ale stanowczym, sporadycznie

nawet surowym. Nigdy nie wpuścił jej za kierownicę; w innych czynnościach wyznaczał jej ramy, zadania. Nie podważał jej kompetencji, ale zawsze egzekwował wykonanie, niekiedy sprawdzał. Kontrola najwyższą formą zaufania.

W drzwiach od salonu stanął ten ratownik w czarnym podkoszulku. Klaudia zetknęła się z nim i jego kolegą latem, ale chyba nawet nie poznała ich imion.

– Noc w 3D: do dupy, w dupie, z dupy – powiedział, opierając się o futrynę i splatając ręce na piersiach. – Pacjentkę mamy ogarniętą, wieziemy ją do szpitala.

Wacek wertował notes.

– Janusz Pacuła i Mariusz Musiał, tak? – Zapisywał w nim wszystko, a na dodatek potrafił to później znaleźć.

– Tak, ja to Mario, a Jasiek tylko czasem jest Januszem – odpowiedział czarny podkoszulek. – Miło, że pan zanotował w swoim czasie nasze personalia, niestety nie mogę zrewanżować się tym samym. Jak godność państwa?

– Starsza aspirant Klaudia Bator, starszy aspirant Wacław Koziański. Gdzie chcecie ją zawieźć? – Jej partner był tak rzeczowy i konkretny, że gasił wszelkie dowcipy i surrealistyczne rozmówki. Tym również drastycznie różnił się od poprzedniego.

– Po wyhuśtaniu muszą ją najpierw zbadać na SOR-ze.

– W porządku, przyjedzie tam patrol, jutro też ktoś się zjawi u was.

– O siódmej rano zaczynamy czterdziestoosmiodzinne wolne.

– To dobrze, łatwiej znajdziecie czas, żeby odpowiedzieć na pytania policji. Możecie już jechać.

– Ja też muszę się zbierać, bo recepcja pusta. – Doroz się podniósł. Wyglądał już zdrowiej i tak też mówił, ale w jego głosie pobrzmiwało echo bólu, komponujące się z rumieńcami na twarzy.

– Nie tak szybko – wyhamował go Koziński. Usiądzie pan ze starszą aspirant Bator i ustalicie chronologię oraz dokładny przebieg znanych panu zdarzeń. Zanim to zrobicie, starsza aspirant Bator przetrzepie jeszcze szafy w mieszkaniu. Ja w tym czasie zajrzę na recepcję, czy nic się tam nie dzieje, zbadam drogi ewakuacyjne i spytam sąsiadów, czy ktoś nie widział Kasprzaka.

Typowe. Przy ludziach nigdy nie mówił o niej inaczej, niż używając pełnego stopnia i nazwiska. Dostała odpowiedzialne zadanie, ale wybierając z dwóch wchodzących w grę, dał jej takie, które wymagało mniejszej ilości kontaktów z ludźmi i ograniczało możliwość narobienia poruty. To określenie z jego słownika.

W szafach nie znalazła gospodarza, nawet jego ciuchy stanowiły najwyżej połowę ogólnej ilości. Reszta to rzeczy damskie – Laura zdążająca w tej chwili do szpitala musiała przebywać tu na stałe. Dlaczego więc ochroniarz nie znał jej nazwiska? Chyba że mieszkała tu inna kobieta. Od tej wątpliwości zaczęła rozpytywanie Doroza.

– Ja tu od września pracuję i tylko parę razy ją widziałem – odparł. – Musiałem się przebrzmować, wie pani. Wcześniej robiłem w hucie i mi powiedzieli, że jak odejdę, to dostanę odprawę. Wtedy było żal, ale teraz to jestem zadowolony, bo okazało się, że jednak się spełni, co dawniej mówili, i będą wygaszać wielki piec, pewnie pani słyszała. A że mam trochę kłopotów zdrowotnych, to będę się starał o rentę, a tu se dorobię. Niezła praca, tylko dzisiaj...

– Tak, właśnie o tym będziemy rozmawiać – przerwała mu. – A Daniela Kasprzaka zdążył pan poznać?

– Jego akurat tak, chociaż my tu mamy cztery duże budynki pod ochroną, w ramach jednego ogrodzenia, i tych ludzi trochę jest. Poza tym nikt, nawet ci, co mieszkają w tym bloku, nie musi przechodzić przez recepcję; tylko przez bramkę na podwórze

i każdy na swoją klatkę schodową. Wystarczy znać PIN do bramki albo zadzwonić domofonem do mieszkania. No i otworzyć bramkę z klucza też można, ale teraz już mało kto klucz nosi.

– Jak pan poznał Kasprzaka?

– Parę tygodni temu przyszedł, powiedział, że wyjeżdżają do Grecji, i prosił, żeby zwrócić uwagę na jego mieszkanie, czy jakiego włamania nie było. Chociaż tutaj dobrze strzeżone wszystko i ludzie spokojni, przez te niecałe dwa miesiące, jak pracuję, nie było żadnego przestępstwa na całym osiedlu.

– To był jedyny kontakt z Kasprzakiem?

– Nie, jeszcze jak wrócił, to przyszedł na recepcję podziękować i zostawił dwieście złotych. Taki szcudrak. Ładnie się zachował, ja też, bo się podziękowałem z kolegami, co też mieli dyżury w tym czasie. Na czterech to wypadło po pięć dych. Jak skończyłem zmianę, poszedłem do spożywczego hipermarketu w galerii, a wyszedłem bez nich. Z małą reklamówką zakupów.

Szlag, facet ciągle jej uciekał. Rozluźnienie po przeżytych stresie i wzmożonej produkcji adrenaliny owocowało u niego gadulstwem.

– Proszę opowiedzieć o dzisiejszych wydarzeniach. O której to się zaczęło?

– Dzisiaj to w ogóle widziałem ich po jedenastej wieczorem. Zacząłem zmianę o osiemnastej, nie widziałem, jak wychodzili, ale potem akurat spojrzałem, jak wchodzili przez bramkę.

– Sami?

– Tak. Nigdy nie widziałem z nimi nikogo.

– Nikt ich nigdy nie odwiedzał?

– Nie na mojej zmianie, nikt nie pytał o nich na recepcji. Ale mówiłem, że wejść można przez bramkę, byle się opowiedzieć przez domofon mieszkańcom.

– Wróćmy do trwającej nocy. O której został pan zaalarmowany o wypadku Daniela Kasprzaka?

– No nie wiem, gdzieś przed drugą było. Teraz która jest?

– Trzecia dziesięć.

– To już by z półtorej godziny minęło? Szybko przeleciało na tym wariactwie. No, przybiegła wtedy do mnie ta pani Laura, na bosaka, w takiej kusej koszulinie, przez którą wszystko było widać... Właściwie to wtedy pierwszy raz usłyszałem, że ma na imię Laura. Przedstawiła się, ale nazwiska nie zrozumiałem. Histeryzowała, że Kasprzak nieprzytomny, że jak mu lusterko przystawiła, to oddechu nie stwierdziła. Poszedłem za nią, co było robić. A on... on...

Ochroniarz dziwnie się zacukał.

– O co chodzi?

– No bo nie wiem, jak to powiedzieć. Kobiecie, i to jeszcze policjantce. Facetowi to bym umiał.

– Proszę się nie przejmować i opowiedzieć mi jak mężczyźnie.

– No bo jak to się stało, to chyba się ciupciali. Już w windzie poczułem, jak od niej pachnie cipką, a jak wszedłem do pokoju i podszedłem do łóżka, to jeszcze mocniej ten zapach było czuć. Ale on był zupełnie nieruchomy. Najpierw wydało mi się, że ma zielonego fajfusa, co mu na udzie leżał, ale to gumę miał jeszcze nałożoną. Robiłem mu ten masaż serca, ale nie mogłem się skoncentrować przez to wszystko. Tylko że to i tak nic nie dało, gość w ogóle nie reagował. Pulsu nie namacałem, ani na szyi, ani na nadgarstku. Mówię do niej, że on już trup, nie wskrzeszę go, a ta wypadła z krzykiem na korytarz. Dobrze, że wcześniej szlafrok założyła, to prawie goła nie latała w środku nocy po budynku. To porządny dom, apartamentowiec. Pobiegłem za nią, żeby nie świrowała, ale złapałem ją dopiero na dole, a ona, że trzeba wezwać pogotowie, bo oni mu pomogą.

– Czemu nie wezwał pan pogotowia z mieszkania Kasprzaka?

– Nie pomyślałem o tym wtedy, najpierw go reanimowałem, a potem uznałem, że nieżywy.

– Co się stało po wezwaniu?

– Ta pani z pogotowia kazała mi wrócić do mieszkania, a jak tu przyszedliśmy, to się okazało, że ciała nie ma. Człowieka nie ma.

– Ile czasu minęło pomiędzy pańskim wyjściem z mieszkania a powrotem do niego?

– A bo ja wiem, z dziesięć minut, piętnaście? Piętnaście to góra. Nie patrzyłem w ogóle na zegarek przez ten zamięch.

– Jest pan pewien, że zgon Kasprzaka nastąpił, kiedy pan skończył masaż serca?

– Mnie się zdaje, że zgon nastąpił, zanim zacząłem. Lata temu miałem szkolenie BHP w hucie, uczyli nas pierwszej pomocy, jak sprawdzić tętno. Jakieś pojęcie o tym mam. Jeszcze ciepły był, ale bez życia, jak te ruchome schody przy dworcu, tylko że nie aż tak dawno. No i pulsu nie namacałem potem.

Klaudia wysłała Doroza na recepcję, skontaktowała się z kolegą przez radio. Kazał jej poczekać, aby ciągle ktoś był w mieszkaniu. Przyjdzie niedługo i razem je zabezpieczą.

Wędrowała wzdłuż oszklonych szafek, oglądała grzbiety okładek. Rozpoznawała część autorów, niektóre tytuły, większość jednak była jej obca. Już minęła tę półkę, kiedy dotarło do niej, że widniało tam nazwisko, które usłyszała dzisiaj, i nawet je zanotowała. Zrobiła pół kroku wstecz, przed jej twarzą stało sześć tomów opatrzonych nazwiskiem Daniel Kasprzak o tytułach: *Ogień, Woda, Papier, Ziemia, Powietrze, Smog*.

ROZDZIAŁ 2

1

Podwieszony pod sufitem tramwaju ekran wyświetlił ciąg nazw. *Najbliższy przystanek: Kabel – następny przystanek: Dworcowa – drugi następny przystanek: Cmentarz Podgórski.* Pod spodem na pasku biegły zwyczajowe, powszednie informacje: *środa, 23 października, 296. dzień roku, do końca roku pozostało 69 dni, imieniny obchodzą Marlena i Seweryn, zachmurzenie umiarkowane, temperatura do 20 stopni Celsjusza, stan powietrza zły.*

Tramwaj ruszył, komisarz Wit Nawrocki odwrócił się od okna, za którym zostali biegający na boisku treningowym piłkarze Cracovii. Oparł się o szybę i oddał codziennej zabawie. Naliczył dziewięć smartfonów, dwie książki i gazetę, a także jeden wynik nieokreślony – kolorową gazetkę reklamową dyskontu spożywczego. „Dwudziestka czwórka” składała się zwykle z jednego długiego pociągu, więc liczył współpasażerów w zasięgu wzroku. W wagonie starego typu, byle niezatłoczonym, był w stanie zweryfikować wszystkich podróżnych. Dzisiaj, późnym rankiem, całkiem niezły wynik książek, kilkanaście procent, na ogół jest gorzej. Wcześniej rano lub po południu, kiedy do i z pracy jedzie starsza populacja, byłoby nieco więcej gazet. Choć i to bez przesady, zresztą jest kilka takich godzin w ciągu dnia, zwłaszcza w autobusach, że nie da się gazety rozłożyć.

Czy mężczyzna po czterdziestce jeżdżący tramwajem jest nieudacznikiem, romantykiem, ekoentuzjastą czy pragmatykiem? Na pewno można to sobie zracjonalizować ceną benzyny, epickimi korkami panującymi w mieście oraz wiecznymi i nieusuwalnymi jak Wawel, tylko bardziej niż on mobilnymi, remontami. A także smogiem, do którego nie chce dokładać swojej cegiełki.

Nie zmieni to jednak faktu, że w ciągu kilku ostatnich miesięcy życie kompletnie mu się rozsypało.

Dochodzenie wewnętrzne zakończyło się korzystnym, choć kuriozalnym orzeczeniem, że nie popełnili błędów w majowym śledztwie, choć się pomylili... Media i opinia publiczna też uznały, że karę ponieśli winni.

Sprawa jeszcze nie poszła do sądu, ekspertyzy biegłych – psychiatryczne, seksuologiczne, grafologiczne – przeciągają się, w sierpniu prokuratura wniosła o przedłużenie aresztu. Dostali dodatkowe trzy miesiące, w listopadzie prawdopodobnie będą się ubiegać o jeszcze jeden. Jak zwierzył mu się Łukasz Szymański, pewnie w ostatnich dniach grudnia wniosą akt oskarżenia. Zawsze przed końcem okresu statystycznego następował wysyp wniosków, aby prokuratura mogła wykazać się sporą liczbą pozamykanych śledztw.

Mniej oficjalne opinie w komendzie nie były już tak korzystne, a ci, co go nie lubili, mieli powód do twierdzenia, że go nie cenią.

Na tramwajowym ekranie wyświetlały się reklamy wydarzeń kulturalnych. W czwartek w Tauron Arenie Kayah i Bregović zagrają koncert dwadzieścia lat po wspólnej płycie, której słuchała Anka, gdy się spotykali w trakcie studiów. Do dziś pamięta melodie piosenek, którymi wówczas codziennie go katowała: *Śpij kochanie, śpij* i *Byłam różą*.

Rozwód z Anką to dawne dzieje, za to ostatniego lata na margines odsunęła go Gosia i komendant wojewódzki. Co

symptomatyczne, zrobili to w podobnych słowach, a już na pewno ich sens był jednakowy. „Dajmy sobie czas na przemyślenia i wzajemny odpoczynek. Może wrócimy do siebie, cierpliwości, obejrzymy najpierw z dystansu swoje role i relacje”.

Został przeniesiony do Komendy Miejskiej w Krakowie, ale bez przydziału do konkretnej jednostki. Traktują go jak gorący kartofel – lepiej nie łąpać, bo można się oparzyć, a co najgorsze: okaże się to z opóźnieniem. Niby sprawa została wyciszona, ale nie wiadomo, czy znowu coś nie wypłynie, a jej główny bohater nie popadnie w większą niełaskę, bezpieczniej więc trzymać go na dystans.

Pozostawał w dyspozycji zastępcy komendanta miejskiego; delegowany do akcji edukacyjnych. W szkołach podstawowych namawiał dzieciaki do noszenia odblasków i przechodzenia na zielonym świetle, a licealistom tłumaczył szkodliwość zażywania narkotyków i przestrzegał przed niebezpieczeństwami, jakie niesie nocne życie miasta. Nawet jeśli go posłuchają, w co powątpiewał, nie po to wstąpił do policji.

Z Klaudią załatwili się krótko i węzłowato, zawracając ją do prewencji, bez choćby zdania wyjaśnienia, co z obiecwanym wcześniej etatem w Wydziale Kryminalnym Komendy Wojewódzkiej.

Motorniczy był złośliwym bucem, w gorącej wodzie kąpany lub zwyczajnie gapowaty, i na przystanku przy Wawrzyńca przyciął drzwiami gramolącą się do tramwaju starszą kobiecinę. Mimo ciepła była ubrana w długi płaszcz i chustkę, miała kilka niezbyt ciężkich, ale niewygodnych tobołów. Babuleńka zaczęła złorzeczyć, młoda, obdarzona refleksem dziewczyna naciskała od wewnątrz przycisk otwierania drzwi, Nawrocki wciągał kobietę do wagonu.

Komunikacja publiczna każdego tygodnia serwowała w cenie biletu sytuacje groteskowe, żenujące bądź komiczne.

Kilkanaście dni temu wznowili kursowanie tramwajów od Bagateli do Bronowic Małych. Miało to nastąpić w lipcu, ale dołożyli remont Karmelickiej i w efekcie potrwało trzy miesiące dłużej. Inauguracja została przeprowadzona uroczyście i z pomysłem – podróżnym rozdano tonę jabłek. Na sztuki. Tyle że w pierwszym tramwaju, który miał wyruszyć po nowych torach, nie otwierały się drzwi i wrócił pusty do zajezdni. Następnego dnia zamykali trasę dwukrotnie, przez wykolejenie i zderzenie tramwaju z samochodem. Na jeden z przestojów naciął się komisarz, który akurat podróżował na osiedle Widok.

Problem w tym, że w odróżnieniu od Małgorzaty oraz inspektora Witolda Chrosteckiego toyota dała mu wymówienie stanowcze, bezapelacyjne i ostateczne. Padły wał korbowy i wałek rozrządu. Wit zrezygnował z kosztownej naprawy, gdyż mechanik przestrzegał go przed czyhającymi za progiem następnymi awariami. Z żalem oddał na złom samochód, który służył mu przez niemal całą karierę zawodową. Na kupno nowego się nie zdecydował, bo nie wiadomo, jak długo utrzyma obecną pracę.

Dzięki temu jednak ma więcej ruchu i nie zaczął znowu palić, choć okoliczności go do tego skłaniały. Żeby tylko powietrze, które wdycha zamiast nikotyny, było czystsze od niej.

2

Młodsza inspektor Katarzyna Marzec lubiła mawiać, że stopień to jedyne, co łączy ją z młodością, choć rutynowe zaprzeczenia i komplementy były jej obojętne. Przynajmniej tak uważała. Sama wiedziała, że mimo czterdziestu jeden lat zachowała dobrą figurę

i gładką cerę, a jej stanowisko działało na niektórych facetów jak afrodyzjak.

Patrzyła na Witka, swojego rówieśnika i kolegę z kursu oficerskiego, i robiło jej się trochę smutno. Wzrost po dawnemu miał średni, budowę kręłą, nad szpakowaciejącymi na skroniach włosami i drobnymi zmarszczkami w kącikach oczu także nie było co cudować. Ale bruzdy odchodzące od ust wyglądały jak przednia straż zgorzknienia, a w źrenicach czaiła się rezygnacja. Dawniej widywała w nich tylko błyski inteligencji i humoru. Nawrocki zawsze był sympatyczny i uprzejmy, a przede wszystkim nie pchał się z łapami ani nawet nie rzucał pościelowych aluzji, jak wielu innych, wygłodzonych kursantów. Potem może nie łykał awansów, ale często słyszało się o rozwiązanych przez niego śledztwach.

Teraz ona sprawowała funkcję zastępcy Komendanta Miejskiego z perspektywą wyższych stanowisk, on zaś jest zesłańcem pod jej kuratelą, a tak naprawdę zdany na jej łaskę. Dzisiaj była w świetnym nastroju i chciała, aby każdy, kogo lubiła, czuł się tak samo. Nadzorowany przez nią zespół ujął w Krakowie dwudziestojednolatka podejrzanego o zabójstwo własnej babci na Śląsku. Kobiętę znalazł w mieszkaniu jej syn, miała widoczne obrażenia, tamtejsza policja nie mogła jednak złapać tropu, choć wnuk od początku był jednym z podejrzanych. To jej ludzie namierzili go, bo dokonał szeregu wypłat skradzioną z jej mieszkania kartą, a wczoraj ujęli.

Bardziej jednak podekscytowała ją szeptana informacja, jaką usłyszała dopiero co.

– Wojewódzkiego posunęli! – wypaliła. – Pierwszym będzie nadinspektor Ryszard Kowal. Ostatnio był komendantem miejskim w Wałbrzychu, gdzie jest duża przestępczość, więc się sprawdził.

– Zerwało mi kuboty z wrażenia. – Nawrocki był ubrany po swojemu, w sandały nałożone na frotowe skarpetki, dzisiaj granatowe. Październikowa pogoda mu sprzyjała. – Nie sądziłem,

że Chrostecki jest zagrożony, zbierał pochwały. Podrzucali go, podrzucali i zapomnieli złapać.

– Ponoć wyrok miał nagrany już na początku miesiąca, ale nie chcieli tego robić przed wyborami, żeby nie wyglądało, że obawiają się porażki i w ostatniej chwili zmieniają figury w służbach. Poza tym wybuchła afera Banasia, sięgająca Krakowa, więc lepiej było nie podbijać stawki. Ale dzisiaj rano już usłyszał, że ma się pakować, a ogłoszą to po południu lub jutro.

– Za co go redukuje?

– Może za ciebie. – Pokazała mu język.

– Bo spieszyłem dochodzenie pod jego pieczęcią czy dlatego że finezyjnie je poprowadziłem, a on się nie poznał i mnie wykopał tutaj?

– I to jest właśnie pytanie. Obawiam się, że tego się nie dowiemy, ale zawsze możemy sprawdzić, co jest dla ciebie normą, a co incydentem.

– Wypuszczasz mnie czy dajesz mi sprawę?!

– Sprawę. Najlepiej się do niej nadajesz, bo jest podobna do ciebie.

– Dziwaczna?

– Chciałam powiedzieć: nietypowa. W nocy z poniedziałku na niedzielę, we własnym mieszkaniu niedaleko cmentarza Rakowickiego, umarł pisarz. Tak przynajmniej twierdzi jego partnerka i portier, który go reanimował. Szkopuł w tym, że kiedy zawiadamiali pogotowie, zwłoki zniknęły. Kobieta próbowała popełnić samobójstwo, jeszcze leży na obserwacji w Kobierzynie, chyba jutro ją wypuszczą. Tamtej nocy patrol zrobił rozpytanie, między innymi twoja stara znajoma Klaudia Bator.

Twarz Nawrockiego zmierzchła. O co tu chodzi, pomyślała policjantka, jakiś romans mieli czy co?

– Jak się nazywa ten pisarz?

– Daniel Kasprzak. Ponoć niezły, ale umiarkowanie sławny. Słyszałeś o nim?

– Słyszałem, ale go nie czytałem.

– Badanie toksykologiczne wykazało, że niedoszła samobójczyni, partnerka pisarza Laura Okońska, miała we krwi jakąś nową odmianę kokainy, różową. Prawdopodobnie facet zszedł w trakcie stosunku seksualnego. Dostaniesz protokoły, „papieże” przesłuchali wszystkich. Monitoring działał, ale dawno temu odłączono rejestrowanie, twierdzą, że wtyczka musiała się wypiąć. Na smartfonach i laptopach obydwójga nie ma nic podejrzanego, ale połączenia trzeba przeanalizować.

– Mam to robić u Grabka?

Komisarz Mariusz Grabek był naczelnikiem Wydziału do Walki z Przestępczością Przeciwko Życiu i Zdrowiu, od skrótu PPŻiZ zwanego „papieżami”. Zastępczyni komendanta odnosiła wrażenie, jakby miał jakieś kompleksy na punkcie Witka, już dwa razy storpedował pomysły włączenia go w prace swojego wydziału. Z mężczyznami to nigdy nic nie wiadomo; nie dość, że się dręczą wymiarami własnego fajfusa, to jeszcze muszą porównywać go z innymi i udowadniać, że jest dłuższy. Choć Nawrocki chyba miał w duszy, co inni o nim myślą i czy mają wyższą rangę i większą władzę.

– Nie, bo wtedy rzadziej bym cię mogła widywać. – I tak załapie, o co biega, ale otwarcie nie mogła mu powiedzieć o stosunku Grabka do niego. – Natomiast „papieże” zapewnią ci potrzebne wsparcie techniczne. Wczoraj wieczorem na fanpejdżu Kasprzaka ukazała się informacja, że nie żyje, media to podchwyciły, dzisiaj wychodzi jego nowa książka.

– Albo jest ciało i śledztwo, czy to zabójstwo czy naturalny zgon. A jak nie ma ciała i oficjalnego stwierdzenia śmierci, to należałoby prowadzić dochodzenie w sprawie zaginięcia żywego człowieka –

powiedział Witek. – Tyle że nie upłynęły nawet trzy doby, odkąd zniknął, a gość jest dorosły.

– Nie ma co, za przeproszeniem, sądzić gówna na śmierć. Może po prostu chodzi o to, żeby pewnym ludziom przemówić do rozumu, przedstawiając im naszą wiedzę i możliwe konsekwencje. Możesz zacząć od Marzeny Stachurskiej, która była pierwszym wydawcą Kasprzaka, a potem groziła mu publicznie.

3

Kurier Krakowski

Śmierć tajemnicza jak książki

Kultura

Mateusz Dębicki

m.debicki@kurier24.pl

W nocy z niedzieli na poniedziałek zmarł w swoim mieszkaniu w Krakowie znany pisarz Daniel Kasprzak. Okoliczności jego śmierci są bardzo niejasne, tymczasem dzisiaj ma premierę jego najnowsza powieść – „Smog”.

Kasprzak odszedł młodo – wiosną przyszłego roku skończyłby 35 lat. Tragizmu temu zdarzeniu dodają niesamowite okoliczności. Zgon stwierdzili przyjaciółka pisarza oraz ochroniarz budynku, w którym mieszkał. Kiedy jednak wzywali odpowiednie służby, ciało zniknęło.

Wczoraj późnym popołudniem na rzadko używanym facebookowym fanpejdżu pisarza ukazał się krótki post:

21 października zmarł nagle Daniel Kasprzak
utalentowany pisarz i cudowny człowiek

Będzie nam Go brakować!

I tyle, żadnych dodatkowych informacji, żadnego zdjęcia. W komentarzach fani składają wyrazy współczucia, mnożą hołdy, ale tworzą też zawikłane teorie na temat powodów śmierci Kasprzaka.

Krakowska policja nie chciała komentować sprawy, nieoficjalnie udało nam się dowiedzieć, że toczy się postępowanie wyjaśniające, czy zdarzenie zakwalifikować jako śmierć czy zaginięcie.

Daniel Kasprzak był mizantropem, stronił od ludzi. Nie uczestniczył w akcjach promocyjnych, spotkaniach autorskich, targach książki. W tak popularnej współcześnie sferze social mediów funkcjonował tylko jego oficjalny profil na FB, gdzie z rzadka ukazywały się informacje poświęcone powstającym akurat powieściom. Urządzano również konkursy, które cieszyły się olbrzymim zainteresowaniem czytelników, gdyż można w nich było wygrać książki z autografami Kasprzaka – istne rarytasy, jeśli weźmie się pod uwagę jego niechęć do publicznych występów.

Daniel Kasprzak bywa nazywany polskim Stephenem Kingiem. Nie jest jednak tak płodny, nie sięgnął też takich wyżyn, jak amerykański mistrz grozy, zwłaszcza w powieściach z lat 70., 80. i początku 90. Ale jest nasz, swojski i o naszych losach opowiada. Pokazał Kraków na przestrzeni niemal dwóch wieków i siły zewnętrzne, z którymi miasto się zmagало i którym ulegało, ale ostatecznie pozostawało sobą, choć poznaczone bliznami.

Kiedy Kasprzak debiutował, King akurat wydał powieść „Pan Mercedes”, później wydłużoną do trylogii. I właśnie tutaj można poprowadzić styczną. Stworzone przez Kasprzaka kryminały z wątkiem nadprzyrodzonym podobają się wielbicielom gatunku, ale i fanom young adult.

W pierwszej dekadzie XXI wieku Kasprzak, jeszcze jako student pedagogiki specjalnej Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, był laureatem konkursów literackich. Kilku bądź kilkunastu, nie wiadomo, bo autor niechętnie o nich opowiadał. Jego oficjalna notka biograficzna wymienia tylko główne nagrody, pomija wyróżnienia i słowem nie wspomina o opowiadaniach nieosadzonych w tematyce: kryminał – thriller – sensacja – horror. Na pewno zajął pierwsze

miejsce w zorganizowanym przez Urząd Miasta Stołecznego Warszawy konkursie „Tyrmad ciągle aktualny” na rozgrywającą się współcześnie nowelę, fabułą i klimatem nawiązującą do „Złego”. Zwycięski tekst nie doczekał się jednak rozwinięcia.

Co ciekawe, zdobył drugą nagrodę w prestiżowym konkursie „Wawelskie Pióro” i był to jedyny przypadek w jego historii, kiedy jurorzy tak wysoko sklasyfikowali opowiadanie kryminalne.

Kasprzak był pierwszy również w konkursie dwumiesięcznika fantastyczno-kryminalnego „Qfant” i to opowiadanie – pod tytułem „1850” – stało się później osnową jego debiutu powieściowego.

Był nim „Ogień”, opublikowany w marcu 2012 roku. Akcja książki rozgrywała się w znacznej części podczas strasznego pożaru, który spustoszył Kraków w połowie XIX wieku, ale nawiązywała również do rabacji galicyjskiej, do której doszło cztery lata wcześniej. Najważniejszą postacią opisywanych wypadków był oficer c.k. policji w Krakowie, Franciszek Miczyński.

Kasprzak zwierzał się w jednym z nielicznych wywiadów, że to wtedy wymyślił założenia nietypowej serii. Nie łączył jej jeden główny bohater, ale protagoniści kolejnych części mieli być członkami krakowskiego rodu Miczyńskich, potomkami Franciszka.

Jego syn został obsadzony w tej roli w „Wodzie”, wydanej we wrześniu 2013. Mamy rok 1883, w kamienicy przy ulicy Świętej Anny Karol Olszewski i Zygmunt Wróblewski dokonują skroplenia tlenu, a później azotu. Wokół toczy się szpiegowska gra mocarstw zainteresowanych ich wynalazkami, w którą zostaje wplątany Józef Miczyński, prywatny detektyw. Areną zdarzeń są Kraków i – nazywane wtedy drugim Wiedniem – Bielsko-Biała, a finał rozgrywa się w jednym z napiętniejszych miast monarchii Habsburgów – Trieście.

Nie tylko w tym tomie, z podobnym jak Matthew Pearl powodzeniem, Kasprzak osadzał w wymyślonych fabułach wydarzenia historyczne, a stwarzanych przez siebie bohaterów mieszał z autentycznymi postaciami.

W maju 2015 roku przysłała pora na „Papier” (nie da się ukryć, że tytuły są najstarszym elementem twórczości Kasprzaka). Tutaj bohaterem jest Antoni Miczyński, dziennikarz „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, na tropie nie

zawsze czystych interesów ekonomicznych. Bada je we Lwowie i najśłynniejszym kurorcie II RP – Zaleszczykach, walczy z wielką powodzią w Krakowie 1925 roku, a tajemnicę odkrywa trzy lata później. W tym samym czasie, gdy właściciel imperium IKaCa, Marian Dąbrowski, odkupuje leżącą u zbiegu Starowiśnej i Wielopola galerię handlową Bazar, powołując w niej do istnienia Pałac Prasy, w którym notabene jeszcze do niedawna mieściła się nasza redakcja.

„Ziemia” z września 2016 roku to zdecydowanie najbardziej ponura powieść Kasprzaka, niestroniącego wszak od mrocznych klimatów. Stalinizm zgniata Polskę w brutalnym uścisku, trwa proces Kurii Krakowskiej, a młody kleryk Kazimierz Miczyński wpada na trop zagadki, która może uratować oskarżonych w nim kapłanów. Tylko czy zdoła sam siebie ocalić przed Urzędem Bezpieczeństwa oraz zakusami ruchu księży patriotów?

Kazimierz nie miał syna, ale spłodził go jego brat Jan, który kontynuował tradycje ojca, Antoniego, pracując w „Tygodniku Powszechnym”. Zginął jednak w niejasnych okolicznościach niedługo po zamknięciu pisma przez totalitarne władze. Syn Jana, Jerzy, poszedł diametralnie inną drogą, został porucznikiem VI Brygady Powietrznodesantowej, popularnych czerwonych (a faktycznie bordowych) beretów. I to on jest naczelną postacią „Powietrza”, które miało premierę w maju 2018 roku. Znowu Kraków, tym razem lata osiemdziesiąte – działającej w podziemiu Solidarności, nieprzebierającej w środkach Służby Bezpieczeństwa, rodzących się firm polonijnych, przyjeżdżającej do miasta młodzieży, która na równi zachłystuje się życiem studenckim i wolnościowymi hasłami. W tym wszystkim musi się odnaleźć żołnierz Ludowego Wojska Polskiego próbujący odkryć, dlaczego został zamordowany jego ojciec.

I tak to leciało... Zawsze z dynamiczną narracją, niebanalnie skonstruowaną fabułą oraz dobrym warsztatem literackim.

Znany krytyk, Fryderyk Postuj, tak pisał o Nim wiosną:

„Prowadzi misterium swoich powieści ścieżką osobiście wytyczoną przez krainę kryminału, zostawiając nurt thrillera po lewej, a wzgórze i doliny horroru po prawej, lecz czerpiąc z każdej krainy po garści. Przeszedł szlak od kryminału retro, przez powieść neomilicyjną, a ostatni akord ma wybrzmieć w klasycznym crime noir”.

Od dzisiaj możecie się Państwo przekonywać, jak wypadł finał serii, zawarty w „Smogu”. My już wiemy, ale powiemy tylko, że jesteśmy zachwyceni. Recenzja ukaże się w sobotnim, magazynowym numerze „Kuriera Krakowskiego”.

Szkoda, że dobiega końca heksalogia Daniela Kasprzaka, że tak gwałtownie skończyła się ziemską drogą jej Autora.

A może...

4

Komisarz Nawrocki położył gazetę na kolanffach. Co znaczy to „a może”? Sugestia, że autor coś wie albo ma wątpliwości? Rzeczywiście wie czy stosuje naiwno-prostacki chwyt, aby spotęgować zainteresowanie czytelników?

Trzeba jednak im oddać, że taktownie obesli się z okolicznościami śmierci i zaginięcia ciała Kasprzaka.

Siedział na skwerze zajmującym lwią część placu Łagiewnickiego. Miejsce już na powitanie urzekło frywolnością w podejściu do geografii; ulice Słupska i Koszalińska zbiegały się tu z Kędzierzyńską i Pienińską, a nieopodal Zielonogórska wpadała w Kołobrzeską. Drzewa, których gatunków nie rozpoznawał (poza brzozą, ze względu na charakterystyczny biały pień w czarne wzorki), sypały z wolna żółte, czerwone i rdzawe liście. Obok stały trzy ni to karmniki, ni to budki dla ptaków; na jednej nóżce, ale większe, oszklone i – jak się przekonał ze zdziwieniem – służące za księgarnio-biblioteki na świeżym powietrzu. Ludzie zostawiali w nich niepotrzebne książki, inni mogli je nieodpłatnie zabierać. Zajrzał z ciekawości, nie było tego wiele, a pomiędzy peerelowskimi starociami zauważył trylogię Longina Jana Okonia o Tecumsehu, która przypomniała mu o Krisie i powodzi z lipca ubiegłego roku.

Ławka wyglądająca jak matematyczny znak mniejszości nie była zbyt wygodna, bardziej komfortowe wrażenie sprawiała ta, którą zostawił dwadzieścia metrów wcześniej – zbudowana z powyginanych deseczek, z wysokim oparciem. Stąd jednak miał lepszy widok na siedzibę firmy i chyba również mieszkanie Marzeny Stachurskiej w jednym z okalających plac dwupiętrowych domów.

Dzwonił kilka razy na numer podany na stronie internetowej wydawnictwa Błękitny Młoteczek, ale nikt nie odbierał, przyjechał więc pod podany tam adres (rzadkość w epoce RODO), lecz pocałował klamkę bramy opatrzonej szyldem firmy.

Czekał więc, gdzie indziej nie spędzi popołudnia przyjemniej ani pożytecznie. Czytał dalej teksty z działu kulturalnego „Kuriera”: o zainaugurowanym w poniedziałek Festiwalu Conrada, który w sobotę ma odwiedzić Olga Tokarczuk, o zaczynających się jutro 23. Międzynarodowych Targach Książki, o Grechuta Festival, który poza kilkoma koncertami (w tym finałowym w ICE) przewidywał również korowód po Rynku.

Kilkanaście metrów dalej, gdzie pomiędzy krzakami stały stoliki i dwie ławy, trwał piknik alkoholowy. Gdy pojawił się na skwerze, lokalni początkujący żule zerkali ku niemu podejrzliwie, ale uspokoili się, widząc, że wyjął gazetę. Nie wiedzą, że to atrybut modelowego tajniaka?

Przewrócił strony. Ucichło już nocne stukanie zszywaczy przytwierdzających plakaty partyjne, zagoiło się oko dyrektora Zarządu Zieleni Miejskiej, peeselowskiego kandydata do Sejmu, który podbił je sobie własnoręcznie metalową trytytką podczas wieszania planszy reklamowej, odbyło się głosowanie, niestety wciąż jeszcze nie opadł kurz po wyborach. Na pierwszych kolumnach gazety odzwierciedlała się naparzanica na protesty sądowe dążące do przechylenia chwiejnej większości w Senacie.

Dalej był artykuł o ojcu z kilkorgiem dzieci w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat, którzy w Holandii przez dziewięć lat mieszkali w piwnicy, czekając na koniec świata. Sto metrów od drogi, za szafą były drzwi i klatka schodowa. Odżywiali się warzywami. Dzieci nigdy nie były w szkole, kilkoro w ogóle nie wpisano do rejestru urodzeń.

Cóż, może aż tak dużo ich nie ominęło, pomyślał gorzko, wspominając tekst, od którego, chcąc nie chcąc, zaczął lekturę dzisiejszej gazety. Każdego roku z powodu zatrucia powietrza umiera na świecie kilkaset tysięcy osób, z czego co dziesiąty to Polak. W 2016 roku zgonów było aż czterdzieści tysięcy, więcej tylko w Niemczech i we Włoszech, a Polskę klasyfikowano wśród siedmiu krajów Unii z najwiękším stężeniem pyłu zawieszzonego.

Uwagę komisarza przykuł ruch po lewej. Pomarańczowy balonik niewiadomego pochodzenia przetaczał się wskroś Kołobrzesckiej, na chodniku podskoczył i pękł z hukiem. Pozostał po nim zaledwie kawałek pomarańczowej materii, ale wynurzający się z żywopłotu kot patrzył na nią nieufnie, a wyruszając na drugą stronę uliczki, obszedł to miejsce szerokim łukiem.

Wkrótce potem z przeciwnego kierunku nadeszła kobieta z żółtymi włosami do ramion, ubrana w zieloną wiatrówkę z kapturem, z szalikiem identycznego koloru owiniętym wokół szyi. Kiedy doganiając ją przed bramą, powiedział „przepraszam”, odwróciła się, a z czarnej materiałowej torby, którą niosła wysoko na ramieniu, rozległ się brzęk.

– Wit Nawrocki, komenda wojewódzka policji – z nawyku przedstawił się po staremu. – Pani Marzena Stachurska?

– Tak. Czego chce ode mnie policja?! – Oczy za podłużnymi okularami w wąskich, czarnych oprawkach spojrzały antypatycznie.

To ta kobieta jesienią 2015 roku napisała na twitterowym koncie swojego wydawnictwa: *Kasprzak! Będziesz się smażył w piekle gorętszym niż pożar roku 1850!*

– Chciałbym porozmawiać z panią o Danielu Kasprzaku.

– O czym?! Nie widziałam skurwiela blisko sześć lat.

– Właśnie o jego domniemanym skurwielstwie.

– Domniemanym? Jestem tego najzupełniej pewna. Proszę, niech pan wejdzie, skoro pan musi.

Dom składał z kilku samodzielnych mieszkań. Stachurska poprowadziła go klatką schodową na pierwsze piętro, gdzie drzwi, tak jak bramę, przyozdabiała nazwa *Błękitny Młoteczek*.

– Dostałam dotację dla mikroprzedsiębiorstw i powieszenie takiej tabliczki było wymogiem. – Skinęła brodą w kierunku prostej grafiki, w której litery *ł* były stylizowane na sztylety, przebijające sąsiadujące z nimi literki *ę* i *o*. Ulokowane na końcu słów *y* i *k* spływały strużkami krwi. – Obowiązek się skończył, ale przyzwyczaiałam się do szyldu i nawet go polubiłam. Kiedyś wynajmowałam pomieszczenia na siedzibę wydawnictwa przy Barskiej na Dębnikach, ale jak się ponosi wszystkie koszty działalności, a zyski są mniej regularne niż pory roku, to nie ma co się szarpać. Przeniosłam majdan do mieszkania. A z urzędowania na Dębnikach zysk był taki, że poznałam Gaję Grzegorzewską. To są jej rewiry, wie pan może. Wpadła kiedyś zaciekawiona nazwą, przegadałyśmy ze dwie godziny, a przy następnym spotkaniu spytałam, czy nie chciałaby wydać czegoś u mnie. Ale już wtedy miała ofertę od WueLu, a do nich to nie mam lotów.

– WueLu?

– Wydawnictwa Literackiego.

Posadziła go na foteliku w kącie zabałaganionego pokoju, w centrum którego królował stół z monitorem, klawiaturą, drukarką i nawet pudłem komputera ustawionymi na blacie. Za to wszędzie indziej, włącznie z parapetem i podłogą, zalegały książki,

czasopisma, wydruki i inne szpargały. Mieszmasz najwyraźniej nie uprawiał właścicielki w zakłopotanie.

– Napije się pan wina? – spytała swobodnie, choć bez uprzejmości czy gościnności w głosie.

– Nie, dziękuję, wystarczy rozmowa.

– Czyli nie jestem o nic oskarżona, mimo tego nieszczęsnego wpisu?

– Jak do niego doszło? – odparł wymijająco, wyjmując notes.

– Miałam akurat PMS. Wie pan, co to takiego?

– Mniej więcej, poznałem konsekwencje.

– Zgrabnie pan to ujął. Zjadłam łąciatą milkę, śledzie Lisnera, majonez kielecki, suszone pomidory, oliwki, pasztet, mozzarellę, konfitury śliwkowe, marynowane cebulki, wypilałam butelkę różowego wina... Co pan tak patrzy?

– Przepraszam, ale zemdliło mnie.

– No tak, ja prędzej umrę, niż będę rzygać. Wbrew temu, co postulują feministki, Bóg nie jest babą, bo gdyby był, nie stworzyłyby zespołu napięcia przedmiesiączkowego. W innym zestawie zdarzało mi się połączyć orzeszki wasabi, marynowaną paprykę, bułkę z nutellą, gruszkę, dwie pomarańcze, kabanosy. Co w głowie, to na talerzu. Plus dobrowolny areszt domowy i głęboka emigracja wewnętrzna dla dobra reszty świata. Niestety, ze względu na globalną sieć i telefony, to już prawie niemożliwe. Byłam wściekła, więc napisałam tamto zdanie. Parę godzin później je skasowałam, ale w internecie nic nie ginie. Wiem, że mi to teraz wyciągnęli, kiedy się okazało, że Kasprzaka szlag trafił. Nie żałuję go, karma to suka, jak mawia współczesna młodzież.

– Za co go pani tak nienawidzi?

– Tego się nie da wyjaśnić w kilku zdaniach, musiałabym zacząć od początku.

– Chętnie posłucham.

– Od zawsze zaczytywałam się kryminałami, thrillerami, no generalnie tym gatunkiem. Uwielbiałam się bać. Ale pomysł na stworzenie wydawnictwa podsunęła mi historia Stephena Clarke’a, który własnym sumptem wydrukował dwieście egzemplarzy *Merde* i handlował tym na straganie nad Sekwaną, a potem powieść stała się bestsellerem, sprzedał prawa do kilkunastu krajów. Ale chyba już wszystkie soki z niego wypłynęły. Zna pan jego ostatnie książki?

– Nie lubię kryminałów. Nie wiem, czy bardziej za to, że mam ich dość na co dzień, czy za absurdalność pomysłów fabularnych.

– Clarke nie pisze kryminałów. – Spojrzała na niego jak na troglodytę. – To arcydzieła złośliwego, angielskiego humoru. No... przynajmniej kilka pierwszych. Czyta pan coś poza książeczkami czekowymi?

– Pracuję w budżetówce, więc nawet tego nie.

Wąskie, pomalowane jasnoczerwoną szminką usta zacisnęła w grymasie dezaprobaty. Nie była jednak pewna, czy to nie żart, więc chyba dlatego powstrzymała się od komentarza.

– Skończyłam anglistykę, ale pracowałam w firmie deweloperskiej, w dziale pozyskującym zagranicznych inwestorów, więc nudziłam się jak mops. Kiedy zamarzyło mi się założenie wydawnictwa, chciałam tłumaczyć kryminały Sue Grafton, bo kilka przeczytałam w oryginale, kilka w polskich wersjach. Tworzyła serię alfabetyczną, w której każdy tytuł zaczynał się od kolejnej litery. *A is for Alibi* i tak dalej. Zmarła w 2017 roku, w tym samym, gdy światło dzienne ujrzało *Y is for Yesterday*. Kryminału na Z już nie napisała. Ale co ciekawe, w Polsce ukazało się *Z jak zwłoki*, jako tłumaczenie oryginalnego *C is for Corpse*. Niestety, nie było mnie stać na wykupienie licencji. Trafiłam na Grafton dzięki Rossowi McDonaldowi, który wymyślił fikcyjną miejscowość Santa Teresa, wzorowaną na Santa Barbara, a ona to podchwyciła. Dostrzega pan korelację?

– Niestety nie.

– Nie wie pan, kim był Ross McDonald?! Nigdy nie lubił pan książek? To co pana ukształtowało? Będąc chłopcem, nie płakał pan, kiedy umarł Nemecek albo gdy Lampo wpadł pod pociąg?!

– Z dzieciństwa pamiętam tylko książkę o kozie, którą świerzbiała kopyta i szukała, gdzie by tu się podkuć. Ale i to głównie dzięki rysunkom.

Nie prowokował jej w ramach rewanzu za nieskrywaną wyższość w tonie i te wszystkie „wie pan może”. Czytał *Chłopców z Placu Broni* i *O psie, który jeździł koleją*, poruszyły go bardziej niż *Przygody Koziołka Matołka*, ale uznał, że lepiej ugruntować wizerunek tumana i nieuka. Może dzięki temu więcej z niej wydobędzie, kiedy zacznie klarować mu jak chłop krowie na miedzy.

– McDonald był jednym z najlepszych „kryminalistów” w Stanach, takim wice-Chandlerem. Napisał między innymi *Błękitny młoteczek*, od którego wzięłam nazwę wydawnictwa.

– Już rozumiem.

– Naprawdę nazywał się Kenneth Millar, ale przybrał pseudonim, żeby nie wchodzić w paradę swojej żonie, Margaret Millar, która też pisała kryminały. Był dobrym mężem. Inaczej niż ten zazdrośnik Damon Knight, który część opowiadań swojej żony Kate Wilhelm zamykał na klucz. A ona biła go na głowę. I to ją zaczęłam tłumaczyć i wydawać u nas. Wprawdzie wątki kryminalne są u niej rzadsze, dominuje science fiction i fantasy, ale na pewno zasłużyła na zainteresowanie, dostała nagrody Hugo i Nebuli.

– A jaki to ma związek z Clarkiem sprzedającym swoją książkę na straganie?

– Sama tłumaczyłam, redagowałam, robiłam korektę, składałam tekst na komputerze, nawet wymyślałam okładkę, którą tworzyła mi zaprzyjaźniona graficzka. Zamawiałam w drukarni

kilkaset do tysiąca egzemplarzy, proponowałam księgarńom, sama handlowałam nią na targach książki w różnych miastach. Kiedy tytuł schodził, robiłam dodruk. Teraz mam trochę większe nakłady i umowę z silnym dystrybutorem, ale to tamte pionierskie czasy wspominam z rozrzewnieniem.

– Jak trafiła pani na Daniela Kasprzaka, skoro zajmowała się pani powieściami anglojęzycznymi?

– W pewnym momencie wpadłam na pomysł, że będę dawać szansę zdolnym polskim debiutantom. Znałam Kasprzaka, jak wszystkich z krakowskiej bohemy literackiej przesiadującej w knajpach na Kazimierzu. I zgadło się, że napisał kryminał retro o dziewiętnastowiecznym Krakowie. A ten gatunek, dzięki Krajewskiemu i Akuninowi, był coraz popularniejszy. A może to Kasprzak najpierw pokazał mi ten tekst, co mnie zainspirowało do wydawania młodych polskich autorów?

– To był *Ogień*?

– Czyli coś pan tam wie? Tak, podpisaliśmy umowę na dziesięć lat, wypuściłam najpierw pięćset egzemplarzy, potem zrobiłam tysiąc pięćset dodruku, później on przyniósł *Wodę*, a ja wzięłam pod swoje skrzydła dwóch następnych. Wierzyłam w nich, marzyłam, że to będą odkryte przeze mnie gwiazdy. Wie pan, że pierwszy horror Kinga, *Carrie*, odrzuciło trzydzieści wydawnictw? Autor się ponoć poddał i wyrzucił skrypt do kosza! Dobrze, że żona uratowała rękopis i zmobilizowała Stefana, żeby wysłał *Carrie* jeszcze komuś. Wreszcie się udało, King dostał za prawa dwa i pół tysiąca dolarów. A przy wznowieniu już czterysta tysięcy, bo okazała się bestsellerem. Odrzucane były *Władca much*, *Przeminęło z wiatrem*, *Harry Potter i kamień filozoficzny*! Rozumie pan, początek cyklu, który później przetłumaczono na siedemdziesiąt języków i zarobił dwa miliardy dolarów. Jest taki Francuz, który robi literaturę z kryminałów. Pierre Lemaitre. Też kilkunastu wydawców odrzuciło jego pierwszą książkę

o policjancie mierzącym półtora metra. Jeden później zadzwonił, bo się namyślił...

Każda branża ma swój zbiór podań i legend, częściowo prawdziwych, w których zakorzenione są przemowy coachów motywacyjnych, tchnące wiarą w uniwersalność podawanych przykładów. Stachurska opowiadała to jak ulubioną, po wielokroć czytaną powieść.

– Bardzo to ciekawe, pokazuje brak wyczucia czy wręcz pomyłki wydawców.

– Właśnie o to mi chodzi: to ja byłam jego szczęściem. Nie mówię, że go wylansowałam, bo to byłaby przesada, ale poznałam się na nim; nie musiał znosić upokorzeń kolejnych odmów, nie ponosił kosztów materialnych. Emily Brontë dopłaciła pięćdziesiąt funtów, żeby jej wydali *Wichrowe wzgórza*. Przez ponad półtora wieku jednak świat, a zwłaszcza półświatek wydawniczy w Polsce, poszedł bardzo do przodu. Był taki dobry artykuł w „Polityce”, *Pisarzom się wydaje...*

– Wydaje im się, że są pisarzami?

– To też, niejednemu i niejednej. Ale tutaj chodzi o publikowanie książek za pieniądze autorów. Co się nazywa zgrabnie „ze współfinansowaniem”, a w angielskiej wersji obnaża istotę procederu: *vanity press*, czyli wydawanie próżności. Można wypuścić każde gówno, każdy bełkot, każdą grafomanię, jeśli tylko się zapłaci. Bywają też oczywiście dobre rzeczy, odrzucone przez innych. Wydawcy, którzy tym się parają, twierdzą, że dzielą się kosztami z autorem, ale w rzeczywistości gotówkę wpłaca tylko autor, a oni dają wkład pracy, który jest odpowiednio wysoko wyceniony w umowie.

Nawet jeśli wcześniej Stachurska sprawiała wrażenie kobiety, u której malejące i rozmijające się z własnymi potrzebami zainteresowanie mężczyzn, świadomość upływającego czasu, lęki oraz frustracje wyładowywały się na otoczeniu bądź kanalizowały

w alkoholu – teraz nie pozostał ślad po niechęci i opryskliwości, z jakimi traktowała komisarza. Jej twarz pałała, okulary rzucały refleksy światła, nawet się kilka razy uśmiechnęła. Widać było, że rozprawia o sferze życia, którą traktuje z autentyczną i niegasnącą pasją. Aż żal mu było psuć ten nastrój.

– O co poróżniliście się z Kasprzakiem? – przerwał jej.

– Poróżnić to się mogą dziewczynki przy wybieraniu, kto podczas zabawy w rodzinę będzie tatą, kto mamą, a kto dziadziusem. Ten skurwiel mnie zdradził! Mieliśmy zapisaną klauzulę, że przypadającą mu część zysków ze sprzedaży będę przekazywać co pół roku, a gdybym się spóźniła ponad trzy miesiące, może rozwiązać umowę. Tyle że na tym rynku rozliczenia z niektórymi kontrahentami są jak tramwaj na Azory. Miesiącami czekałam na kasę, więc spóźnienia się zdarzały, zwłaszcza że musiałam najpierw uregulować najważniejsze rachunki. Zawsze w końcu płaciłam mu co do grosza, a on się nie upominał, bo to rozumiał.

Tramwaj na Azory był w Krakowie synonimem długotrwałych, niespełnianych obietnic. Uruchomienie linii do tej dzielnicy od kilkunastu lat miały w programie ekipa rządząca i kandydaci opozycyjni.

– I przestał rozumieć? – spytał Nawrocki.

– Pod pretekstem, że zaległości przekroczyły trzy miesiące, rozwiązał ze mną umowę, siedem lat przed terminem, i poszedł do Antoniaka. Jasne, zapewniają mu większy rozmach, promocję...

– Antoniaka?

– Wydawnictwa Antonium, publikują go do dzisiaj, wypuścili właśnie *Smog*. Nakłady mu skoczyły, sprzedaż też, ale co to jest? Kiedyś przeglądałam zestawienia nakładów w peerelu. *Tajemnicę Elizabeth Arden* Urszuli Milc-Ziemińskiej wydrukowano w siedmiuset tysiącach egzemplarzy. Nawet w drugiej połowie lat osiemdziesiątych *Requiem dla króla zbrodni* Jacquemarda miało

trzysta tysięcy. Większość nakładów serii z jamnikiem czy kluczykiem przekraczała sto tysięcy, podobnie każda pozycja serii „Ewa wzywa 07”. Zabawiłam się i zsumowałam nakłady liderów. Edigey miał ponad trzy miliony ze wszystkich tytułów, Kłodzińska prawie trzy miliony, niedaleko za nią Zeydler-Zborowski. Sprzedaż nie była dużo niższa. To są liczby, dla których obecnie można by zabić, a i tak by się ich nie osiągnęło. A czy warto tak się skurwić jak Kasprzak dla kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy jednego tytułu?

Coś go tknęło.

– A czy warto byłoby sfingować własną śmierć? Czy to dałoby wzrost nakładów, sprzedaży? – Spodziewał się, że to pytanie nią wstrząśnie, ale najwyraźniej potraktowała je jak kolejny problem akademicki.

– Niejaki Robert Galbraith, weteran z Iraku czy Afganistanu, z sześć lat temu wydał *Wołanie kukulki*. Kryminał w klasycznym angielskim stylu umiejscowiony we współczesnym, cyfrowym świecie. Taki Sherlock Holmes w Londynie dwudziestego pierwszego wieku, z dziwactwami, ale bez nogi, amputowanej pod kolanem. A zamiast Watsona ponętna ruda dziewczyna. Meczyje. Niestety, książka sprzedawała się marnie; półtora tysiąca egzemplarzy w trzy miesiące. W lipcu jakaś bulwarówka, zaintrygowana, że autorem tak sprawnie napisanej powieści jest były żołnierz, poprosiła uniwersyteckiego profesora literatury, aby zbadał ją pod kątem podobieństwa z twórczością J.K. Rowling. Ciekawe, że akurat zajęli się tą książką i że porównywali ją akurat z Joasią, co?

– Instynkt dziennikarski.

– Niewątpliwie, pozostaje kwestia, jak stymulowany. Okazało się, że *Wołanie kukulki* to nowa książka autorki *Harry'ego Pottera* i kryminał awansował z cztery tysiące siedemset dziewiątego miejsca w rankingu Amazona na pierwsze. Tymczasem treść

książki nie zmieniała się ani na jotę. Rowling zresztą od początku miała problemy z płcią, bo wydawcy kazali jej skasować imię, żeby nie było wiadomo, że jest kobietą.

– Fascynujące, ale jak to się ma do Kasprzaka?

– Bezpośrednio. Niezależnie, czy rynek stoi na mocniejszych jak na Zachodzie, czy słabszych jak u nas nogach, to chodzi nimi po suficie, głową do dołu. Popularność jest wszystkim, a reklamę książce można zrobić nie tylko marką autora. Pisarz kryminałów umiera przed premierą, w tajemniczych okolicznościach. Skandal, ciało ginie, być może ukradzione przez fanów albo w efekcie jakichś porachunków. *Smog* pójdzie jak sprzęt AGD na wyprzedaży.

– Co pani robiła w ostatnią niedzielę wieczorem i w nocy z niedzieli na poniedziałek?

Zszokowana zamrugła oczami, zbladła, szkła jej okularów błysnęły wrogo. Obronnym gestem skrzyżowała ramiona na masywnym biuście.

– No, co pan!?! Przecież mówił pan, że nie jestem podejrzana! Dlaczego miałabym mu pomagać w udawaniu śmierci? – warknęła.

– Nie jest pani podejrzana, a sfingowanie śmierci to pomysł czysto teoretyczny. Przygotowuję po prostu mapę czasoprzestrzenną wydarzenia, której elementem będzie aktywność wszystkich, choćby luźno powiązanych z nim osób. Potrzebuję do tego precyzyjnych danych. – Brzmiało niezłe, zwłaszcza że tę mapę czasoprzestrzenną wymyślił na poczekaniu.

– Byłam na koncercie finałowym studenckiego festiwalu piosenki w Ogrodzie Sztuki przy Rajskiej. Młodzi ludzie śpiewali utwory Osieckiej, Przybory, Kofty i Młynarskiego, prowadziła Krystyna Czubówna. Ale oni nie zapewnią mi alibi...

– W jakich godzinach odbywał się ten koncert?

– Zaczął się o dziewiętnastej, skończył gdzieś przed dziesiątą wieczorem. Potem wpadliśmy jeszcze z koleżanką do Winnego

Grona przy Krupniczej, ale tylko na dwie lampki, bo musiałam złapać ostatnią „ósemkę”. Około północy dotarłam do domu.

– A koleżanka?

– Odprowadziła mnie do tramwaju, a potem chyba poszła do domu. Mieszka przy Łobzowskiej.

– Mogę prosić o numer jej telefonu?

– Mapa czasoprzestrzenna, tak? – Stachurska spojrzała na niego gorzko, zwiesiła ramiona. Stukając w smartfona, mówiła z opuszczoną głową. – Przypomniało mi się właśnie, że była taka historia z Agatką. Z Agathą Christie, królową kryminału, gdyby pan nie chwycił zagadnienia. Pojechała gdzieś samochodem, nikt nie wiedział dokąd, nigdzie nie dotarła. Zaczęły się poszukiwania, uczestniczył w nich nawet Conan Doyle, który oddał jej rękawiczki jednemu z londyńskich wróżbitów. Ciekawe, co Sherlock by powiedział o metodach swojego twórcy... Samochód znaleziono rozbity niedaleko posiadłości Christie, ale ją samą dopiero po jedenastu dniach zauważył muzyk w hotelu na północy Anglii, w miejscowości odległej o kilkaset kilometrów. Okazało się, że zameldowała się pod innym nazwiskiem i utrzymywała, że przybyła właśnie z południowej Afryki. Twierdziła, że straciła pamięć.

– Sugeruje pani, że Kasprzak też może się odnaleźć po tym, jak już burza się przewali?

– Niewykluczone, więc może pan po prostu usiądzie i poczeka, zamiast nachodzić Bogu ducha winnych ludzi?

ROZDZIAŁ 3

1

Jeśli rację bytu miałyby pomysł urządzenia westybulu na zewnątrz rezydencji, to projektanci Cricoteki byłiby najbliższej jego realizacji. Komisarz Nawrocki stał na podeście na parterze ośrodka, nad głową miał dach stworzony przez wysokie piętro wzniesionego przed pięcioma laty budynku, ale na twarzy czuł zefirek wiejący wzdłuż Wisły. Po drugiej stronie rzeki widział czerwony mur gazowni na Kazimierzu, a tuż przy prawej ręce – dawną elektrownię Wolnego Miasta Podgórze, uruchomioną pod koniec XIX wieku, jeszcze przed elektrownią krakowską, gdzie za komuny Tadeusz Kantor założył archiwum teatru Cricot 2. Za plecami miał fragmenty nowoczesnej bryły z elewacją z perforowanej blachy, ulicę z apartamentowcami, a po lewej stronie – panoramę bulwaru aż po Kamienicę Paryską.

Coś jak randka, pomyślał. Miejsce w sam raz, aby pokazać pół Polce, pół Greczynce kęs urody i historii Krakowa. Tyle że Laura Okońska znała ją chyba lepiej od niego, bo sama zaproponowała kawiarnię usytuowaną na szczycie Cricoteki.

Dzisiaj przed południem została wypisana ze szpitala. Wit nie naciskał na spotkanie w Smoczych Apartamentach, bo był tam już ostatniej nocy, w porze, w jakiej rozgrywały się niedzielno-poniedziałkowe wydarzenia. Obejrzał mieszkanie, w którym dwa

dni wcześniej zostały zdjęte wszystkie ślady oraz wykonana dokumentacja fotograficzna i wideo, przebył możliwe trasy ewakuacji z lokalu – po schodach i windą. Ta pierwsza byłaby raczej wykluczona, gdyby należało Kasprzaka nieść, chyba że uczestniczyłyby w tym dwie osoby. Tak czy siak, jeśli ktoś zabrał ciało z mieszkania, po czym wywiózł samochodem, prawdopodobnie dostarczył je na podziemny parking windą. Jeśli natomiast pisarz uciekał sam, mógł to zrobić dowolną drogą i to nie tylko samochodem, lecz także na nogach – przez podwórze i bramkę. Wprawdzie widać ją z oszklonej recepcji, ale ochroniarz i Okońska, zaaferowani, nie dostrzegliby go. Zresztą mógł poczekać, aż opuszczą recepcję, kiedy wracali do mieszkania. Nikt z sąsiadów, przepytanych przez śledczych już w poniedziałek, nie zauważył niczego, nawet harmider umknął ich uwadze. W Smocznych Apartamentach mieszkali na ogół dość zamożni menedżerowie niższego i średniego szczebla, śpiący wówczas przed rannym wyjazdem do firm, w których pracowali.

Kiedy Laura weszła na dziedziniec po schodkach od strony ulicy, z odległości kilkunastu metrów uznał, że można ją scharakteryzować jako na równi skonstrastowaną, co stonowaną. Ubrana w czarną, bardzo prostą sukienkę do kolan i bez dekoltu, na to krwistoczerwony żakiet z rękawami podwiniętymi do połowy przedramion, wielkimi guzikami obciążniętymi materiałem i podniesioną stójką. Wyzierał z niej wąski złoty naszyjnik. Na ramię zarzuciła dużą czarną torbę, zaopatrzoną w szerokie metalowe uchwyty do trzymania w dłoni. Z bliska to wrażenie się potwierdziło: intensywnie niebieskie, niemal granatowe oczy pod grubymi czarnymi brwiami, zadziwiająca u kobiety po trzydziestce, nieznaczną, acz niemal dziecięcą, pucułowatość na policzkach i pod brodą, wargi w kształcie spłaszczonego serduszka delikatnie tylko pociągnięte szminką,

a przy tym – zmarszczki w kącikach oczu i ust, napięcie skóry twarzy i czoła, ciężkie, zmęczone powieki i ciemne kręgi poniżej. Czarne, błyszczące włosy miała zebrane u końców i połączone węzłem, przez co wyglądały jak rozsunięta i podniesiona kurtyna.

Podeszła do niego, podała bez słowa dłoń.

– Dzień dobry, Wit Nawrocki. Widzę, że nie wpasowałem się w *dress code* spotkania – powiedział z lekkim zakłopotaniem, omiatając wzrokiem swój strój w stylu lat dziewięćdziesiątych, zwieńczony, jakkolwiek na dole, sandałami.

– Wygląda pan idealnie. Wyznaję taką definicję mody, że właściwe jest to, w czym człowiek tak dobrze się czuje, że może lekceważyć opinie innych. – Nie poparła tych słów uśmiechem, ale jeszcze raz lekko uściśliła jego rękę.

– U pani jednak zupełnie inaczej ta definicja się przejawia.

– Proszę mi uwierzyć, że to dla higieny psychicznej tak się ubrałam. Ostatnio występowałam publicznie potargana i półnaga albo w rozchylającej się na pupie zgrzebnej szpitalnej koszuli.

Poirytowany, że za bardzo poddał się jej urokowi, w windzie spytał tonem nawet dla siebie nieoczekiwanie ostrym:

– Dlaczego ogłosiła pani publicznie śmierć Daniela Kasprzaka?

Popatrzyła na niego spłoszona.

– Zdecydowała emocja chwili. Szpital, ci wszyscy cierpiący ludzie, policjanci – wybąkała, tracąc błyskawicznie początkowe opanowanie. – Dzisiaj pewnie bym tego nie zrobiła.

Już przy pierwszym przesłuchaniu, w poniedziałek, Laura udzieliła ludziom z komendy miejskiej zgody na sprawdzenie laptopów oraz telefonów jej i Kasprzaka, podała hasła. Pełna współpraca. Informatycy skopiowali zawartość wszystkich urządzeń elektronicznych, a we wtorek po południu jeden z funkcjonariuszy odwiózł jej do szpitala smartfona. Niespełna dwie godziny później na fanpejdżu ukazał się nekrolog.

– Ale dlaczego jest pani pewna, że on nie żyje? – indagował dalej, gdy usiedli przy stoliku.

– No jak to? Tłumaczyłam to już policjantom w szpitalu. Przecież nawet ten ochroniarz stwierdził brak pulsu.

– I tylko na tym pani się opiera?

– Nie wiem, nie potrafię o tym jasno myśleć, mam jakby mgłę w głowie. To nawet trudno sobie wyobrazić: w jednej chwili mężczyzna jest nad tobą i w tobie, a w następnej zwała się na ciebie i charczy. Potrząsałam nim, krzyczałam...

Urwała, bo do ich stolika podeszła kelnerka, komunikując na powitanie, że mają świeżo zmieloną kawę z Gwatemali. Wzięli ją oboje, a Laura zamówiła dodatkowo tartę z malinami jesiennymi.

– Potrzebuję cukru. – Chyba uznała, że odtąd ze wszystkiego musi mu się tłumaczyć. – Jeśli będzie smaczna, to pójdzie w biust, a nie w biodra.

To prawdopodobnie miał być dowcip, ale się nie uśmiechnęła.

– W szpitalu przyszło mi do głowy, że byłam prawie jak bohaterka opowiadania, którą odwiedził w domu kochanek; robili to w wannie, a on dostał zawału, umarł i kobietę przygnoił. Mąż wrócił z pracy, zobaczył, co się stało, i wyszedł, zostawiając ją w tej wannie, z zimną wodą i drętwiejącym kochankiem, który był tak ciężki, że nie mogła się spod niego wydostać. Mnie udało się przetoczyć Daniela na bok, a jej przeszkadzały ścianki wanny. Nie chcę spoilerować, więc nie opowiem, jak to się skończyło.

– Śmiało, i tak raczej nie zmuszę się do przeczytania.

– Wyjęła sztuczną szczękę faceta i pokroiła go na kawałki. – Okońska nabrała na widelczyk spory kawałek tarty. – To był horror – dodała z pełnymi ustami.

– Ta kobieta próbowała się ratować, a pani wręcz przeciwnie. Dlaczego?

Z trudem przełknęła ciasto, jakby nagle urosło jej w ustach.

– To tak jak z tym postem, nekrologiem. Trudno wyjaśnić. Zadziałał impuls – odparła zająkliwie. – Byłam zrozpaczona, że Daniel odszedł, myślałam, że nie chcę żyć bez niego, ale to była histeria, egzaltacja. Potem zdarzyła się ta kompletnie nierzeczywista sytuacja ze zniknięciem zwłok, więc też zrobiłam coś irracjonalnego, nie zdając sobie sprawy z konsekwencji. Później już w żadnym momencie nie miałam myśli samobójczych.

Mówiła to samo, co przesłuchującym ją w poniedziałek policjantom.

– Co według pani stało się z ciałem?

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Źrenice miały jasne cętki, wyróżniające się na granatowym niemal tle.

– Myślę o tym ciągle, ale przychodzą mi do głowy tylko historie z przeczytanych lub obejrzanych horrorów. A nie znam ich zbyt wiele. Chce pan posłuchać?

– Pytam o pani zdanie.

– Nie potrafię wymyślić żadnej hipotezy. W tej sytuacji wysiada mi nie tylko logika, ale nawet wyobraźnia. Ktoś go musiał zabrać, skoro nie żył.

– Kto miał klucze do waszego mieszkania?

– Na pewno nie dawałam ich nikomu, nie wydaje mi się, żeby zrobił to Daniel. Ale mieszkanie i tak było otwarte, kiedy wybiegłam, nie myślałam o zamykaniu.

– Dlaczego powzięła pani przekonanie, że partner nie żyje? – spytał znowu, z naciskiem w głosie. – Dobrze rozumiem, że nie robiliście wcześniej niczego niecodziennego?

– Nie. No nie... Seks był ważny w naszym związku... Wie pan, czytałam niedawno wywiad z Olgą Tokarczuk i ona zwierzała się, że aby zmusić się do pisania i poprawiania tekstu po kilkanaście godzin na dobę, dawała sobie nagrody, bo nigdy by nie skończyła *Ksiąg Jakubowych*. Nie wiem, jakie to były nagrody, nie powiedziała, ale chyba podobnie dzieje się z wieloma pisarzami.

A nagrody Danielowi dawałam ja. Choć z drugiej strony może to były nagrody dla mnie. Takie pisanie powoduje produkcję adrenaliny i apetyt w łóżku miał ogromny... – mówiła bez wstydu, beznamiętnie.

Nawrocki poruszył się niespokojnie. Dzisiaj od rana przeglądał kopie zawartości laptopów i smartfonów ich obojga. Przypomniawsobie jedno ze zdjęć: właśnie wyszła z wody, wyzymała oburącz włosy, a mokry, biały kostium kąpielowy oblepiał jej piersi, brzuch i wżgórek łonowy.

– Zresztą nie robiliśmy nic złego. Czytałam gdzieś, że Kafka miał w domu mnóstwo pornografii, nawet zoofilskiej, a Andersen do końca życia się onanizował i zaznaczał to krzyżykami w dzienniczku.

– A narkotyki?

– Daniel zawsze cytował Huntera Thompsona, autora *Lęku i odrazy w Las Vegas*, który powiedział: „Nie odkryłem jeszcze narkotyku, który dawałby takiego kopa jak pisanie”. A miał dużą skalę porównawczą, przebadał empirycznie wiele zamienników... Daniel poprzestawał na pisaniu.

– Także niedzielnej nocy?

– To była wyjątkowa okazja. Poprzednio połączyliśmy seks z alkoholem i narkotykiem w czerwcu, gdy Daniel skończył pisać *Smog*, a teraz świętowaliśmy premierę – w sobotę przywieźli nam gotową książkę. Poszliśmy na kolację do włoskiej restauracji w Zaułku Niewiernego Tomasza, a po powrocie zażyliśmy kokę.

– Popijaną z gwinta Jackiem Danielsem?

– Johnem. – Po raz pierwszy się uśmiechnęła, smutno i skąpo, ale komisarza zaskoczyło to bardziej niż niezrozumiały wtęret.

– Słucham?!

– W *Zapachu kobiety* ten niewidomy pułkownik mówi do młodego chłopaka: „Dla ciebie to John Daniels. Możesz zwracać się do niego Jack, jeśli znasz go tak długo jak ja”. Chodzi o to, że forma

Jack jest konfidencjonalna. Ci, co stykają się z nim incydentalnie, rzadko, tak jak my z Danielem, powinni mówić z szacunkiem – John.

– Okej, załapałem dowcip już po cytacie.

– Przepraszam, poniosło mnie. Co ciekawe, film nakręcono według książki włoskiego autora, Giovanniego Jakiegoś tam. Tej kwestii w niej nie ma, choć bohater, mimo że jest Włochem, pije litrami whisky. Fabuła sporo się różni, dochodzą charakterystyczne dla Italii realia, a najzabawniejsze, że zamiast jazdy porsche bohater uwielbia energiczne spacerki, natomiast dokuczające mu dzieci zastępuje spasiony kot, który nie znosi właściciela i fuka na niego. Zresztą czytając, i tak cały czas ma się przed oczami Ala Pacino.

Nie wiedział, czy te ciągle odwołania do literatury są dla niej stylem konwersacji, sposobem na wybicie przepytującego z rytmu, czy ucieczką od mówienia prawdy. Kiedyś zetknął się z takim zdaniem: „Ludzie czytający książki przeżywają kilka egzystencji na raz”. Słuchając wczoraj Stachurskiej i dzisiaj Laury, zastanawiał się, czy oprócz nich żyją naprawdę własnym życiem.

– A skąd pomysł na seks z użytkami? Z książki czy z filmu?

– Mój były mąż to lubił. Ale to chyba nie było nic niezwykłego, sam by tego nie wymyślił, brakowało mu fantazji i wyobraźni. Kiedyś opowiedziałam o tym Danielowi i też chciał spróbować.

– Opowiadała mu pani o seksie z byłym mężem?

– Nie, nie. Są granice szczerości w związku. Po prostu powiedziałam, że słyszałam o czymś takim.

– A kto kupił kokainę?

– Daniel. Do własnego użytku, to chyba nie przestępstwo?

– U kogo się zaopatrywał?

– Nie wiem. Znalazł kogoś? Ktoś mu odpowiedział, do kogo się zwrócić? To nie było jego środowisko. Zrobił to tylko dwa razy, najpierw trzy lata temu. Pierwszy zakup zużyliśmy bodaj w trzech

porcjach w ciągu dwóch lat, a drugi raz kupił w czerwcu. Wtedy wzięliśmy połowę. Teraz drugą.

– Wcześniej zdarzały się jakieś skutki uboczne?

– Nie. Było wyłącznie i nieprzerwanie przyjemnie.

Miała w sobie coś ulotnie cudzoziemskiego, południowego, ale mówiła bogatą polszczyzną bez akcentu. To już trzeci kontrast, pomyślał, a trzeci obszar umiarkowania – jej niski, ciemny głos. Poza dwoma incydentami, kiedy z rozmysłem wyprowadził ją z równowagi, był pozbawiony nut agresywnych i obronnych, zalotności i słabości. Dopiero teraz Nawrocki dostrzegł szramę obrysowującą jej szyję na kształt złotego naszyjnika, niespełna dziesięć centymetrów wyżej. Użyła zapewne sporo pudru do zamaskowania śladu po pętli, ale też powinien zauważyć go wcześniej, gdyby jego uwagi nie przykuwały inne elementy jej wyglądu...

– Proszę opowiedzieć, jak się poznaliście.

– Pracowałam w greckiej restauracji przy placu Niepodległości, jako menedżerka, a właściwie człowiek do wszystkiego, włącznie z zamiataniem sali, kiedy brakło sprzątaczk. Restauracja nazywa się Hellada, istnieje do dzisiaj. To było późną jesienią, niedługo po ukazaniu się *Wody*. Pamiętam, bo kiedy się dowiedziałam, że jest pisarzem i wydał już dwie książki, zrobiło to na mnie ogromne wrażenie. Ale na początku, w restauracji, wywiązała się błaża pogawędka, jakich musiałam prowadzić sporo z facetami, i cieszyłam się, jeśli już w drugim zdaniu nie padały prostackie propozycje łóżkowe. On natomiast powiedział: „Żałuję, że nie poznałem pani dwadzieścia kilogramów wcześniej”, czym mnie rozbawił. Potem przyznał się, że zmałpował z Tuwima, zresztą nadwagi aż tak wielkiej nie miał. Przy mnie jeszcze schudł i wyglądał jak w czasach studenckich. A jego ujęło, że załapałam żart, bo wcześniej o mało nie dostał po twarzy, kiedy dziewczyna uznała, że to aluzja do jej tuszy.

– Zgadza się, to jest temat, którego lepiej nie poruszać w żadnym kontekście. Odtąd byliście razem?

– Zbliżyła nas wspólna miłość do książek. Mieszkając w Grecji i ucząc się w greckiej szkole, dużo czytałam po polsku. Klasykę, choć raczej klasykę pop, w rodzaju Sienkiewicza, Prusa i Żeromskiego, ale też kryminały. Jeśli tylko miałam możliwość, to wybierałam je w polskich wersjach językowych, nie greckich. Trochę tego było u polskiej diaspory w Atenach, trochę przysyłała mi babcia. Chciałam studiować jakąś filologię w Krakowie, ale wylądowałam na ówczesnej Akademii Ekonomicznej, bo na studia humanistyczne rodzice nie daliby mi pieniędzy. A Daniel lubił książki wręcz fizycznie, żył między nimi. Gdy sprzedawał książki na giełdzie przy Grzegorzeckiej, magazyn miał w wynajmowanym mieszkanku w Wieliczce.

– Nie wiedziałem.

– To było dawno temu, zanim się poznaliśmy. Handlował nimi w niedzielę i tak sobie zarabiał na studia, zamiast pracować jako stróż, kelner czy rozwozić pizzę. Zrezygnował z tego, gdy wyszła jego debiutancka powieść i pojawiły się pierwsze pieniądze. Mówił zresztą, że dawny klimat niedzielnej giełdy już umarł.

Wit zdziwił się, że Stachurska o tym nie wspomniała. To by pasowało do tonu jej wynurzeń: „Gdyby nie ja, do dzisiaj stałby przy straganie”.

– Brała pani udział w tworzeniu jego kryminałów?

– Parę razy robiłam *research*. Przede wszystkim o życiu księży i funkcjonowaniu kurii w latach pięćdziesiątych, a potem o czerwonych beretach. Daniel uważał, że te dwa środowiska dużo łatwiej mnie zaakceptują. Omawiał ze mną pomysły, ale czasem tylko po to, żeby zrobić dokładnie odwrotnie. Mawiał, że jestem „probierzem na odbitkę”. No i dawał mi gotowe fragmenty do przeczytania. Choć książki w takiej postaci tracą urok. To chyba tak, jakby obserwować przygotowywanie jedzenia. – Skrzętnie

zbierała okruszki z talerza, nabijając je między zęby ustawionego na płask widelczyka, który potem włożyła do ust. – Ogarniałam też Facebooka i inne sprawy marketingowe, ale tego nie było dużo.

– To była płatna praca?

– Nie, po prostu mu pomagałam.

– Odziedziczy pani coś po nim?

– Oczywiście, wspomnienia, satysfakcję! – Już na poprzednie pytanie odpowiedziała odpychającym tonem, a teraz wręcz się zjeżyła. – Czy to dlatego, że nie rozpaczam pokazowo, nie płaczę, nie wrywam sobie włosów z głowy, uważa pan, że ma prawo sugerować takie rzeczy. Jakbym... jakbym to robiła dla pieniędzy. Jakbym go teraz zabiła dla pieniędzy. Przecież to nie kryminalne czytało z dwudziestego wieku!

– Proszę się uspokoić, zadaję pani rutynowe pytania. Tak samo jak w starych kryminałach chodzi o ustalenie motywu i okazji do popełnienia morderstwa oraz stworzenie za ich pomocą listy podejrzanych.

– No to ja nie miałam materialnego motywu! Mieszkanie jest na Daniela, kupione na kredyt, który spłacał z honorariów. Nie mam dostępu do jego konta. Nasz związek nie był sformalizowany, a testamentu nie ma.

– Może pani o nim nie wie?

– Wiedziałybym, bo dokumenty trzymamy we wspólnej skrytce bankowej. Będzie pan mógł do nich zajrzeć, tak jak do komputerów i telefonów. To historia trochę podobna jak ze Stiegiem Larssonem, tyle że on jest dużo sławniejszy.

– Słyszałem o nim. Ale ten chyba nie zniknął?

– No, nie... Ale też umarł na serce, wchodząc parę pięter po schodach, bo winda się zepsuła. Poza tym on nie doczekał popularności swojej trylogii, *Millenium*, nawet nie wiem, czy choć pierwszy tom zobaczył wydrukowany. Miał partnerkę, z którą był długo związany, lecz bez ślubu i testamentu. Nie dostała nic

z kilkudziesięciu milionów euro, jakie zarobiły jego książki. Wszystko przypadło ojcu i bratu, z którymi Larsson nawet nie utrzymywał kontaktu.

– Daniel Kasprzak ma rodzinę?

– Ma, chyba byli pokłóceni, nie poznałam ich. Teraz powinni się objawić... Ale jest jedna zasadnicza różnica między nimi a rodziną Larssona. W umowach z wydawnictwem Antonium zostało zapisane, że w razie śmierci Daniela muszę wyrazić zgodę na dysponowanie jego spuścizną. Czyli na wszelkie ekranizacje, przekłady, a przede wszystkim – kontynuacje.

– Nie zgodzi się pani?

– Wykorzystywanie już opublikowanych powieści na różnych polach eksploatacji czy wydania zagraniczne są mile widziane. Chodzi o kontynuacje, o żerowanie na wyobraźni, wzruszeniach, uczuciach Daniela przez kogoś, kto nawet się z nim nie zetknął. Na pewno nikt nie będzie uprawiał nekrofilii na jego twórczości, bo ja nie pozwolę na to wydawcy.

– Wydawca Kasprzaka byłby do tego zdolny?

– Nie znam go. Ale każdy jest zdolny do wszystkiego, gdy mu zapachnie kapusta.

– A pani z czego będzie żyć?

– Z tego, co do tej pory. To znaczy... Nie ma co ukrywać, że Daniel w dużej mierze mnie utrzymywał, pokrywał rachunki. Ale zawsze miałam własne dochody i mogłabym robić to sama. Czasem robiłam. Nigdy nie czekałam, aż za mnie zapłaci.

– Pracuje pani w biurze podróży?

– Tak, jestem przedstawicielką greckiego biura Acropolis na Polskę. Nie mamy lokalu, bazujemy na ofercie internetowej, ale strona ma wersję w języku polskim. Pracuję zdalnie, wyjaśniam, namawiam, zawieram umowy, dopilnowuję organizacji czarteru. Mamy w ofercie zarówno typowe wczasy, z leżeniem na plaży

i picciem drinków, jak i bardzo aktywne zwiedzanie starożytnych zabytków czy masywu Olimpu albo Meteorów.

– Odwiedzaliście Grecję z Kasprzakiem?

– Co najmniej dwa razy do roku. Teraz byliśmy od końca września do połowy października. To znaczy ja poleciałam samolotem, a on jechał samochodem. Trochę bał się latać, a ja nie lubiłam jeździć autem.

– Aż tak, żeby podróżować oddzielnie?

– Kiedyś na studiach jechałyśmy z koleżanką na imprezę i miałyśmy stłuczkę. Niegroźną, ale ja jestem panikara, sam pan wie... Wyskoczyłam z kabiny, przez co omal nie zostałam przejechana przez inny samochód. Byłam akurat w trakcie kursu nauki jazdy. Kiedy poszłam na następną lekcję, wsiadłam za kierownicę, dostałam napadu jakichś lęków, duszności. Musiałam wysiąść. Żadna z późniejszych prób się nie udała, do dzisiaj nie zrobiłam prawka. Jako pasażerka mogę jeździć, zwłaszcza z tyłu, ale nie czuję się komfortowo i unikam tego. Zresztą urządzaliśmy to tak, że on jechał powoli samochodem, rozbijając to na etapy z noclegami i szwendaniem się po miejscowości, w której robił postój, a ja przez te kilka dni odwiedzałam rodzinę w Atenach. Za którą z kolei Daniel nie przepada. Potem razem jechaliśmy gdzieś samochodem lub płynęliśmy promem na Naksos.

– Wracaliście w ten sam sposób?

– Tak, teraz zasuwałam, myk, myk do Srakówka.

– Kasprzak też tak mówił: Srakówek?

– On zawsze mówił Miasto, a na Wieliczkę, w której mieszkał jakiś czas – Miasteczko. Kraków ubóstwiał, co chyba widać w jego twórczości.

– Pani się nie podoba? Przecież ten widok sama pani wybrała. – Nawrocki wskazał dłonią pobliską oszkloną ścianę, pokrytą z zewnątrz ażurową konstrukcją, przez której romby patrzyło się na wstęgę Wisły łączącej na tym odcinku aż trzy tradycyjne

dzielnice: Podgórze, Kazimierz i Ludwinów. Panoramę rozcinały zgrabne sylwetki kładki Bernatka i mostu Piłsudskiego, a także wciąż efektowny architektonicznie, choć zdegradowany do roli największego w mieście słupa reklamowego, hotel Forum.

– Nie jest zły, ale nie może się równać z oglądanym z klifu, roziskrzonym słońcem morzem. W Atenach jest sporo syfu, ale na archipelagu znajdę krystaliczne powietrze zamiast smogu i przejrzystą wodę zamiast trującej zupy, nazywanej rzeką. Aha – i zamiast osiedli, w których bloki włożą sobie na głowę, są tam białe budyneczki, jak kokosowe czekoladki w bombonierce.

– Brzmi jak prospekt wycieczki.

– W dodatku jest prawdziwy. Przede wszystkim jednak mam uraz do Krakowa przez to, co mnie tu spotyka. A kiedy leżałam w szpitalu i odwiedzali mnie tylko policjanci, zrozumiałam, że nie jest to moje miejsce. Nie spędzę tu reszty życia, sorry.

– Nie powinna pani w tej chwili wyjeżdżać. Nie chciałbym zmuszać pani do tego metodami administracyjnymi...

– Jeszcze się nie pakuję. Poczekam, aż wszystko się wyjaśni, zresztą chcę zobaczyć triumf Daniela.

– W którą stronę pan jedzie? Ma pan jakiś transport? – spytała, kiedy czekali na windę.

– Wybieram się na Łazarza. Tramwajem.

– Ja wracam do siebie. To może weźmy taksówkę; zapłacimy na pół, tak będzie uczciwie i nie zostanę oskarżona o próbę przekupstwa.

Kiedy obchodził taryfę, która pojawiła się pod Cricoteką dosyć szybko, zorientował się, że ona nie wsiada, tylko patrzy na niego zmrużonymi oczami, lekko pochylając głowę. Kobiety patrzą tak, gdy są zainteresowane.

W środku jednak nie zrobiła żadnego gestu, położyła nawet między nimi torbę. Czuł tylko słodki, ale nie nachalny, waniliowy zapach jej perfum. Nurtowało go coś, co powiedziała wcześniej

o czytaniu czy powieściach, lecz nie mógł tego uchwycić. Musiało mieć związek ze zdarzeniem lub obrazem spoza ich spotkania, z przeszłości.

– Chodzi pani z tak dużą torebką, żeby nosić książki? – zagadnął.

– Owszem, zawsze mam jakąś. Ostatecznie może służyć nawet do samoobrony. – Podała mu niezbyt wielki, ale gruby i ciężki tom w lakierowanej okładce.

Arturo Pérez-Reverte, *Mężczyzna, który tańczył tango*.

– To ten pisarz, według którego Polański nakręcił *Dziwiate wrota*? Miałem wtedy ochotę przeczytać pierwowzór z ciekawości, ale później jakoś się to rozmyło.

– Tak, to był *Klub Dumas*. Ale Polański wykastrował tamtą powieść z całego wątku tytułowego, traktującego o miłości do literatury rozrywkowej. Czy raczej będącego hymnem na jej cześć. Za co Roman ma minus, ale z drugiej strony – plus za popularyzację hiszpańskiego pisarza. Krytycy sugerowali Danielowi podobieństwa do Kinga, ale jego wzorem i inspiracją były właśnie powieści Péreza-Reverte, zwłaszcza *Ostatnia bitwa templariusza*. Ksiądz, jezuita, przyjeżdża do Sewilli, aby wyjaśnić tajemnicę kościółka, który ponoć zabija ludzi, a jednocześnie stara się go przejąć chciwy deweloper.

2

Janusz Pacuła popatrywał na siedzącego przed nim policjanta i zastanawiał się, co przede wszystkim jest z nim nie tak. Nawet nie strój, choć facet przyszedł do niego w sandałach, a kiedy Janusz odszedł na kilkanaście minut, by uzupełnić protokół pobrania leków, po powrocie zastał go zakładającego czarne skarpetki.

W dzień było ponad dwadzieścia stopni, ale po zmierzchu pochołdniało.

Letnie beżowe spodnie, biały T-shirt, na nim cienka dżinsowa koszula, niewielki plecak. Nie da się określić, ile facet ma lat ani z którego roku został tu przerzucony. A jest ponoć komisarzem.

Po drugie ten Nawrocki miał coś takiego w twarzy... Trudno to określić, zwłaszcza że w tej robocie spotykało się na ogół czynnych nałogowców... Ale ten ewidentnie był po jakimś procesie i to nawet kilkuletnim.

Przyjechał bez umówienia, tuż przed dyżurem. Dyspozytor zgodził się nie wysłać ich, jeśli nie będzie musiał. Spoczęli na białej ławeczce przy wejściu do poradni chirurgii urazowo-ortopedycznej, bo było to jedyne siedzisko pod gołym niebem. W pomieszczeniach pogotowia żał byłoby dusić się przy takiej pogodzie. Pytał dokładnie o to samo, co tamci gliniarze w poniedziałek, Janusz odpowiadał zdaniem znajdującymi się w protokole, który dostał później do podpisania, a Nawrocki nie dawał po sobie poznać, że to znajome dla niego kwestie. Sprawdza go? A czemu jego? Z Mariuszem pogadał niecałe dziesięć minut – tamten napytłował w swoim stylu, pewnie nawet pokręcił część faktów – a mnie trzyma. Mario przed chwilą zakomunikował, że idzie na kielbę pod halę targową. Z Łazarza to dwa kroki.

Raz się o to pokłócili, bo upierał się bez sensu, że prawdziwi krakowianie nie nazywają tego „Kielbaską z niebieskiej nyski”. „Zresztą jest ciemno i nie widać koloru samochodu”. Janusz się wkurzył i pojechali tam z akcji w środku nocy. W blasku stojącej nieopodal latarni furgonetka miała wyraźny granatowy odcień. Cymbał. Dzisiaj nie rzucił mu nawet rutynowego dowcipu, zaczerpniętego z *Ciemnej strony miasta*: „Gdy zaczniesz jeść, dostaniemy wezwanie”.

– To najdziwniejsza sprawa, z jaką zetknął się pan w tej pracy? – spytał komisarz.

– Pracowników pogotowia nie da się zaskoczyć. – Kiedyś wypowiedziały to z dumą, teraz pozostała już tylko zmęczona rutyna. – Za dużo mieli zonków. Niedawno koledzy zostali wezwani do słuchaczki płyt chodnikowych. Gdy dotarli na miejsce, kobiety już nie było, ale znaleźli ją w barze. Ratownika, który zadawał jej pytania, uderzyła z liścia. Innym razem, podczas interwencji przy Rynku, chlor, który miał być nieprzytomny, rzucił kuflem w karetkę, rozbijając przednią szybę. Sytuacje z menelami w tle są zwykle pełne wrażeń. Na studiach z ratownictwa medycznego uczą teraz samoobrony; chwytów, które pozwolą uniknąć ataku fizycznego.

– Ratowniku, ratuj się sam...

– Właśnie. Jest nawet takie hasło: oczekuj nieoczekiwanego. Włącznie z innymi poszkodowanymi i innymi dolegliwościami niż te, do których było wezwanie.

– To musi strasznie obciążać emocjonalnie. Jeszcze bardziej niż drastyczne elementy, z jakimi się stykacie. – Policjant patrzył na niego uważnie, niemal ze współczuciem. – Człowiek łatwiej radzi sobie z niebezpieczeństwem, trudnościami, gdy się na nie przygotowuje psychicznie, przetworzy je przed faktem, nawet zwizualizuje.

Do Pacuły dotarło, że ten gość nie przybiera żadnych póz. Ubiera się, jak mu wygodniej, nie bacząc, co o nim powiedzą. Nie liczy się z powierzchownymi opiniami i sam takich sądów nie wydaje, lecz stara się wnikać w rozumowanie i odczuwanie rozmówcy.

– Jasne, z powodu wypalenia z zawodu odeszło mnóstwo ludzi, niektórych załatwiły kontuzje; najczęściej kręgosłupa, sam mam z nim kłopoty – przytaknął. – Ale są i sposoby odreagowania; używki – to oczywiste, sport, czas spędzany z rodziną, pomaga też mocny czarny humor, królujący w naszym środowisku, raczej nie do zaakceptowania przez osoby postronne.

– A pomoc specjalistów?

– Firma nie zapewnia opieki psychologicznej, a wśród starszych ratowników to na ogół temat tabu. Młodszy chętniej po nią sięgają, a przynajmniej są bardziej otwarci i częściej się przyznają. Dla mnie nie to jest jednak najgorsze. Wie pan, czytałem kiedyś powieść Nicka Hornby'ego, tego od *Wierności w stereo* i takiego filmu z Hugh Grantem...

– *Był sobie chłopiec*?

– Właśnie! Lubi pan Hornby'ego czy Granta? A może obu?

– Była żona jest fanką Granta, więc byłem zobligowany obejrzeć każdy film z jego udziałem. Zresztą z *Wierności w stereo* też zrobili dobry film i to nawet jeszcze w epoce naszego kinowego randkowania.

– Ta książka ma tytuł *Jak być dobrym*. Bohaterka pracuje w szpitalu i powtarza jak mantrę: „jestem lekarką, dobrym człowiekiem”. To dla niej zakłęcie przeciwko przykrościom i nieszczęściom, które ją spotykają w życiu, oraz usprawiedliwienie własnych złych postępów poza sferą medycyny. Rzadko działa. Mówię sobie to samo i jestem jeszcze mniej usatysfakcjonowany. Nie wiem, czy jestem dobry, skoro w pracy muszę ciągle walczyć z obrzydzeniem, lękiem, zniechęceniem, a po powrocie do domu – z obojętnością wobec bliskich, ich spraw. Nie mam poczucia ważności swojej pracy, nie szanuję części pacjentów, więc trudniej mi o szacunek do samego siebie. Stąd już blisko do zachwiania poczucia własnej wartości i do braku pewności siebie w relacjach międzyludzkich.

– Nie ma miejsca, gdzie można by się przenieść, choćby czasowo, gdzie praca jest spokojniejsza? Po to, żeby „odetchnąć”?

– Dawniej Krzeszowice, Skalę, Balice, Wieliczkę nazywaliśmy wsiowymi rejonami, bo były spokojne, mniej się w nich jeździło. No, w Krzeszowicach był burdel w dawnym kurniku, mówiło się: „jedziemy do kurnika”, i tam należało liczyć się z pewnymi

emocjami. Tego burdelu już nie ma, za to generalnie sytuacja się zmieniła. Wielu ludzi przeprowadza się za miasto, populacja rośnie, a wraz z nią – liczba zdarzeń.

Policjant patrzył na niego spokojnie, Januszowi wydawało się, że jest w tym spojrzeniu dużo empatii. Zaraz poproszę go, żeby mnie pogłaskał pocieszająco po głowie, zreflektował się.

A komisarz, nawet jeśli uznał, że powinien dodać mu otuchy, to sposób wybrał nie najbardziej fortunny.

– Przynajmniej mieliście trochę szczęścia w tej ostatniej sprawie, bo gdyby zniknęło ciało człowieka, którego zgon stwierdziliście, całe odium spadłoby na was – powiedział krzepiąco.

– My nie stwierdzamy zgonu urzędowo, tak samo jak nie zrobił tego ten ochroniarz. Poza tym nie mogła nam się przytrafić taka wpadka – zaprotestował Janusz. – Nie zostawilibyśmy ciała samego, więc by nie zniknęło, a będąc przy nim, zauważylibyśmy, że jest coś nie halo, na przykład, że ożyło.

Wczoraj dowiedzieli się z „Kuriera”, że tamten facet był dość sławnym pisarzem. No cóż, ostatecznie nawet go nie poznali...

– Powoli – podniósł rękę Nawrocki. – Gdybyście przykładowo zostali wezwani przez tę kobietę i jako pierwsi pojawili się przy ciele?

– Mamy zgłoszenie NZK, przyjeżdżamy i prowadzimy resuscytację krążeniowo-oddechową.

– A po ludzku?

– NZK to nagle zatrzymanie krążenia, a resuscytacja to masaż i wentylacja. Mamy defibrylator, urządzenia do intubacji, wszystkiego używamy. Możemy zrobić EKG, wysłać je do szpitala do konsultacji z kardiologiem. Prowadzimy działania nawet przez godzinę, do uzyskania krążenia. No chyba że się nie uda...

– Można się pomylić przy stwierdzeniu zgonu?

– Niezupełnie. Przy hipotermii można nie wyczuć tętna. Ale wtedy nie stwierdza się zgonu, póki nie ogrzeje się ciała.

– Dobra, wygląda to na zgon, więc wzywacie naszych?

– Dokładnie. Młody facet, nagle zejście, musimy wezwać policję i poczekać na nią w mieszkaniu, obok zwłok.

– Kobieta jest w hysterii, nie wiadomo, co zażywała, jak z nią postępujecie?

– Przy hysterii na dzień dobry hydro, pardon – hydroksyzyna. Lek na uspokojenie, o którym wiadomo, że nie wejdzie w korelację z narkotykiem.

– Ale kobieta próbuje się powiesić.

– Ratujemy ją, tak jak to zrobiliśmy, i czekamy, ewentualnie wzywamy drugi zespół.

– Nawet jeśli oczekiwanie na policję lub inną karetkę zajmie dużo czasu?

– Tak, do skutku. – Dziwne, że gliniarz zadawał pytania o przepisy i procedury, które choćby pobieżnie powinien znać, ale Janusz uznał, że weryfikuje jakąś teorię. Albo jego.

– A gdyby napuściła gorącej wody do wanny, weszła i tam podcięła sobie żyły?

– Wyciągamy, opatrujemy, podajemy leki, wzywamy drugi zespół i czekamy. Nie możemy zostawić tamtych zwłok.

– Wszystko zalane krwią, kobieta ledwo żywa, trzeba ją wieźć do szpitala.

– To nie takie hop-siup, żeby zabezpieczony pacjent zszedł.

– Moglibyście zamknąć mieszkanie albo wezwać kogoś, sąsiada lub ochroniarza.

– Nie możemy zrobić nic takiego, a uprzedzając ewentualne pytanie – nie możemy też zabrać ze sobą trupa, żeby nie zginął.

– W porządku, wierzę. Wróćmy jeszcze do wezwania i czasu waszego przyjazdu. W centrali pewnie macie funkcję

rozpoznawania numerów, nawet przy blokadzie, i lokalizacji, więc nikt nie mógł zadzwonić anonimowo.

O co mu chodzi?

– Zgadza się. Ochroniarz zadzwonił bezpośrednio do pogotowia, a nie na numer alarmowy, więc wezwanie poszło szybciej. Chwilę dłużej by to zajęło, zanim dyspozytor ze sto dwanaście wypytałby go, o co chodzi, i przełączył do naszego. Za to straciliśmy te minuty przy dojeździe.

– Czemu?

– Bo kolega pojechał na rondo między Wita Stwosza a Rakowicką, które było zamknięte. Znalazłem wczoraj w necie artykuł o tym, który wcześniej przegapiłem, bo bym go ostrzegł. Na tym terenie nie ma miejscowego planu zagospodarowania, więc deweloperzy budują na podstawie decyzji o warunkach zabudowy. Tak stanęło już kilkanaście budynków, a drogę do ronda zrobili z pół roku temu i od tamtej pory była używana, aż ją urzędnicy zamknęli w ubiegłym tygodniu. Urząd dał pozwolenie, potem wycofał, a teraz twierdzi, że w ich rozumieniu to nie droga i nie można przeprowadzić jej odbioru, bo to teren prywatny i właściciel odpowiada za zdarzenia na nim. Prawdopodobnie będzie sprawa w sądzie. Ciekawe, ile to jeszcze potrwa.

– Na oznakowanie ulic i remontów można się pożalić tylko świętym krakowskim. – Komisarz się uśmiechnął. – Okoliczni mieszkańcy pewnie wiedzieli, że rondo zostało zamknięte i dojazd jest utrudniony.

– Pewnie tak, ale nie mogli wiedzieć, skąd przyjedziemy. Wezwanie zastało nas na Wrocławskiej, gdyby wysłano karetkę z Łazarza, wybrałaby inną drogę.

– Nie mijaliście żadnego samochodu albo człowieka na odcinku Rakowickiej pomiędzy kościołem a Smoczymi Apartamentami? Niekoniecznie podążającego z naprzeciwka, ale może w tym

samym kierunku co wy – o to spytał już trzeci raz, w nieco inny sposób.

– Nikogo nie zauważyłem.

– A była szansa, że przyjedzie inna karetka, w szerszej obsadzie i na przykład z lekarzem?

– My jesteśmy karetką typu P, obsadzoną zawsze przez dwóch ludzi, obaj są ratownikami. Są karetki typu S, ze strażnikiem pieczętki, czyli lekarzem, ale dużo rzadsze. Dyspozytor decyduje, czy taką wysłać, ale to nie była tego rodzaju sprawa.

Paauza po jego ostatnich słowach się przedłużała, więc Pacuła odważył się spytać o domysł, który od pewnego czasu chodził mu po głowie.

– Czy pan podejrzewa, że to był teatr, że oni to wszystko udawali?!

Policjant wyduł usta.

– Na razie nic nie podejrzewam, tylko badam, jakie scenariusze mogłyby się wydarzyć w istniejących realiach. A pan co podejrzewa?

– Ja nie jestem od tego. I, jak mówiłem, w tej pracy przekonałem się, że nie ma rzeczy niemożliwych, zwłaszcza jeśli scenariusz piszą narkotyki. Na początku pracy w pogotowiu miałem przypadek, że pacjent był nieprzytomny, na żadne bodźce nie reagował, a w karetce rzucił się na nas, powybił szyby i uciekł.

– Załóżmy, że w tej sytuacji narkotyki były obecne. – Komisarz podparł brodę i patrzył na niego wyczekująco.

– U tej kobiety badanie coś wykryło, prawda?

– Nie mogę tego zdradzać. A jak pan uważa?

– Coś wzięła, to oczywiste, wystarczy spojrzeć, jak się zachowywała. Ale nie o to chodzi, czym naćpała się ona, tylko ten rzekomy nieboszczyk. Nie wiem, czy pan widział, jakie reakcje powoduje nalokson, który odwraca działanie heroiny. W filmie

Ciemna strona miasta z Nicolasem Cage'em jest scena, gdzie ładnie to widać.

– Myślałem, że to adrenalina pomaga przy heroinowej zapaści, jak w *Pulp Fiction*. – Nawrocki znów się uśmiechnął.

– Nie, *Pulp Fiction* to akurat przykład stworzenia sceny bez wiedzy medycznej. *Ciemna strona miasta* powstała na podstawie książki napisanej przez sanitariusza, który dziesięć lat pracował w szpitalnej karetce w dolnej części Manhattanu, nazywanej Kuchnią Piekła. Chyba nie muszę tłumaczyć, jakie to miejsce. W każdym razie działanie naloksonu wygląda niczym zmartwychwstanie. Paru kolegów miało takie sytuacje jak z *Ciemnej strony miasta*.

– To kultowy film w waszym środowisku?

– Na pewno niektóre sekwencje, dialogi. „Ratowanie życia wciąga jak narkotyk, wszystko wydaje się lepsze. Kiedyś nie czułem pod stopami ziemi, w butach grały mi waltornie, z kieszeni sypały się kwiaty”. „Czułem, jakbym był wszechmocny, jakby wstąpił we mnie Bóg. Tamtego dnia Bóg był tutaj”. Polecam, tam ratownicy są psycholami równymi pacjentom. – Puścił oko, żeby zrównoważyć wcześniejszy górny ton.

– No dobrze, ale kto mógł podać nalokson temu pisarzowi? I co, jeśli jego partnerka wzięła na przykład kokainę?

– Nie musieli jeść tego samego... Sedno nie w tym, czy mu podano nalokson, bo nie wiadomo, czy brał heroinę. Specyfik, który przyjął, mógł wywołać kompletnie nieprzewidziane reakcje organizmu i zachowania, zarówno bezpośrednio po fakcie, jak i później.

– Przecież takie kwestie zostały zbadane przez lata istnienia tych środków – oponował komisarz.

– Klasyczne narkotyki są *passé*, niestety. – Ratownik wzruszył ramionami. – Narkotyki było łatwiej rozpoznać; wchodziłem, patrzyłem i wiedziałem, co podać albo czy wieźć klienta do

wypłukania. Dopalacze dużo trudniej zidentyfikować, nawet mimo objawów, nie wiadomo więc, jak to leczyć. Pamięta pan, jak „Krystyna” zagościła w mieście, jakieś sześć, siedem lat temu? Miałem wtedy dyżur, pojechaliśmy do zatrzymania krążenia w dyskotecę w śródmieściu. Prawie stanąłem na głowie i zaklaskałem uszami, ale nastoletni chłopak mi zszedł. Cała baza z Łazarza miała tamtej nocy urwanie pyty. Przepraszam za wyrażenie. W ciągu trzech godzin doszło do pięciu zgonów młodych ludzi w różnych częściach Krakowa. Potem okazało się, że byli w tym samym klubie na imprezie i wzięli ten sam koktajl dopalaczy, nazwany przez nas „Krystyną”.

Kiedy gliniarz się żegnał, pojawił się Mariusz, a Pacule przypomniało się, jak Frank Pierce prowokował nowojorskiego kierownika zespołów, nazywanego tam kapitanem, żeby go zwolnił.

„Wyrzucę cię, ale jutro, bo dzisiaj nie mam kogo dać na dyżur z Tomem Wallsem” – odparł tamten.

3

Do komisarza Nawrockiego wracały nawyki z młodości. Takie atawizmy, tylko na odwrót, bo przydatne w funkcjonowaniu. Choćby przyzwyczajenie z dojazdów do szkoły i na uczelnię w latach dziewięćdziesiątych, gdy ustawiał się na końcu przystanku, aby wsiąść do ostatniego – drugiego lub trzeciego – wagonu, który zawsze był luźniejszy. W tych nowych, Lajkonikach czy Krakowiakach, ta taktyka się nie przydaje, bo ludzie rozkładają się po całym długim tramwaju, ale w „jedynce”, którą złapał dzisiaj na placu Wszystkich Świętych, dali dwuwagonowy skład.

Przysiadł na obitej laminatem półeczce pod tylnym oknem i rozmyślał o tej pokręconej sprawie. Jeśli uczestnicy przygotowali się do niej, to przygotowali się bardzo dobrze. Jak pisarz robiący *research* do nowej książki... Paradoksalnie jednak, jeśli naprawdę było tak, jak mówią, to ich historia brzmi bardzo wiarygodnie, z naturalnymi, autentycznymi zachowaniami. Kasprzak dostał ataku, więc Laura wpadła w panikę i pobiegła po pomoc do człowieka, co do którego była pewna, że nie śpi o tej porze. Ochroniarz opuścił swoje stanowisko i pospieszył za nią, a kiedy nie zdołał zreanimować Kasprzaka, wrócił i zadzwonił po ratowników medycznych. Nie na numer alarmowy sto dwanaście, co dałoby co najmniej parę minut zwłoki, cennej w razie ucieczki pisarza czy wyniesienia jego ciała, ale do instytucji kojarzącej się bezpośrednio z sytuacją – pogotowia ratunkowego.

Wydarzenia nosiły znamiona inscenizacji, ale narkotyki, alkohol i seks nie pomogłyby w jej przeprowadzeniu. Trudno pod ich wpływem zachować jasność umysłu niezbędną do tak precyzyjnej mistyfikacji, emocji nie da się włączać i wyłączać jak za pstryknięciem kontaktu. Urządzona przez Kasprzaka i Laurę erotyczna impreza nie była zresztą literackim wymysłem. Komisarz słyszał już o takich zabawach, o czymś takim napisał też chyba Beksiński w przedśmiertnym felietonie: *Rzeczy, dla których warto było żyć*.

Do tego próba popełnienia samobójstwa przez Laurę. Niewiele brakło, aby przejechała się na tamten świat, a wtedy nie osiągnęłaby żadnych korzyści z hipotetycznego oszustwa.

Tramwaj przekroczył już granicę Huty, a przez peryferie świadomości Wita przebiegała rozmowa siedzących nieopodal pasażerów o stu pięćdziesięciu kilogramach śniętych ryb, które dwa dni temu unosiły się na powierzchni Zalewu Nowohuckiego („Co się pani dziwisz, przecież wpadają tam nieczystości z Dłubni.

Czytałem, że w wodzie pełno bakterii coli i paciorkowców, od których liszaje na skórze wychodzą. A plażę tam robią...”).

Nie było nagrań z monitoringu Smocznych Apartamentów ani nawet śladu po ich skasowaniu – nadpisywały się po trzydziestu dniach, ale w tym przypadku nadpisała się pustka. W firmie ochroniarskiej chyba niespecjalnie wcześniej się przejmowali, czy cokolwiek jest rejestrowane. Uważają, że pilnowali osiedla dobrze, nie za wiele zresztą tam się działo, a nagrywanie wydawało im się działaniem *pro forma*. Na co komu dokumentacja nudy i rutyny?

Dopiero ostatni pożar dał im do myślenia, ale za późno było go gasić. Wpięcie kabli kontrolowali teraz codziennie, Roman Doroz został wysłany na przymusowy urlop do końca tygodnia. Nawrocki zostawił go sobie na koniec, bo chłopaki od Grabka wałkowały go już wcześniej najmocniej i najdłużej.

Tramwaj dojeżdżał już do Wzgórz Krzesławickich, Wit przeniósł się na przód wagonu, skąd, jak pamiętał, bliżej będzie do przejścia przez Kocmyrzowską.

– Jak go wygaszą, to stanie stalownia. Wszystkich ludzi z firm zewnętrznych wyrugują, bo się umowy kończą. Trochę pracowników zostanie, części będą wypłacać postojowe – najpierw osiemdziesiąt procent, potem siedemdziesiąt, potem sześćdziesiąt, ale do czego to doprowadzi, sam powiedz, Włodek? Do jakiej emerytury oni się dochrapią?

Komisarz domyślił się, że rozmowa dwóch siedzących naprzeciwko siebie mężczyzn w zaawansowanym średnim wieku dotyczy wyłączenia wielkiego pieca w zakładach ArcelorMittal.

– Tak chybcikiem tego nie zrobią: najpierw trzeba dać mu gorące powietrze, żeby się spalił koks i inne materiały, potem muszą spuścić „wilka” z surówki i żużła, to wszystko operacje po kilkanaście godzin, a całkowite wyłączenie zajmie jeszcze co najmniej tydzień.

– A co mnie to ratuje? W listopadzie ma być koniec. Powiedzieli, że jest nadwyżka produkcji stali, napływ taniej siły roboczej ze wschodu, rosnące koszty ze względu na ceny energii i opłaty za ceodwa. Dostałem propozycję przenosin do huty w Dąbrowie Górniczej. Jak tam jeździć? Byłem u lekarza w Krakowie, będę się starał o rentę na nerwy, ale nie wiem, czy dadzą. A w ogóle teraz to na dwa lata tylko dają i znowu trzeba stawać na komisji.

Wysiadł na przystanku Jarzębiny, wszedł po schodkach pod rurami ciepłowniczymi wyprofilowanymi na kształt bramy triumfalnej ozdabiającej metę wyścigów kolarskich. Wierzchnia rura była bardzo przerdzewiała, a na spodniej ciągnął się przez całą długość czerwony napis: *KOCHAM CIĘ MÓJ MISIAKU!!!*

Ruszył na przełaj przez osiedle Na Wzgórzach, wyglądające tak, jak się nazywało. Jedno z najładniej położonych osiedli w Krakowie, a już na pewno najbardziej malownicze blokowisko – ulokowane w pofałdowanym terenie, wśród drzew. Gdyby nie budynki, można by przegapić, gdzie kończy się osiedle, a zaczyna park.

Z chrzęstem deptał liście zaścielające chodniki i alejki. Odkąd rzucił palenie, nie tylko czuł niedostępne wcześniej, słabe i ulotne zapachy, a pozostałe docierały doń bardziej wyraziście. Zaczął również odróżniać niuanse rozmaitych woni, choćby jesiennych liści. Inaczej pachniały te świeżo spadłe, inaczej mokre, inaczej zmoczone deszczem i wyschnięte, inaczej starsze, które złamał już pierwszy przymrozek. Inaczej gnijące.

Woń zawsze była intensywna, rzadko przykra, najprzyjemniejszą wydzielaly te zastane tutaj, wysuszone ciągiem pogodnych dni, będące październikowym odpowiednikiem letniego siana na wsi. Jak się nie ma, co lubi Laura Okońska, to zawsze można znaleźć coś do polubienia w powszednim, swojskim

otoczeniu, przeleciało mu przez głowę. Ale przychodzi to łatwiej, gdy człowiek żyje tam, gdzie się urodził.

Sforsował nieckę parku Zielony Jar i dotarł do jednego z długich, czteropiętrowych bloków przy ulicy Mierniczych, w którym mieszkał Doroz. Drzwi klatki schodowej były zaopatrzone w domofon, lecz wysunięty język zamka blokował je tak, że nie mogły się zamknąć. Wspiął się na czwarte piętro i tuż przed naciśnięciem dzwonka usłyszał zza drzwi jakieś głosy. Dzwonił, pukał, bez reakcji. Głosy brzmiały jak rozmowa, później wybijał się jeden silniejszy. To telewizor, zrozumiał. Zadzwoił na komórkę ochroniarza, ale okazała się wyłączona.

Usłyszał za plecami szcęk otwieranych drzwi, płynnie przechodzący w opryskliwe pytanie:

– A pan tu czego?!

Zadała je kobieta, z której nieokreśloności wyłamywał się podejrzliwy wyraz twarzy.

– Policja, komenda miejska.

– Dokument jakiś pan ma?

– Szukam Romana Doroza – oznajmił Nawrocki, demonstrując otwarty skórzany futerał z blachą i służbową legitymacją.

– Nie widziałam go ostatnio. A wiesz pan, że ten telewizor już trzeci dzień tak gra non stop?

– Skąd pani wie?

– No, pod... słyszałam.

– Wygląda na to, że dzieje się tutaj coś złego.

Kobieta skwapliwie przytaknęła, nie zdając sobie sprawy, że Nawrocki stwarza sobie właśnie pretekst do wejścia do mieszkania bez nakazu prokuratorskiego.

– Czy ma pani jakieś narzędzia do majsterkowania; kombinerki, młotek, tego typu rzeczy?

– A tak, stary coś tutaj ma. Zobacz pan.

Tuż za drzwiami znajdowała się piętrowa półka na buty, pod którą wsunięta była metalowa skrzynka. Wit zajął do niej, a zobaczywszy satysfakcjonującą zawartość, przeniósł skrzynkę pod drzwi Doroz.

Wyjął klucz szwedzki. Bębenek standardowego zamka yale wystawał ponad pięć centymetrów poza płaszczyznę drzwi. Kobieta niemal wsadziła mu głowę pod pachę.

– Proszę poczekać w mieszkaniu – nakazał jej. – Na pewno później panią odwiedzę; niewykluczone, że będzie pani musiała złożyć zeznanie.

Na dźwięk słowa „zeznanie” wycofała się rakiem. Policjant dokręcił ramiona klucza na bębenu i tarmosząc w obie strony, wyłamał go. Potem obcęgami wyciągnął z otwartego wnętrza zamka czarny element obrotowy, poruszający zasuwę. Wziął najgrubszy gwóźdź, jaki znalazł w skrzynce, zgął go za pomocą kombinerek i młotka, i tak skonstruowanym haczykiem wydobyl zasuwę z futryny.

Już w przedpokoju poczuł smród. *Déjà vu*, kurwa mać! Ale tym razem nieboszczyk był w innym stanie niż ten, którego znalazł pięć miesięcy temu. Wchodząc do pokoju, z którego dobiegała skoczna skrzypcowa muzyczka, najpierw zobaczył na ekranie Artura Żmijewskiego pedałużącego w sutannie na rowerze. Ktoś mu mówił, że w tym serialu zagadki kryminalne rozwiązuje ksiądz. Takie przygody chyba jednak wielebnego nie spotykają, westchnął w duchu.

Padający z telewizora blask wydobywał twarz odchyloną na oparcie fotela, półotwarte, skrzywione usta, lewą powiekę przymkniętą mocniej niż prawa, prawą dłoń przyciskającą pilota do szerokiej poręczy i lewą rękę zwisającą niemal do ziemi. W pierwszej chwili powziął irracjonalne przypuszczenie, że to Kasprzak, ale zaraz potem zauważył, że na podółku mężczyzny

leżą okulary bez oprawek, a tonąca w cieniu głowa pokryta jest szarosrebrnymi włosami.

Zrobił ostrożny krok za fotel. Zaslony były zasunięte, ale w sztucznym telewizyjnym świetle widział leżące na stole za Dorozem otwarte, prawie puste opakowanie ciastek z galaretką, książkę i wymalowane rzędami na jej okładce słowa:

DANIEL

KASPRZAK

SMOG

– Ale się opaliłeś!

Sam już zauważyłem to w lustrze. Twarz, szyję, kark i przedramiona miałem może nie tyle opalone słońcem, co osmagane wiatrem. Każdego popołudnia wychodziliśmy za obrzeża Miasteczka, zaczynające się niedaleko za blokiem, w którym mieszkałem. Szliśmy tam, gdzie skręcił Rico, pośród pól zmieniających akurat kolor z zielonego na żółty (większość okolicznych rolników stawiała na rzepak), plantacji porzeczek, długich pagórków sadzonych właśnie ziemniaków. Zawsze trafiła się jakaś rozcinająca uprawy fosa, na niej mostek, gdzie indziej zagajnik lub przynajmniej kępa krzaków.

Zacząłem w miarę normalnie sypiać. W poprzednich kilku tygodniach budziłem się po trzech, czterech godzinach w mokrej piżamie i przepoconej pościeli. Nigdy nie udało mi się zasnąć ponownie. Za dnia zniecała robiło mi się zimno. To z nerwów, tłumaczyłem sobie.

Teraz budził mnie dopiero sygnał ustawiony w telefonie, a pierwszym widokiem był łeb siedzącego przy łóżku, wpatzonego z nadzieją psa. Niekiedy w brązowych ślepiach zapalały mu się zielone lampki.

– Co robisz, kiedy znikasz tak codziennie o piętnastej? – Zorientowałem się, że Weronika, która zaczęła od wykrzyknika o opaleniznie, ciągle coś do mnie mówi. Dziwne, bo z siedzącą naprzeciwko koleżanką dotychczas dyskutowaliśmy tylko na tematy firmowe, a jedyną luką w jej obojętności była zdawkowa uprzejmość.

– Spaceruję z psem – odparłem, ale chyba uznała, że żartuję.

Kiedy zatrudniałem się w firmie handlującej elementami wykończenia wnętrz, cieszyłem się, że praca jest elastyczna i będę mógł spędzać dużo czasu z Marzeną. Zajmowałem się projektowaniem, sporo rysunków mogłem wykonywać na laptopie w domu, a więc i wcześniej do niego wracać. Gdy zaczęło się między nami psuć i to ona znikwała z domu na popołudnia czy wieczory, a przede wszystkim w ostatnim okresie, po jej odejściu – błogostawieństwem była znaczna liczba zadań, jakich się podejmowałem. Teraz ciągle zabierałem pracę do domu, ale pierwszeństwo miał Rico. Wczoraj policzyłem, że podczas trzech wyjść

spędziliśmy w plenerze blisko sześć godzin, a i to tylko dlatego, że poranny spacer był stosunkowo krótki.

Wyciągając rękę po herbatę, Weronika strąciła z biurka kubek kolorowych długopisów, stojących tam dla ozdoby, wszak prawie wszystko robiliśmy na komputerach. Pomagałem jej zbierać, kucaliśmy naprzeciw siebie i dopiero teraz zwróciłem uwagę, że – chyba od niedawna – zaczęła nosić głęboki dekolt.

Biust był powodem pierwszego poważnego pęknięcia w naszych relacjach z Marzeną, choć zdałem sobie z tego sprawę dużo później. Zawsze przywiązywała ogromną wagę do swojego wyglądu, a ubrania dopasowywała do najnowszych trendów, spędzając godziny przed lustrem bądź na śledzeniu nowinek modowych. Ale też zawsze sprawiała wrażenie zadowolonej z efektów. Pewnego dnia jednak spytała, co sądzę o pomysle wszczepienia implantów. Zaskoczony odrzekłem, że to jej ciało i nie narzucę jej żadnej decyzji. Teraz jednak jest idealna, taka mi się spodobała tamtego dnia, gdy się poznaliśmy na koncercie. Pokiwała głową, uśmiechnęła się, powiedziała: „Kochany jak zawsze”, a kilka dni później była już po operacji. Skomentowałem, że nowe piersi idealnie komponują się z jej sylwetką, a niedługo naprawdę zacząłem tak uważać.

Teraz rozumiałem już, że kierowała nią ta sama pustota, która mimo nawracających stanów zapalnych kazała jej nosić szkła kontaktowe. Długo jednak tak nie pociągnę i za parę lat będzie musiała częściej zakładać okulary.

ROZDZIAŁ 4

1

Idąc od tramwaju chodnikiem coraz bardziej zatłoczonym, w miarę jak Nowohucka zmieniała się w Centralną, a dalej w Galicyjską, Wit Nawrocki zwątpił, czy statystyki opisują rzeczywistość. Ponoć w ubiegłym roku około sześćdziesięciu procent Polaków nie przeczytało żadnej książki i ten wynik wciąż się pogarszał. Z wczorajszego „Kuriera” dowiedział się natomiast, że na pierwszej edycji krakowskich Targów Książki, w 1997 roku, było stu czterdziestu wystawców i poniżej pięciu tysięcy zwiedzających, a na trwające zgłosiło się sześciuset piętnastu wystawców i może odwiedzić je nawet siedemdziesiąt tysięcy ludzi. Z tego najwięcej prawdopodobnie w sobotę, czyli dzisiaj. Już w tej chwili wyglądało to gorzej niż uroczyste otwarcie galerii handlowej, z promocją na telewizory.

Zszedł na ulicę, kiedy podążająca z naprzeciwka kobieta, zajęta dwojgiem dzieci, uderzyła go pod kolanem reklamówką z twardymi i ostrymi albumami. Tak dotarł do bramy EXPO, korzystając z tego, że pas asfaltu po tej stronie był pusty, a wąż samochodów pełzał w kierunku centrum targowego. Planował, że przyjedzie tu wczoraj po południu, ale znalazisko na Wzgórzach Krzesławickich zatrzymało go tam na resztę dnia. Wezwał ekipę techników, sam rozmawiał z sąsiadami, ale od wszystkich, nawet

tej kobiety z naprzeciwka, usłyszał te same, skąpe komunikaty. Spokojny, grzeczny, wdowiec, żona umarła siedem lat temu, nie znalazł sobie nowej, dzieci już dorosłe, przeprowadziły się do Krakowa (jak mówi wielu mieszkańców Huty, podkreślając swoją odrębność). Nikt nie widział niczego podejrzanego.

Na koniec musiał jeszcze zawiadomić córkę i syna Romana Doroza.

Przed główną halą EXPO stały metalowe barierki, a po obu stronach wejścia wisiało sześć gigantycznych bannerów. Dwa powitalne, zapraszające na targi, jeden informujący o festiwalu Conrada, jeden o festiwalu komiksów i dwa reklamujące nowe książki Remigiusza Mroza, z podobiznami pisarza nadnaturalnych rozmiarów i proporcjonalnymi do nich okładkami. To musi być niekwestionowana gwiazda, pomyślał komisarz; ciekawe, czy śmierć Kasprzaka zdoła naruszyć tę hegemonię. Jego wzrok przykuł pytajnik rozdzielający nazwisko autora i tytuł: *Iluzjonista*, ale zanim zaczął się zastanawiać, po co ktoś miałby dawać na okładkę wyłącznie znak zapytania, dostrzegł, że został on uformowany z kosa, ewentualnie sierpa, poplamionej na ostrzu krwią.

Dopiero sekcja zwłok wskaże przyczyny śmierci ochroniarza ze Smoczych Apartamentów. Od Obolewicza nie dało się w tym momencie niczego dowiedzieć, zwłaszcza że komisarz go nie lubił, a patolog to uczucie odwzajemniał. Nawrocki potrafił jednak oszacować czas śmierci na podstawie własnej, skąpej wiedzy. Stężenie pośmiertne zaczyna się od powiek, jakieś trzy godziny po zgonie. Rozszerza się na twarz i szyję, do klatki piersiowej, wreszcie na cały tułów. W normalnych warunkach pełne zeszywnienie następuje po dwunastu godzinach i zaczyna znikać po trzydziestu sześciu. Temperatury w mieszkaniu Doroza nie powinny zakłócić tego procesu, były umiarkowane, nie miał

włączonego ogrzewania, dni wciąż były ciepłe, a noce łagodne. Patolog coś tam mruknął o hipostazie, czyli plamach pośmiertnych, ale na tym Wit się nie znał. Za to usłyszał niechętnie potwierdzenie, że stężenie pośmiertne ustąpiło. Doroz musiał więc umrzeć nie później niż w środę około północy i nie wcześniej niż we wtorkowe popołudnie, kiedy rozmawiał z nim szef firmy ochroniarskiej, komunikując, że do końca tygodnia wysyła go na przymusowy urlop.

Nawrocki nigdy nie był skąpy, ale w ostatnich miesiącach coraz częściej nachodziła go refleksja, gdy musiał wydawać pieniądze. Przy wejściu na EXPO nie pożałował jednak piętnastu złotych za bilet (absurdalne, swoją drogą, rozwiązanie, skoro to nie muzeum ani czytelnia, tylko miejsce handlu, w którym większość odwiedzających zostawi trochę kasy) – po prostu nie chciało mu stać w kolejce, więc pomachał ochroniarzowi blachą przed nosem. Ten wpuścił go ze zdziwioną nieco miną, a do komisarza wkrótce dotarło, że czas, który zyskał, straci z nawiązką. W gąszczu ludzi przetaczających się wśród stoisk zbudowanych z plastikowych ścianek działowych, nie znajdzie tak łatwo wydawnictwa Antonium. Zagadnął o drogę dziewczynę z brązowym kucykiem, która na białej, mechaty sweterek miała narzuconą żółtą kamizelkę z napisem: *W czym mogę pomóc?* Poprowadziła go do trzymetrowej planszy, na której znajdowały się prostokątne plany hal Dunaj i Wisła, upstrzone kwadracikami z oznaczeniami literowymi i cyfrowymi, a po lewej ciągnęła się tasiemcowa legenda z odpowiadającymi tym symbolom wystawcami.

Kiedy szukał na niej Antonium, obok przystanęło dwóch niechlujnych chłopaków, w niesprecyzowanym wieku licealno-studenckim.

– Tutaj przynajmniej człowiek czuje, że jest w miejscu dla czytelników. Takie MultiMedium już dawno przestało nim być –

stwierdził jeden z nich, wodząc dłonią po spisie. – Pierdolnik taki, że prędzej znajdziesz pluszowego łosia niż książkę.

– Ja w MultiMedium nie kupuję od lat – przytaknął mu drugi. – Drogo i nie ma klimatu. Niedługo postawią półki z pampersami.

Zrezygnował z dalszej części rozmowy o ogólnopolskiej sieci w założeniu handlującej książkami, muzyką i prasą. Minął szafkowy automat z hasłem *Kup książkę, póki nie jest za późno*, w którym za dwadzieścia pięć złotych zamiast batoników i napojów można było nabyć powieści w wielobarwnych okładkach. Okazało się, że tablice z nazwami wydawnictw umocowano nie tylko na frontach stoisk, lecz także nad nimi – pod sufitem hali. Dzięki temu nie błędził w poszukiwaniu minipawiloniku Antonium, ciasno otoczonego klientami.

Zauważył, że gros odchodzących od lady trzyma w rękach książki z charakterystyczną okładką, którą widział już w mieszkaniu Doroza – wyglądający jak statek kosmiczny most Kotlarski, tonący we mgle i rozpuszczającym się w niej światła lamp umocowanych u szczytu konstrukcji. Od wczoraj zastanawiał się, skąd ochroniarz miał najnowszą książkę Kasprzaka. Kupił ją w środę, bo dowiedział się, że bohater dramatycznych nocnych wydarzeń jest pisarzem, którego nowa powieść ma właśnie premierę? To by znaczyło, że w środę jeszcze żył. No chyba że dostał *Smog* w prezencie. Może nawet od kogoś, kto miał wcześniej egzemplarze autorskie... W jednej z koncepcji komisarza Daniel Kasprzak złożył wizytę Dorozowi, bo tamten wiedział coś, co mogło go zdemaskować; przeprosił za uwikłanie w incydent, podarował mu swoją książkę i spowodował jego śmierć, choćby stymulując zawał czy udar, który prawdopodobnie był bezpośrednią przyczyną zgonu. To jednak tylko spekulacje, na pewno wiedział natomiast, że nie mogła zrobić tego Laura, która pozostawała pod ścisłą obserwacją w szpitalu psychiatrycznym, a opuściła go, kiedy ochroniarz już nie żył.

Obszedł stoisko i z boku znalazł chłopaka z plakietką reklamową wydawnictwa na piersi, wyciągającego z dużych, papierowych opakowań kolorowe pakiety opasane taśmami z nadrukiem: *KRAKOWSKA HEKSALOGIA KASPRZAKA*.

– Wit Nawrocki, komenda miejska policji – powiedział półgłosem, nie wyciągając legitymacji, żeby nie zwracać uwagi otaczających klientów. – Gdzie znajdę pana Jacka Antoniaka?

– O, dzień dobry. Szef ma być koło jedenastej. – Chłopak wyprostował się i zerknął na komisarza ciekawie. – Czyli za jakieś czterdzieści minut, o ile nie utknie w korku – dodał, spoglądając na zegarek.

2

Pracownicy Antonium proponowali Witowi herbatę lub kawę przy stoliku, który miał służyć pisarzom do składania autografów. Pierwsze spotkanie autorskie zaplanowano dopiero na dwunastą. Nie skorzystał, było tu gorąco i duszno, a od kłębiących się ludzi, nawału kolorów, dźwięków i wrażeń lekko kręciło mu się w głowie, więc zrezygnował też ze zwiedzania i wyszedł „na papierosa”. Dawniej robił to pędzony nikotynowym głodem, a odkąd rzucił palenie, uznał, że nawet bez nikotyny można dzięki temu nieco ochłonąć.

Przycupnął na ławeczce na prawo od wejścia. W dali przed sobą miał nietypowy, siedmiopiętrowy blok z czerwonymi balkonami, a po lewej – tłok na parkingu i sznur ciągnących doń samochodów. Galicyjska kończyła się ślepo, co zmniejszało płynność ruchu przy EXPO. Czytał w „Kurierze”, że przed rokiem pisarze zagrozili bojkotem imprezy ze względu na kolejki i korki

stanowiące wręcz zagrożenie dla bezpieczeństwa uczestników. Od tamtej pory poszerzono przejścia i drogi, zwiększono liczbę sal.

Kilka metrów dalej siedziało dwóch mężczyzn, jeden kopcił jak parowóz, drugi pociągał z e-papierosa. Nawrocki nie zwracał uwagi na ich rozmowę, póki nie usłyszał słowa „Szwajcaria”. Studiował tam i pracował starszy syn Gosi, Kacper. Mieli całkiem dobry kontakt, chłopak – motoryzacyjna złota rączka – opiekował się jego samochodem, ale od momentu separacji Wita z jego mamą i toyotą, relacje się poluźniły. Zresztą już we wrześniu Kacper wrócił do Zurychu.

– Wiesz, że w Szwajcarii można zioło jarać – mówił amator wyjątkowo dymiącego gatunku papierosów. – Nawet na przystanku autobusowym. Możesz na przykład podejść do gliniarza i poprosić, żeby ci podpalił skręta. O ile oczywiście ma ogień.

– Coś ty właściwie tam robił?

– Skręcałem regały do hipermarketów. Tego było najłatwiej się nauczyć, chociaż parę razy sobie paluchy poprzesztawiałem. Trzeba jakoś zarobić na literaturę. A tobie jak minęły wakacje?

– Kończyłem książkę – odparł ten z e-papierosem. – Tęsknię za tym okresem, bo później przypomnieli mi, że autor się nie liczy: dostaje zapomogę – choć niewystarczającą na życie – i ma się cieszyć, że wydali mu książkę i nie kazali się dołożyć. Nikt już nie uważa, nawet on sam, że jest najważniejszą osobą. Długo nad tym pracował, tyle myśli, starań, uczuć, emocji temu poświęcił, a oni to wyceniają na sześć procent od ceny okładkowej.

– A jak. Za egzemplarz, za który klient w księgarni zapłaci ponad trzy dychy, ty otrzymasz równowartość obwarzanka. – Komisarz odniósł wrażenie, że niektóre teksty „Szwajcara” są skierowane do niego, gdyż traktują o kwestiach doskonale znanych obu rozmówcom. – Pisząc cokolwiek, warto pamiętać, że jest na tym świecie gorszy ból niż ból korzonków szyjnych, zwany

potocznie postrzałem, poród, wyrwanie zęba, kolka żółciowa oraz ból dupy spowodowany koniecznością wizyty w ZUS-ie lub w jakiegokolwiek placówce NFZ-u. To ból poszukiwania wydawcy dla książki oraz późniejszych kontaktów z nim.

– Po paru tygodniach pisze do mnie gość, który tytułuje się project managerem, co biorąc pod uwagę, że są firmą żyjącą z języka polskiego, jest trochę groteskowe – kontynuował tamten. – Pisze, że są zdecydowani zawrzeć ze mną umowę i czy jestem chętny. Ja na to, że tak, ciekaw jestem warunków. A on odpowiada, że przyśle mi draft umowy ze wszystkimi warunkami, po tym jak odeślę mu skan wypełnionego i własnoręcznie podpisanego oświadczenia, które jest w załączniku. I wiesz, co oni mi przysłali? Przysłali mi deklarację dla celów skarbowych: urząd, gdzie rozliczam się z podatku, i wszelkie podobne dane. Rozumiesz, pierwsze pieniądze przy dobrych wiatrach zapłaciliby mi w przyszłym roku, a przede wszystkim – nie tylko nie doszliśmy jeszcze do porozumienia, ale nawet nie powiedzieli, czy i ile chcieliby mi zapłacić! Spytałem uprzejmie, czemu ma to służyć, to już się nie odezwał.

– Taktyka, jak sądzę. Chcą na wstępie sprawdzić, czy jesteś baranem, który bez szemrania pójdzie, dokąd każą, i nie będzie nawet pytał, dlaczego. Od tego uzależniają wysłanie umowy, której warunki pewnie byłyby odpowiednie.

– W tym samym mniej więcej czasie odezwał się do mnie gość entuzjastycznie nastawiony, który chciał płacić zaliczkę – trzy tysiące, co według nich jest hojną ofertą – i proponował termin premiery na wiosnę. Niestety, gdy przysłał umowę, ręce mi opadły. Był tam na przykład passus, że autor zobowiązuje się dokonać aktualizacji utworu na każde wezwanie wydawcy, a jak nie, to sami to zrobią lub wyznaczą osobę trzecią. Pytam, o co tu chodzi, a on na to, że jeśli na przykład piszę o chorobie, a wynajdą w przyszłości lekarstwo na nią, to trzeba zaktualizować książkę.

– Nie wierzę.

– Nawet nie tłumaczyłem, że powieści się nie aktualizuje, że to nie poradnik, książka historyczna, podręcznik czy dzieło naukowe, bo były tam mocniejsze kawałki. Po wygaśnięciu umowy miałem niezwłocznie zwrócić otrzymane od niego dokumenty. Pytam go, o jakie dokumenty chodzi, niech je wymieni w umowie, a on na to, że jeszcze nie wie, jakie dokumenty będzie wysyłał. A kto wysyła teraz dokumenty, nie licząc oryginału umowy, inaczej niż mailem? I to jest w skrzynce po wsze czasy, nawet jak mu się komputer rozkraczy, to się może zalogować do poczty elektronicznej na innym. I jak ja mu mogę zwrócić maila? Miałem się też zobowiązać, że dostarczę mu rękopis książki, jeśli ten zostanie utracony.

– To relikty epoki, kiedy autor wysyłał maszynopis, w porywach dyskietkę, i jak się zniszczyło, zgubiło lub zalało herbatą, to powstawała zagwozdzka. A w przypadku maszynopisu istniała obawa, czy autor pisał przez kalkę albo później zrobił kopię. Wygląda na to, że gość używa wzoru umowy z lat dziewięćdziesiątych. Trzeba ją było wydrukować i oprawić w ramki. Ma wartość muzealną.

– Daj spokój, nawet do tej pory, po dwóch miesiącach, to mnie nie bawi. Chcieli też, żebym zobowiązał się do niewykonywania części autorskich praw osobistych, bo oni robią profesjonalną redakcję. A przeczytałem jeden wydany przez nich kryminał i tam przejechał ofiarę samochód, który zaczęto produkować za osiem lat.

– Może to nie kryminał, tylko fantasy?

– Fantasyka to zarobki u niektórych. Dostałem też propozycję umowy, w myśl której rozliczenie odbywało się raz w roku, od stycznia mieli trzy miesiące na zgromadzenie dokumentów i miesiąc na wykonanie przelewu. Czyli mogłoby być tak, że po raz

pierwszy zapłaciliby po niemal szesnastu miesiącach od premiery książki. Nie musisz się już zbierać?

– Mam piętnaście minut do spotkania, to jeszcze pełno czasu – odrzekł „Szwajcar”, zerkając na zegarek, po czym wyjął papierosa z paczki i zapalił. – Trudno cię przebić, ale mogę pochwalić się rekordową reakcją wydawnictwa. W nocy porozsyłałem książkę, a następnego dnia wieczorem przysłali mi umowę. Od razu, nikt tego na pewno nie przeczytał, nikt nie zadzwonił, żeby choć sprawdzić, czy jestem prawdziwym człowiekiem, a nie botem internetowym.

– To klasyka, oni jakby brzydzili się telefonów. Zamiast ustalić coś w krótkiej rozmowie, wolą wymieniać maile i za każdym razem odpowiadać z kilkudniową zwłoką, by ci pokazać, że aż tak bardzo im nie zależy.

– Moja umowa okazała się bezpłatną dwuletnią opcją. Na początku było stwierdzenie, że wydadzą książkę w ciągu dwóch lat, a potem w którymś miejscu umieścili punkt, że mogą się wycofać. Przy wszelkich regulacjach były powpisywane drakońskie kary, gdybym nie dotrzymał jakiegoś terminu, za zerwanie przeze mnie umowy – aż czterdzieści tysięcy, natomiast na nich nie nakładała nawet obowiązku powiedzenia autorowi „przepraszam”.

– Dostałem parę lat temu coś w tym stylu, ale moi poszli dalej. Nie licencja, tylko przejęcie wszystkich praw po podpisaniu umowy, obligującej ich teoretycznie do wydania książki. Dla mnie procent ze sprzedaży książki, ale już przy ewentualnym zbyciu praw zależnych oni biorą wszystko. I gdzieś pod koniec zaplątany ustęp, że mogą się wycofać z wydania książki, a prawa i tak zatrzymują.

– Normalnie wsadzają ci na bezczela łapę do kieszeni, gmerają między jajkami i wyciągają kasę. Powinieneś się cieszyć, że w umowie nie zapisano obowiązku oddania nerki.

3

Przed powrotem na targi Wit zadzwonił jeszcze do koleżanki Marzeny Stachurskiej, która spędziła z nią niedzielny wieczór na koncercie i w knajpie. Tamta uprzejmie, acz chłodno potwierdziła jej opowieść, ale przyznała, że zostawiła ją na przystanku i poszła do domu, nie czekając na tramwaj. Ciągle nurtowała go kwestia straganu z książkami, który Kasprzak prowadził przy Grzegórzeckiej. Nie miał w asortymencie książek wydawanych przez Stachurską?!

Zaafelowany poszedł inną drogą, nieco pobłądził i trafił na kilkumetrowy poster Olgi Tokarczuk, podnoszącej oburącz kaptur czy też szalowy kołnierz luźnej, ciemnobłękitnej bluzy. Świeżo upieczona laureatka Nagrody Nobla na głowie miała kłęb ciasno poskręcanych dredów, przywodzących skojarzenie z mopem. Niezależnie, jak wiele by nas różniło, zawsze to bratnia dusza, pomyślał z humorem. Chcąc nie chcąc, teraz pozwiedzał halę wystawienniczą, w której z książkowej monotonią wyłamywały się tablice z rysunkami i ilustracjami, dział komiksów, a także kubki z nadrukiem: *keep calm, drink tea and read books*, oraz wisioriki w kształcie miniaturowych książeczek na łańcuszku – na stoisku z gadżetami.

Nie wiedział, jak wygląda Jacek Antoniak, ale uznał, że musi to być niewidziany wcześniej wysoki, lekko przygarbiony mężczyzna przed czterdziestką, wydający polecenia obsłudze stoiska. Kiedy Nawrocki podszedł bliżej, zauważył, że jeden z pracowników wskazał go szefowi oczami. Ten odwrócił się i płynnym ruchem wyciągnął rękę na powitanie.

– Dzień dobry, Jacek Antoniak, to pan mnie szukał? – spytał z poważną miną.

– Wit Nawrocki, Komenda Miejska Policji w Krakowie – Wit uścisnął podaną dłoń. – Chciałbym zadać panu kilka pytań

o Daniela Kasprzaka.

– Kilka? To rozmowa bardziej na pięć minut czy pięćdziesiąt? – chciał wiedzieć tamten, odgarniając z czoła spadającą ukośnie ciemną grzywkę.

– Może zając z godzinę.

– Widzi pan... Oczywiście, jeśli wyda mi pan polecenie, to się dostosuję, ale bardzo mi to nie na rękę. Te targi to w ogóle specyficzny czas; nie tyle żniw, co wzmożonej działalności dyplomatycznej. Za chwilę mamy zebranie w gronie wydawców, dzisiaj udało się zgromadzić prawie wszystkich. Od listopada zacznie obowiązywać obniżony VAT na e-booki, z dwudziestu trzech procent zmniejszyli go na pięć, jak na wydania papierowe. Miało to wejść pierwszego kwietnia, potem pierwszego czerwca, wreszcie się udało. Musimy ustawić się jakoś względem nowych przepisów, może opracować spójną, a w każdym razie uczciwą i lojalną politykę cenową.

– Nie ma problemu, możemy to przesunąć na później, choćby na jutro.

– A nie mógłby być poniedziałek? Po dzisiejszym zebraniu polecą spotkania z kontrahentami, autorami, muszę też doglądać stoiska, wieczorem kolacja biznesowa, z poważnym wyzwaniem, żeby się nie upić... bo w niedzielę od rana znowu kołchoz.

– Niech będzie, w poniedziałek zadzwonię do pana, umówimy się dokładnie na godzinę, najchętniej w siedzibie wydawnictwa.

– Świetnie! Jestem naprawdę wdzięczny. Proszę, oto mój numer i drobny upominek. – Antoniak wziął z pobliskiego stosu egzemplarz *Smogu*, położył na nim wizytówkę.

– Dziękuję, ale nie mogę przyjmować prezentów. Chętnie kupię, bo i tak miałem się z nią zapoznać ze względu na prowadzoną sprawę.

– Proszę więc wziąć, przeczytać. Jeśli się spodoba, to zapłaci pan przy okazji wizyty w wydawnictwie, a jeśli nie, to odda pan

książkę. Proszę tylko nie zaginać rogów i nie ślinić palców – Antoniak mrugnął porozumiewawczo, aby podkreślić, że to żart.

– W porządku. Jak idzie handel? – Komisarz podniósł powieść.

– Znakomicie. Dotyczy to zarówno *Smogu* detalicznie, jak i boksów sześciu części sagi o Miczyńskich, które teraz wypuściliśmy po sto siedemdziesiąt pięć złotych. Co oznacza, że kupuje je wielu ludzi, którzy dotychczas nie mieli książek Kasprzaka albo wręcz nie interesowali się nim i będą czytać całość. Plus oczywiście kolekcjonerzy, fani, którzy chcą mieć nowe, oryginalne wydawnictwo. Zresztą tutaj odbywa się znikoma część sprzedaży, większość idzie przez dystrybutorów zewnętrznych. Do tego e-booki i audiobooki. Te drugie, co ciekawe, zawsze dobrze schodziły w przypadku Daniela, a teraz prawdopodobnie pobije w tym segmencie polski rekord. Nagraliśmy fajnego audiobooka z takim młodym aktorem teatru Bagatela... No, ale przepraszam, naprawdę muszę już lecieć.

Nawrocki lubił spotykać ludzi w ich naturalnym środowisku, poznawać jak najobszerniejsze tło zdarzeń, bo dzięki temu lepiej wczuwał się w sprawę. Idąc jednak na przystanek przy alei Pokoju, rozmyślał, czy da się poszufladkować chmarę informacji i obrazów, jakie dzisiaj na niego spadły, i przyporządkować je do afery Daniela Kasprzaka.

4

Kiedy człowiek tyle razy przewraca się wbrew własnej woli, to nabywa wprawy, nawet gdy udaje. Jagoda upadła przed tym policjantem niemal idealnie. Zachował się, jak należy, zaczął podnosić ją, otrząpywać, podawać kulę, która efektownie wymknęła się jej z ręki. Rozejrzał się wymownie, więc jakiś

chłopak zerwał się z miejsca, a w ślad za nim towarzysząca mu dziewczyna. Jagoda usiadła i wskazała dłonią miejsce naprzeciwko.

– Dziękuję za pomoc. Może dotrzyma mi pan towarzystwa do czasu, kiedy będzie pan wysiadał? Będę czuła się pewniej, bo nie wiem, czy nie czekają mnie jeszcze jakieś „atrakcje”.

Kiedy znalazł się przed nią, uśmiechnęła się z wdzięcznością i powiedziała:

– Widać, że policjanci chronienie ludzi mają we krwi.

Brwi podjechały mu do góry.

– Goląc się dzisiaj rano, nie zauważyłem, żebym miał zawód wypisany na czole – odparł kpiącym tonem.

– Widywałam pana w telewizyjnych newsach z okazji wykrytych przez pana przestępstw. Pan komisarz Nawrocki, prawda?

– No tak, ale te informacje zdarzyły się zaledwie kilka razy, na ogół dawno i pokazywali mnie tam krótko. Za długo, jak widać.

– Poznałam pana po ubraniu – wycelowała ostrym podbródkiem we flanelową koszulę w kratkę, nałożoną na ciemnoniebieski T-shirt. – To ta sama, co podczas powodzi w lipcu ubiegłego roku?

Parsknął śmiechem.

– Niekoniecznie, ale taka sama, mam dwie identyczne. Dostałem jedną od córki na urodziny i tak mi się spodobała, że poszedłem do tego samego sklepu i kupiłem sobie drugą. Ma pani spostrzegawczość i pamięć śledczego.

Jagoda wyprostowała się dumnie. Córka komisarza mało ją interesowała, za to praca śledczego – i owszem...

– Prowadzi pan sprawę Daniela Kasprzaka?

– Ta rozmowa zaczyna przybierać nieoczekiwany i niekorzystny obrót. Tego nie usłyszała pani kilkanaście miesięcy temu w telewizji. – Komisarz trochę się nasrożył.

– Wyczałam pana przy stoisku Antonium na targach, nietrudno było dodać dwa do dwóch.

– Lubię książki. Po prostu.

– Ale ja tam byłam dosyć długo. Przeprowadzałam wywiad z Kasią. To jest taka kobieta, która dawno temu dostała w prezencie ślubnym skarbonkę pełną pięciozłotówek. Postanowiła, że przez cały rok będzie zbierać pięciozłotówki i przeznaczy je na książki. Robi tak od dziesięciu lat. Co roku przed targami otwiera zieloną świnkę i idzie na zakupy. W rekordowym roku uzbierała dziewięć stówek, za które miała trzy torby książek! W każdym razie byłam tam długo i widziałam, że przyszedł pan do stoiska raz, a potem wrócił. Można się domyślić, że ma pan do nich ważną sprawę.

– Jest pani dziennikarką?

– Blogerką. Nazywam się Jagoda Kulig. I proszę mi mówić na ty. Nie mam ani wieku, ani wyglądu na panią. – Popatrzyła wymownie na swoją wychudłą, kanciastą sylwetkę.

Nawrocki nieco się zmieszał. Jagoda wyciągnęła smartfona, odnalazła swoją stronę i pokazała mu. Lekkim uśmiechem skwitował nazwę *Baba Jaga patrzy*, jej karykaturę na miotle w roli logo, a także cytat z Henryka Sienkiewicza jako motto:

Gdy się ktoś zaczyta, zawsze albo się czegoś nauczy, albo zapomni o tym, co mu dolega, albo zaśnie – w każdym razie wygra.

– Coś w tym jest; żałuję tylko, że od pierwszej funkcji dość dawno przeszedłem do trzeciej, a druga w międzyczasie nie zadziałała.

– I usypia pan nad książką?

– Nie sięgam po nie zbyt często. Aż do liceum czytałem sporo, potem skręciłem trochę w stronę muzyki, a przede wszystkim miałem bardziej aktywne zainteresowania. Odkąd zacząłem pracować w policji, trudniej mi się zagłębić w fabułę logicznie snutą przez autora, bo wiem, jak absurdalne i nieracjonalne bywa

postępowanie ludzi. Potem jeszcze pojawiły się kłopoty z koncentracją...

Czyżby on się jej zwierzał?! Lepiej chyba nie drażnić go i nie ciągnąć za język.

– Byłam jedną z pierwszych osób zaangażowanych w promowanie akcji, którą stworzył w necie Marcin Gnat: „Przeczytam 52 książki w roku” – pochwaliła się. – Inicjatywa zmobilizowała do czytania już kilkaset tysięcy ludzi. Ale dla mnie to nie jest wyzwanie. Moim wzorem jest Theodore Roosevelt, który czytał codziennie jedną całą książkę. Nie było jeszcze wtedy internetu i telewizji, eeech...

– Ani nie musiał borykać się z wielkim kryzysem i wojną światową, jak jego sławniejszy imiennik – dodał komisarz.

Dojeżdżali do ronda Kotlarskiego.

– Dokąd jedziesz? Mieszkam na osiedlu na Kozłówce i normalnie tu bym się przesiadał, ale mogę cię odeskortować do domu, jeśli nie czujesz się jeszcze dobrze – powiedział, rozglądając się. „Pięćdziesiątka” już stała na przystanku po lewej, ale wkrótce będzie następna, nawet w soboty kursują co dziesięć minut. Najwyraźniej nie podejrzewał jej o symulowanie dolegliwości.

– To się świetnie składa, bo ja na Kurdwanów, na Halszki. Możemy jechać „pięćdziesiątką” razem – odparła z entuzjazmem.

– Nie łatwiej było ci złapać autobus z Nowohuckiej? – spytał, gdy już wysiedli.

– No, mogłam, ale chciałam pana poznać i poszłam za panem na tramwaj...

– I w rzeczywistości nie czujesz się tak źle?

To jednak jest gliniarz.

– Nie gorzej niż zwykle. Albo raczej: bywało gorzej.

Pokiwał głową i nie odzywał się przez obydwa przejścia dla pieszych. Jagoda pracowicie stuknęła kulą o asfalt i bruk.

– Na co chorujesz? – spytał na przystanku.

– Sado-maso, tylko bez przyjemności dla żadnej ze stron, zostają cierpienia i niewygody.

Popatrzył na nią jak na wariatkę.

– Taki mój osobisty żarcik. SM. Stwardnienie rozsiane.

Chyba ulżyło mu, że właśnie nadjechał tramwaj i nie musiał komentować jej wyznania.

– Dlaczego właściwie chciałaś mnie poznać? – wznowił rozmowę, gdy już zajęli miejsca.

– Interesuję się kryminałami.

– Także w życiu?

– Tak dla kontrastu i higieny psychicznej. Moja własna egzystencja jest farsą z przymieszką groteski. Jestem o tyle rzadkim przypadkiem, że zachorowałam już w szkole średniej, a normalnie przytrafia się to dopiero po dwudziestym roku życia. Rodzice byli przerażeni, woleli opiekować się mną w domu, choć aż tak źle się nie czułam. Całą ostatnią klasę liceum miałam nauczanie indywidualne, a przez trzy lata po maturze zajmowałam się czytaniem trzystu książek rocznie. Ale przynajmniej mogę nimi, zamiast farmakologią, zwalczać niektóre objawy choroby, zwłaszcza obniżenie nastroju. Na co dzień jadę na steroidach. Na szczęście, wszyscy w rodzinie na tyle się oswoiliśmy z chorobą, że mogę w miarę normalnie studiować. Jestem na drugim roku zarządzania kulturą współczesną na UJ-ocie.

– I chcesz przeżyć książkową przygodę w rzeczywistości?

– Nie, nie, jestem przyzwyczajona do działania z domu. Wiem, że to nie *Pan Samochodzik* ani żadna z przygodówek Bahdaja, wolę własny fotel. Mogłabym być pańską konsultantką w kwestiach czytelniczo-wydawniczych. Kiedyś nawet miałam kontakt z Danielem Kasprzakiem. No, o tyle, o ile... Napisałam na ten profil na fejsie, że proszę o wywiad, i już nawet z góry wysłałam pytania, bo wiedziałam, że on się z nikim nie spotyka. Dostałam jednak odpowiedź, że bardzo mu przykro, ale nie udziela się medialnie

i nie może robić precedensów nawet dla kogoś tak miłego jak ja. Tak jakby mnie znał... To zresztą chyba ta kobieta odpisała, bo dwa razy czasowniki były w rodzaju żeńskim.

– Słyszałem, że ona zajmowała się szeroko pojętym marketingiem. Co według ciebie się wydarzyło? – zagadnął ją zaskakująco.

– Może jakaś sekta, fani, którzy porwali go żywego lub ukradli ciało. Brzmi bzdurnie, wiem. – Widząc jego sceptyczną minę, podniosła obie dłonie obronnym gestem, aż kula zsunęła się jej na podłogę. – Nie byłam przygotowana na to pytanie. Jest taka grupa na fejsie: Kochamy kryminały, ma kilkadziesiąt tysięcy członków. Ludzie wypisują tam naprawdę zakręcone pomysły na temat Kasprzaka. Kluski z rosółem! Może nawet są wśród nich sprawcy? Na podobnej zasadzie jak morderca wracający na miejsce zbrodni?

– A co ty napisałaś o tej sprawie?

– Ja się tam nie udzielałam, tylko przeglądam. Grupa jest niby masowa, ale prywatna, trzeba zostać członkiem, żeby móc czytać i pisać. Posty też są akceptowane, a jak admini nie mają czasu, to hurtowo je dopuszczają późnym popołudniem albo wieczorem. Nagle pojawia się kilkadziesiąt wpisów i trudno o jakieś sensowne dyskusje. Do tego obsługa zachowuje się jak peerelowscy kelnerzy, bijący klientów w knajpie.

– Skąd słyszałaś o obyczajach peerelowskich kelnerów?! Nawet ja ich nie pamiętam.

– Dużo czytam, to wiem. Na tej grupie jeden facet wrzucał bardzo ciekawe wpisy o filmach sensacyjnych i kryminalnych. Jeszcze wtedy posty wstawiało się bez akceptacji. Najpierw dali mu ostrzeżenie, że to nie na temat, potem dostał bana, więc się zniechęcił i zrezygnował. Nie na temat, bo niby grupa o książkach. Z drugiej strony regularnie ukazują się posty w stylu: *Dziękuję za przyjęcie do grupy* albo *Witajcie, kochani, jestem tu nowa*. Grupa mogłaby być otwarta, bo to jest sens czytelnictwa jako takiego,

i znalazłoby się wielu ludzi, którzy mają ciekawe rzeczy do powiedzenia o książkach, lecz ich głos ginie. A bany niech dają trollom drastycznie naruszającym dobre obyczaje, no i niech kasują te słodkopierdzące powitania. Ale nie, oni tego nie zrobią, bo mają z tego korzyść. Jak grupa jest zamknięta, to ludzie muszą się rejestrować i jest więcej udokumentowanych użytkowników, nawet jeśli to martwe dusze, od dawna tam nie zaglądające. I tak samo, im więcej postów, tym lepiej. Legitymują się większym zasięgiem i dostają za darmo książki do reklamowania...

Tak gadała i gadała. Potem była o to na siebie wściekła. Komisarz, najwyraźniej zniesmaczony tymi infantylnymi wynurzeniami, był bardzo powściągliwy. Wysiedli na pętli i dotarli pod jej blok, a on niewiele się odzywał. Jedyne, co jej się udało, to wydebić wizytówkę, którą wyciągnął z brązowego, skórzanego futerału, z za legitymacji. Starą, jeszcze z czasów, gdy był w komendzie wojewódzkiej, ale z numerem telefonu i aktywnym adresem e-mail.

5

Najintensywniejsza i najbardziej zjadliwa odmiana smogu to czysty smród, jakby smarów lub paliwa. Albo pył wiszący w bezruchu, ale szczypiący w oczy, niczym nawiewany wiatrem piasek. A może ten ciężki kłęb, który tworzy ci gulę w gardle, a w płucach osiada gęstą chmurą?

Dla mieszkańca Krakowa z ponadczterdziestoletnim stażem obrazowe opisy w nowej książce Daniela Kasprzaka tchnęły autentyzmem. W *Smogu* dodatkowo smog miał symbolizować siły zła. Wdychane do płuc zatrute powietrze zanieczyszcza krew, powoduje zmiany w mózgu i przeistacza niektórych ludzi

w mutanty obdarzone morderczym instynktem. A może lepiej byłoby określić je wampirami, które muszą zabijać, aby przeżyć? Koncepcja rodem z klasyki horroru byłaby zabawna, gdyby Kasprzak nie zderzył jej z najzupełniej prawdziwymi statystykami chorób wywołanych zanieczyszczeniami powietrza i zgonów na niewydolność oddechową. Ze szczególnym uhonorowaniem Krakowa.

Minęła północ, Wit Nawrocki odłożył *Smog* po przeczytaniu niemal dwóch trzecich. Miał dość tematyki, przez którą nie potrafił traktować tej powieści rozrywkowo, a nade wszystko zmęczył go styl, jakim była napisana. Prawie wyłącznie krótkie zdania, brak zmiennego rytmu. Zrozumiał, dlaczego tak popularne były audiobooki Kasprzaka. Tam krótkie zdania nadawały tekstowi dynamikę, musiało to brzmieć jak słuchowisko radiowe. Słowo pisane ma odmienną specyfikę.

Przypomniał sobie inną książkę napisaną krótkimi zdaniami, której przez to nie przeczytał – choć może po prostu mu się nie chciało – podręcznik do filozofii profesora Stelmacha. Na egzamin poszedł w ostatnim możliwym momencie, po lekturze notatek z wykładu. Zdawał razem ze stypendystką z Ukrainy, studiującą politologię jako drugi kierunek, jak się później okazało, obkuta równie dobrze, jak mówiła po polsku.

Siedzieli już w gabinecie profesora; Stelmach krzątał się, robił sobie kawę, ona trzymała na kolanach ten podręcznik, bo jeszcze przed wejściem się uczyła. Wit spytał z głupia frant, bez żadnego pomysłu i intencji, no może rzucił jako żart dla rozluźnienia: „Zamierzasz poprosić go o autograf?”. Uśmiechnęła się tylko nieśmiało, a on się nie spodziewał, że właśnie załatwił sobie zaliczenie.

Dziewczyna odpowiadała śpiewająco, postawił jej piątkę, a ona wtedy: „Chciałam jeszcze poprosić pana profesora o autograf”. Stelmach – na wykładach cynik i ironista – aż pokraśniał. Machnął

podpis na stronie tytułowej i wprawiło go to w tak pyszny humor, że spytał Nawrockiego o Immanuela Kanta, który był tematem jego pracy doktorskiej, więc najwięcej i najciekawiej mówił o nim na wykładach. Wit wyrecytował mu, co trzeba, o imperatywie kategorycznym, a ten jeszcze się tłumaczył, że musi dać mu cztery plus, nie piątkę, bo ma tylko trójkę z ćwiczeń. Była to najlepsza w ciągu pięciu lat ocena, jaką dostał z przedmiotów filozoficznych, których – wliczając w to rozmaite doktryny – na politologii jest od groma, a za którymi nigdy nie przepadał. A dzisiaj z Kanta pamięta tylko sentencję „niebo gwiazdziste nade mną, prawo moralne we mnie” i co gorsza nie jest przekonany, czy może to o sobie powiedzieć...

Przypomniało mu się, jak któryś z młodych doktorów, adiunktów w Instytucie Nauk Politycznych, żartował z nich na ćwiczeniach: „Znajdźcie sobie żonę po technicznym kierunku i będzie was utrzymywać. I będzie o was mówić: «No, mam takiego politologa w domu, nic nie robi, ale o Arystotelesie mogę sobie z nim porozmawiać»”.

W tle leciało *Home Procol Harum*, które na początku lektury włączył na odtwarzanie na okrągło, bo gotyckim nastrojem muzyki, smętnym wokalem, niektórymi tytułami utworów (*The Dead Man's Dream*, *About to Die*), a także ich treścią („Weszliśmy na cmentarz, szukając nagrobka / groby były zdewastowane, a trumny otwarte / trupy nadgniłe, lecz nie martwe / a ich oczy jak żywe od wijących się robaków”) – korespondowało ze *Smogiem*. Aż w finale tego ciągu skojarzeń nagle uświadomił sobie, jak mógłby zbadać przeszłość Kasprzaka na giełdzie przy Grzegórzeckiej. Idealnie się składa, że jutro – a w zasadzie już dzisiaj, nawet kiedy zegarek cofnie się o godzinę – wypada niedziela.

ROZDZIAŁ 5

1

Prześwietlona lekko przymglonym słońcem, z kolorami o ton mniej intensywnymi od rzeczywistych, giełda przy Grzegórzeckiej oglądana z perspektywy przystanku tramwajowego wyglądała jak na fotografiach sprzed ćwierć wieku, kiedy Wit Nawrocki meldował się tutaj co najmniej dwa razy w miesiącu. Szukał na niej na ogół muzyki, niekiedy książek, nieco częściej gazet, a otaczały je džins i chałwa z Turcji (choć czasem podrabiane), spirytus i papierosy z Ukrainy (od Royała zdarzało się niektórym oślepnąć, za to szlugi były markowe, amerykańskie), wietnamski ortalion, słowackie piwo i czekolada, niemieckie porno. I polskie – szwarc, mydło i powidło.

Kierunki zaopatrzenia mogły się trochę przeorientować geograficznie, za to spis asortymentu nadal wypełniły kilkudziesięciostronicowy katalog. Hipermarket niech się schowa – oni mają wprawdzie więcej towarów, ale tutaj jest o niebo większe urozmaicenie.

Przed frontem flankującego bazar budynku Hali Targowej przeważały cięższe artykuły, choćby motoryzacyjne, opony nawet. Komisarz ominął faceta dźwigającego mosiężny żyrandol, tarasującego przejście podczas kontemplacji składu armatury

łazienkowej – kranów, węży, słuchawek prysznicowych – i omal nie wdepnął w piramidkę pasztetu po pięć złotych za trzy słoiczki.

– Ja sprzedaję, wypierdalaj! – Początkowo wziął warknięcie do siebie, ale szybko się okazało, że jego autor skierował je do swojego pomagiera o jeszcze większym i czerwieńszym nosie, gdy ten wyrwał się do wyjaśnień w kwestii pozostających pod ich pieczęć lamp: stojących, z abażurami i bez, reflektorków pokojowych, to na podstawce, to z uchwytem do zapięcia na brzegu mebla, kinkietów. Trafiła się nawet lampa przemysłowa z drucianą osłoną.

Pas wzdłuż ściany budynku prezentował się jak wyobrażenie pchlego targu; ludzie kucali, grzebiąc w towarach rozłożonych na foliach wprost na ziemi, rząd przy rzędzie w odstępach niespełna dwóch metrów. Quasi-antyki (albo po prostu – stare przedmioty) sąsiadowały ze świeżymi, niełuskаныmi orzechami, damskie fatalaszki – z leżącymi płasko ściennymi obrazkami (konik, róża w wazonie, chłopiec w żółtej koszulce i brązowych spodenkach kopiący piłkę), a słodycze – z lokalną arystokracją: zegarkami z dewizką, a przede wszystkim monetami dla kolekcjonerów. Te wyeksponowano już na turystycznym stoliku, a na interesantów czekały dwie lupy.

Przed bramą wjazdową od strony Metalowców i Siedleckiego budynek kończył się wiatą, pod którą między betonowymi kolumnami, za rozkładanym łóżkiem zaścielonym płytami i kasetami, prezydował dawniej CD-Rom.

Druga w życiu dziewczyna, a pierwsza miłość Wita wprawdzie nie studiowała na kierunku technicznym, ale chodziła do technikum poligraficzno-księgarskiego. Już nawet nie pamiętał dobrze twarzy tamtej Magdy, a i jej szkołę przenieśli z Podwała na osiedle Tysiąclecia. Na pewno miała ciemne włosy, poczucie humoru, a na środkowym palcu prawej ręki (bo tylko na nim mógł się utrzymać) nosiła pierścionek mamy z bardzo dużym

ciemnozielonym kamieniem. Dla niej również było to drugie tak ważne miejsce, obok giełdy płytowej Pod Przewiązką, przy Bydgoskiej, i to ona stwierdziła kiedyś, że Cygan handlujący kompaktami musi się nazywać CD-Rom. Z muzyką nie miał zbyt wiele wspólnego, poza tym, że czasem chodził z kapeluszem podczas występów niewidomego, grającego na wózku inwalidzkim wirtuoza skrzypiec, Stefana Dymitera, a sam w razie konieczności postukiwał na tamburynku w zespole akompaniującym. Potrafił natomiast znaleźć i zdobyć każdą płytę, jaka im się zamarzyła. Nigdy nie zdradził, jak to robił, tak jak nigdy nie poznali jego imienia.

Teraz jednak nie było go na dawnym stanowisku: korale i inna wisiorowata biżuteria leżały na czymś w rodzaju obrusu rozłożonego na ziemi, a Chrystus, Maryja z Józefem i Dzieciątkiem plus kilka innych świętych obrazów stały oparte o ścianę z czarnym graffiti: *Aborcja na żądanie*.

Nawrocki zakręcił się na pięcie, rozejrzał, ale jego wzrok przykuły tylko olejne pejzaże przemieszane z przerdzewiałą tabliczką WC i strzałką oraz reklamą obuwia ortopedycznego dla stopy cukrzycowej, powieszona na siatce oddzielającej targowisko od hangaru hali hokejowej, a zwłaszcza – krzątający się pod nimi facet w cylindrze.

Asfaltowy placyk po prawej upstrzony był kolorami, poczynając od brezentowych daszków nad niektórymi stoiskami i turystycznych krzeseł przy nich, przez stroje kupujących, a na towarach kończąc. Nawrocki przeciął go na skos. Czuł się jak w telewizji interaktywnej. Najpierw usłyszał burczenie jakiejś kobiety:

– Za trzy złote się nie podoba... To po co przychodzą?

A po chwili zrozumiał, skąd brały się pretensje jej klientów, bo dalej ceny wypisane flamastrem na szarych tekturkach wynosiły jeden złoty. Dotarł do właściwego bazaru, z solidnymi, krytymi

straganami i otaczającymi je z trzech stron, niczym palisadą, murowanymi kioskami.

Twierdzenia Kasprzaka o śmierci giełdy książkowej okazały się jednak przesadzone. Wciąż jest to analogowa enklawa w cyfrowym świecie, myślał komisarz, mijając narożne, ogromne stanowisko z tygodnikami i miesięcznikami. Następne stoły obłożone były jaskrawymi okładkami sensacji, kryminałów i romansów, a czarnymi – horrorów. Przetrwali także autorzy z tamtej epoki: Grisham, Ludlum, Higgins, MacLean.

Mniej krzykliwe barwy – delikatną żółć, pomarańcz i zieleń – przybrały książki naukowe i poradniki, białe zaś najczęściej bywały obyczaże. Na kolejnym straganie cenniejsze woluminy ubrane były w cienkie reklamówki lub woreczki foliowe. Kupujący brodzili w smugach lekko mlecznego światła filtrowanego przez przezroczyste fragmenty plastikowych daszków.

A tutaj jakby czas się zatrzymał! Zdjęcia nagich piersi i rozkraczonych ud pod tytułami „No1”, „Extasy” i „Cats”, nad hasłami „asses”, „master sex”, „3 filmy”, „5 filmów”. Jakby w ciągu ostatnich dwóch dekad internet nie eksplodował golizną i erotyką we wszelkich odmianach, o nieskrępowanym dostępie, zaspokajającymi najbardziej różnorodne gusta. Można by się wzruszyć, gdyby tak bardzo nie kłóciło się to z tą tematyką, uśmiechnął się pod nosem, idąc dalej. Wesołość go jednak opuściła, gdy się przekonał, że przy licznie reprezentowanych „muzycznych” stołach też nie ma CD-Roma. Jeden facet wystawił planszę *Likwidacja kolekcji*, ceny wynosiły po dwa, trzy złote, ale okładki były kopiowane, czarno-białe, więc pewnie likwidował każdy egzemplarz po kilka razy.

Policjant dostrzegł, że dwa z licznych kiosków opatrzone są wyklejonymi w górnej części szyb szyldami: *Fonokram* i *MusicBox*. Wszedł do pierwszego z nich, bliższego, i stanął twarzą w twarz z człowiekiem, którego szukał. Musiał mieć już co najmniej

sześćdziesiątkę; posiwiał i poszarzał na twarzy, jeszcze mniej przypominał Roma niż dawniej. Nigdy zresztą nie używał etnicznej gwary w rozmowie z klientami.

– Cześć, mam coś dla ciebie – przywitał się z Witem, jakby rozstali się tydzień temu, a nie u progu stulecia. Pogrzebał pod blatem i wyciągnął kompakt o żółtej okładce pomazanej kłębowiskiem czarnych linii. Na przodzie była tylko nazwa zespołu – Jane – powtórzona na grzbiecie pudełka razem z tytułem: *Together*.

– Nigdy o nich nie słyszałem – powiedział Nawrocki, obracając płytę w dłoniach. Wydana w 1972 roku w Hamburgu, trzy z sześciu kompozycji były bardzo długie. Wprawdzie Mistrz z powieści Marcina Świetlickiego (był to jeden z nielicznych kryminałów, jakie Nawrocki przeczytał, pracując w policji – ze względu na Kraków, sympatie muzyczne i urok pastiszu) twierdził, że kompakty nie mają zapachu, jednak ten, choć niedosłownie, obiecująco pachniał art rockiem.

– A tamten gość, co w sobotę w nocy puszczał kawałki w radio i zawsze na następny dzień tu przylatywałeś, pytać się, czy przypadkiem tego nie mam? Ten, co to się na linę bachnął.

– Beksiński. Nie powiesił się, tylko zażył tabletki.

– No właśnie. Nie grał tego?

– Nie wiem, nie słuchałem wszystkich jego audycji, zwłaszcza w ostatnim roku przed śmiercią – odparł. Wtedy zaczął już chodzić na poważnie z Anką. – Ile się należy?

– Pięć dych, jak od ciebie. Chyba że masz jakieś stare kasety, z muzyką albo wideo, to mogę nimi się rozliczyć. Czasem przychodzą kolekcjonerzy, parę złotych można trafić.

– Widziałem po drodze takie daszki z napisem: *Skup płyt CD i winylowych*.

– Pełno tego jest. Do nich nie nieś, tylko do mnie. Lepszą cenę ci dam.

– Gdzieś to upchałem w pudłach i zniosłem do piwnicy. Na razie zapłacę. – Wit wyjął niebieski banknot.

W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych zjawiał się u niego coraz rzadziej, bo potrzeby realizował gdzie indziej. Pewien prezenter lokalnego radia, posiadacz jednej z największych rockowych kolekcji w Krakowie, przegrywał płyty po sześć złotych za sztukę. Trzeba było tylko przynieść własną kasetę. Imponujące zbiory i aż trzy salony – w Rynku, przy Siennej i Świętego Jana – miał Music Corner. A kiedy Nawrocki przyszedł na Grzegórzecką po raz ostatni, jakieś siedemnaście lat temu, i zdradził, że służy w policji, CD-Rom odnosił się do niego z rezerwą i ironicznie tytułował „panem komisarzem”.

– Przeszedłem z biznesem... – zagał niepewny reakcji, wyciągając zdjęcie Kasprzaka.

– Co się tak motasz? Wiem, że ciągle jesteś psem, nawet w „Kurierze” o tobie pisali. Co tam masz? – Mężczyzna wziął zdjęcie, przybliżył do oczu, odsunął. – Znam człowieka. Razem z drugim takim, Maćkiem, mieli stragan z książkami, ale nastali tu, jak ty już nie przychodziłeś.

– Z kim? – zdziwił się komisarz.

– No z takim drugim studentem, razem handlowali przez parę lat. A potem się pobili, tamten pieprznął interesem, a i Daniel nie został już długo.

– O co się pobili?

– Może nie dali se po razie, raczej tak się szarpali za fraki. Jeden trzymał za duszaki, drugi za oszywę. To ciumroki były, nawet nie potrafili porządnie haratnąć. Ale tu przy wszystkich się szarpali. Maciek krzyczał na Daniela: „Ty złodzieju!”

– Za co go wyzywał?

– Ja tam nie wiem, bo z nim nie gadałem o tym. Ale moi kumple. Znaczą kumple... Menele takie, co się tu kręcą. Oba studenciaki chcieli być pisarzami i Maciek mówił tym kumplom,

jak ich spotkał kiedyś w piwiarni, że Daniel mu ukradł pomysły. Już się tu więcej nie pokazał.

Nawrocki poczuł się jak zgalwanizowany. Znalazł człowieka, który dotychczas nie pojawił się na scenie, a miał coś za złe Kasprzakowi. Tylko że to musiało być w ubiegłej dekadzie – ochłonął nieco.

– Jak on wyglądał?

– Tak jak oni wszyscy; takie klarnety bosc, co myślą, że świat jest ich. Chudy, czarny.

– A jak się nazywał?

– No, czekaj. „Szybki” na niego mówili. To było coś z ruskiego. Znasz radziecki?

– Większość zapomniałem. Tak czy owak potrzebuję słowa, które miałbym przetłumaczyć.

– Przecież mówię, że „szybki” po radziecku.

– Aha, myślałem, że z rosyjskiego trzeba będzie tłumaczyć na polski. Szybki to chyba skoryj. Na rozkładach jazdy za komuny był *skoryj pojezd*, czyli pociąg pospieszny.

– Skoryj? Skoryj... no tak – Skorus! Tak miał na nazwisko.

– Czyli Maciej Skorus?

– No, pewnie tak, ale głowy nie dam.

– A tę kobietę znasz? – Pokazał mu wydruk zdjęcia Stachurskiej ze strony internetowej wydawnictwa. – Mogła być szczuplejsza, inny kolor włosów, bez okularów. – Przychodziła do Daniela?

– Nie kojarzę. Ale mogła tu bywać. Pamiętam tylko zasiedziałyh bazarników i tych, co u mnie stale kupowali.

– Kiedy doszło do tej kłótni? Z dziesięć lat temu?

– Będzie gdzieś tyle. Co najmniej. Ale Daniel w tym roku tu przyszedł, jakoś tak na wiosnę, po Wielkanocy. Od razu go poznałem, jak ciebie. I tak się zachowywał jak ty. Znaczy jak szpicel...

– Jak to?!

– Pytał się mnie, a i paru innych gości, kto by robił paszporty i ile by to kosztowało. Czy znam kogoś takiego, gdzie go znaleźć.

– Co powiedziałaś?

– Że Wieśka Migusa może znaleźć na Batowicach, rząd ósmy, kwatery trzecia.

– Wyjaśniał, po co mu to?

– Powiedział, że zbiera materiały do książki. Kazałem mu coś wymyślić.

Na obrzeżach targowiska, pomiędzy rzędem kiosków a nasypem kolejowym, czekał na interesantów bogaty wybór żelastwa z rolniczym przeznaczeniem – pługi, ostrza siekier, widły, kosy, noże, motyki. A za przenośnymi toaletami, ciągnąc się wzdłuż Dietla, leżało na kocach coraz gorsze barachło. Wielu z tych ludzi przyniosło wygrzebane z domu rupiecie, zbierając na jedno, dwa piwa. Jak gdyby myśli wyświetliły mu obraz, pod wiaduktem komisarz natknął się na faceta pijącego na stojąco, duszkiem, jasne pełne z butelki. W pudełku tekturowym przy koszu na śmiecie ktoś wyrzucił stosik pisma „Nowe Książki” z lat osiemdziesiątych.

– Aż mi się włosy na głowie prostują – wymamrotał grzebiący w tych szpargałach starszy mężczyzna w czerwonej kurtce, ze srebrnym obwarzankiem wokół łysiny.

Nawrockiemu zostały dwie godziny do spotkania z Fraglesem. Dobrze byłoby coś przekazać, ale jedzenie przy giełdzie nie jest rozpoznane ani pewne. Kiedy wyszedł od CD-Roma, poczuł, a potem zobaczył budkę *Krakowski kumpir*, gdzie raczej nie powinno być nieprzyjemnej niespodzianki. Ale babcia wstałaby z grobu i dała mu pstryczka w nos, że płaci kilkanaście złotych za kartofla z twarogiem, którego może sobie zrobić w domu i to za pięciokrotnie niższą cenę, wliczając kefir. Zwłaszcza że wyhodował sobie dwa worki ziemniaków na działce.

Droga do domu i z powrotem oraz przygotowanie obiadu zajęłyby większość pozostałego czasu. Nie opłacało się, więc podejdzie do tego kebaba na Wawrzyńca, gdzie zaprowadził go kiedyś Imbir. Knajpka nazywała się Sami coś tam, a mięso zawinięte w chleb syryjski nie miało monotonnego smaku, dzięki licznie obecnym plasterkom kiszzonego ogórka.

2

Aspirant sztabowy Marek Kmita poprawił się na barowym stołku. Imienia i nazwiska używał rzadko; zarówno koledzy z Wydziału do Walki z Przystępczością Narkotykową Komendy Wojewódzkiej, jak i przestępcy, a nawet żona i szesnastoletni syn wołali na niego Fragles. Z wygoloną głową i w skórzanej kurtce nie przypominał za bardzo kudłatej laleczki z dziecięcego serialu, ale ksywę podobnie jak małżonkę znalazł jeszcze w podstawówce.

Bez większego zainteresowania spojrzął na telewizor, gdzie chłopaki z Arki już w drugiej minucie dostały gonga od Śląska Wrocław.

– Co to za zgoda – prychnął, lekko wytrzeszczając oczy, co przed laty stało się jednym ze źródeł przezwiska. Jeszcze dłużej jego Cracovia trzymała z Arczką sztamę.

– Serwus Fragles, do siebie gadasz? – usłyszał Wicia Nawrockiego.

– Nie było do kogo ust otworzyć. Nie myślałem, że do tego stopnia stracisz instynkt śledczego i nie będziesz umiał znaleźć knajpy – odwinął. Wyznaczył spotkanie w tajnym pubie, Mary Ann, przy Stradomiu, który nie miał szyldu, nigdzie nie podawano jego adresu, wiedzieli o nim tylko bywalcy i zaproszeni przez nich

goście. Takich lokali, opierających atrakcyjność na oryginalności i elitarności, było kilka w Krakowie.

– Czemu tutaj? – spytał Wiciu, rozglądając się po, ewidentnie przerobionym z kuchni, pomieszczeniu, w którym ustawiono bar. Knajpa zajmowała też pozostałe pokoje dawnego mieszkania w kamienicy, z typowymi grubymi murami i wysokimi sufitami.

– Lubię tu oglądać mecze stoczni, a dzisiaj zagrają w Warszawie. Przychodzą krawaciarze, co jej kibicują, będzie z kogo poszydzić.

– Szukasz dodatkowych emocji?

– No co ty, nie ruszą mnie, nawet w dziesiątkę. Zesraliby się ze strachu. Za to mają poczucie humoru, zabawnie się odgryzają. Przychodzą też inne modele, czasem usłyszę coś przydatnego w robocie...

– Jasne. A stocznia to Wisła?

– Popatrz tylko, jak ich stadion wygląda od strony Focha. Oni na nasz mówią „hipermarket”.

– Jak rozumiem, będziesz kibicował Legii? Przechodzi ci to w zwyczaj. Pamiętam, jak kiedyś mówiłeś, że jesteś za Legią przeciwko Cracovii, bo to zaszkodzi Wiśle.

Odniosł wrażenie, że Wicio jaja sobie z niego robi.

– To są trudne mecze. Wtedy Legia walczyła ze Skisłą o mistrzostwo i tamte punkty bardzo jej się przydały. Ale dzisiaj wybór jest oczywisty. Gorąco życzę chłopakom ze stoczni, żeby przyjęli siódemkę do paszczy.

– Takie wyniki w ogóle się zdarzają?

– Na tym poziomie bardzo rzadko, ale pomarzyć można. Zwłaszcza że Skisła jest teraz cienka jak sik pająka.

– Co to jest różowa kokaina? – spytał Nawrocki, kiedy już barman przyniósł mu dużego browca.

Ciekawostka... Dla starej gwardii z komendy nie było tajemnicą, że parę lat temu Wicio poszedł w spida. I nawet jeśli dzięki

amfetaminie Amerykanie wygrali wojnę, bo dawali ją między innymi pilotom dla poprawienia koncentracji i walki ze zmęczeniem, to jemu nie służyła. Na szczęście miał dość rozsądku, by nie kraść dragów z policyjnego depozytu, oni w wydziale i szefostwo przymknęli oko na jego niedyspozycje, ostatecznie wylądował na leczeniu i pozostał w policji. Wydawało się, że wyleczył się na fest i dla Fraglesa był jeszcze jednym przykładem, że czasem warto dać człowiekowi szansę. A teraz interesuje się narkotykiem, który ma sporo wspólnego z amfą?! Powstrzymał się jednak od komentarzy.

– Fachowo nazywa się 2C-B. Tak naprawdę nie jest to klasyczna kokaina, bo ją wytwarza się ze składników roślinnych, ale narkotyk syntetyczny. Chyba jakiś facet w Kalifornii wynalazł to w latach siedemdziesiątych.

– Nigdy o niej nie słyszałem.

– Była niszowym produktem, ale jakoś w tej dekadzie zyskuje na popularności w Europie, zwłaszcza w Niemczech, poza tym w Australii. W Stanach była hitem już ze trzydzieści lat temu, kiedy zdelegalizowali tam ecstazy, a 2C-B było legalne chyba do połowy lat dziewięćdziesiątych. Nazywają ją „narkotykiem wyższych sfer” albo „narkotykiem księżniczek i modeli”. U nas wcześniej się nie przyjęła.

– Dlaczego?

– Bo nie ma tu wyższych sfer, a prości ludzie nie potrzebują chemicznego napędu do ruchania. – Fragles rozłożył ręce teatralnym gestem. – Żartuję. Jest droga, gram kosztuje ponad sto ojro, w Polsce od czterech do pięciu stówek, a pojedyncza tabletką nawet sto zeta. Pojawia się coraz częściej w klubach, ale raczej jako rarytas albo osobliwość. No chyba że już nie jestem na bieżąco... Na Zachodzie jest popularna wśród ludzi uprawiających chemsex, większość nazw – „Pink dust”, „Venus”, „Eros”, „Nexus” – odnosi

się do tego lub do wyglądu, ewentualnie jest transkrypcją skrótu 2C-B – „Tucibi”.

– Jak działa?

– Wzmacnia doznania zmysłowe i to na turbodoładowaniu; tak jakbyś w kilkudziesięciu miejscach na ciele miał czubek prącia albo łechtaczkę. A co nie mniej ważne, efekt utrzymuje się bardzo długo, od czterech do ośmiu godzin. Cała noc dymania, jarzysz?

– Jeśli serce wytrzyma... Są inne objawy, poza wzrostem potencji i wrażliwości ciała?

– To też psychodelik. Zmienia postrzeganie, wywołuje halucynacje wzrokowe i słuchowe. Do tego stopnia, że przedmioty mogą świecić lub przybierać inne formy. Huśtawki nastroju, śmiech przeplatany z lękami, a w wysokich dawkach może prowadzić nawet do uczucia strachu, ataku paniki.

Wicio kiwał głową, widać było, że to mu pasuje do jakiejś teorii.

– Ile trzeba, żeby doprowadzić się do takiego stanu? – spytał.

– Dziesięć miligramów jest małą dawką. Umiarkowana to między dziesięć a dwadzieścia cztery miligramy. Duża dawka to od dwudziestu pięciu do czterdziestu miligramów. Wiele jednak zależy od budowy danej osoby, fizjologii, kondycji. Jak z wszystkimi używkami.

– A jak szybko zaczyna działać?

– Po konsumpcji może zająć jedną, dwie godziny, zanim dotrze do mózgu.

Tu jakby się trochę zafrasował.

– To długo. A przyspieszone alkoholem, łiskaczem na przykład?

– No to szybciej, wiadomo. Co ty się tak wypytujesz? Kroi się jakaś orgia?

– Mam sprawę tego pisarza, który być może umarł, ale ciało zniknęło. Zgon, jeśli nastąpił, to podczas stosunku.

– Coś słyszałem. I co, łyknął różową landrynkę i się zakrztusił?

– Nie wiadomo, bo ciała nie ma. Ale kobieta, która z nim była, miała ślady 2C-B we krwi. Twierdzi, że facet to kupował dwukrotnie. U kogo mógł się zaopatrywać w Krakowie?

Fragles skontrolował położenie barmana, który nie przecierał szkła, jak to oni zwykle robią w starych filmach, ale drzemał w kącie, odsypiając ostatnią noc. Zerknął na telewizor, który pokazywał już wynik 2:0 dla Śląska.

– Dowcip polega na tym, że do Europy dostarczają to południowoamerykańskie kartele, które są znane z produkcji i dystrybucji naturalnej, roślinnej koki – odparł scenicznym szeptem. – W dwudziestym pierwszym wieku, kiedy pojawił się u nich syntetyk, klasycznie pokonały konkurencję przez przejęcie. Zdywersyfikowali sobie dochody.

– Kolumbijczycy?

– Głównie. Medelin, Cali, Bogota. Ale w materiałach, które dostaliśmy od Europolu, wspominali też o jakimś gangu z Ekwadoru. Dilerzy ściągają to z Niemiec, Hiszpanii, gdzie są największe rynki, a czasami wręcz przywożą ją sobie konsumenci. Twój pisarz mógł to nawet kupić od znajomego, który przyjechał z Reichu.

Zdawał sobie sprawę, że taka mnogość rozwiązań jest dla Nawrockiego ślepym zaułkiem. Uznał, że trzeba mu pomóc nawet poza procedurami. To był zawsze w porządku gość. Za samo to, że potrafił okiełznać Imbira, a jednocześnie zaopiekować się nim, należał mu się szacunek. A w robocie dzielił się informacjami, jak rozgrywający piłką. Gdy miał dotyczący narkotyków odprysk własnej sprawy, podrzucał im bezpośrednio, z pominięciem drogi służbowej. Inaczej niż kutasy, które wolały zapunktować u szefostwa. A oni, w narkotykowym, mogli przedstawić to jako efekt własnego rozpracowania operacyjnego.

– Słuchaj, mam pomysł – odezwał się Fragles. – Dwa tygodnie temu na Zabłociu pijana kobita wyszła na balkon na trzecim

piętrze i wypadła przez barierkę. Ktoś wezwał patrol, chłopcy na dole zastali rozpaczającego przy niej nagrzanego gościa; gdy przyjechała karetka, zgarnęli go na przepytanie na górę do mieszkania. A tam znaleźli pół kilo spida, sporo ziela i właśnie parę różowych pastylek, wszystko leżące praktycznie na wierzchu. Czasem trafi się taki prezent od losu.

– Cyrk przyjechał do miasta. Przypomniała mi się historia, o której niedawno czytałem. – Wicio się uśmiechnął. – Profesor historii z Sankt Petersburga zamordował studentkę, swoją kochankę, a gdy wrzucał poćwiartowane zwłoki do rzeki, poślizgnął się na brzegu, wpadł do wody i sam zaczął się topić. Wyciągnęli go razem z plecakiem, w którym były ramiona tej kobiety i pistolet. Dostał hipotermii. Resztę ciała znaleźli w mieszkaniu, ale bez głowy...

– Bywają sytuacje, o których się autorom komedii kryminalnych nie śniło. We wrześniu chłopaki z Psiego Pola, wiesz – z Wrocka, zatrzymali taryfę, bo mieli cynk, że auto jest przywłaszczone. Pasażerowie gdzieś się zapodziali, za to w bagażniku była torba turystyczna z kilkoma tysiącami porcji materiału na handel. A co najlepsze, złotówek wrócił do pracy, jeździł innym samochodem i wtedy tamte gangusy go napadły, bo szukały torby. Czym się wystawili naszej brygadzie na strzał. Ale to wszystko drobne rozrywki ubogiego kraju. W zamożniejszych państwach europejskich we wszystkim mają większy rozmach. We Francji ocean wyrzucił na brzeg ponad siedemset pięćdziesiąt kilogramów kokainy. Zamknęli kilka plaż, żeby to wybierać – owinięte folią paczki, osiemdziesiąt trzy procent czystości, pewnie kolumbijska koka.

– Wróćmy do tego pechowca z Zabłocia.

– To jest cipeczka. Usłyszał zarzut posiadania znacznych ilości środków odurzających, uwierzył, że możemy go położyć nawet na dziesięć lat, więc ciśniemy z niego, ile się da, za obietnicę krótszego

wyroku. Spróbuję go zahaczyć też o „pinka” i konkretnie o tego pisarza. Jak mu jest?

– Daniel Kasprzak, trzydzieści parę lat, zdjęcie mogę ci wysłać, ale jest publicznie dostępne w necie. A może ja z nim pogadam?

– Lepiej nie, gość ma zdolność koncentracji młodego chomika, ciężko mu uchwycić w głowie dwie myśli naraz. Nie chcę go dodatkowo stresować obecnością nowego, obcego funkcjonariusza. Czegoś się dowiem, spokojna twoja czaszka. Ostatnio mamy niezłą passę. Zatrzymaliśmy też trzynastoosobową grupę rozprawdzającą dragi po Małopolsce, sześciu wsadziliśmy do aresztu. W sumie ponad trzy kilo towaru z marychą na czele, do tego standardowe wyposażenie: wagi elektroniczne, zgrzewarki, broń śrutowa. Ktoś na pewno się spruje.

– Jestem twoim dłużnikiem.

– Nie ma o czym gadać. Postaw browca i będziemy kwita. Jeszcze czegoś potrzeba?

– To spoza twojej sfery zainteresowań. Do przyszłej niedzieli muszę skombinować tort na osiemnastkę córki. Tort będzie jednocześnie prezentem urodzinowym, więc powinien być niezwykły.

– No i tu się zdziwisz. Zawsze wam się mówiło, że narkotykowy to elita w porównaniu z kryminalnym. Nasza jednostka świadczy usługi kompleksowo. Znam chłopaka, który pracował w dziale marketingu Cracovii, grywaliśmy w piłkę – pracownicy klubu na kibiców. Mają cukiernię z żoną, a ona piecze niesamowicie. Odszedł z Craxy, ale spotykam go na hokeju i kiedyś dał mi wizytówkę. Wygrzebię ją wieczorem w chacie, to wyślę ci namiar.

W niedzielne popołudnie chciał zabrać gdzieś Jaśka, syna Gosi, z którym polubił się przez ostatnie kilkanaście miesięcy, ale jego mama znalazła jakąś wymówkę. Tak to odebrał. Chłopiec mógł nauczyć się wiersza na pamięć w dowolnym momencie weekendu, a jeszcze Wit by go odpytał. Chyba nie uda mu się już naprawić związku z Gosią. Nawet tego porządnie nie obgadali. Ale o czym mieliby rozmawiać? Paradoks polegał na tym, że każdy wyjaśniający argument, pokazujący przebieg sprawy, pogorszyłyby sytuację.

Przeczytał więc *Smog* do końca. W ostatniej ofercie rozpoznał Laure; nieco zagubioną dziewczynę o bladej cerze, czarnych włosach i ciemnoniebieskich oczach. Nie tylko ze względu na urodę zyskiwała sympatię, czytelnik powinien trzymać kciuki, żeby się uratowała. A może to siła autosugestii i tylko on miał sentyment do tej postaci, bo znał pierwowzór?

Pomijając manierę językową, która mu od początku nie odpowiadała, powieść była dosyć stylowa, akcja rozgrywała się w znacznej części w krakowskiej mgle. Nawrockiemu skojarzyło się to z *Psem Baskerville'ów* Conan Doyle'a, który przyswoił pod postacią filmu. Normalnie, będąc dzieciakiem, nie miałby szans go obejrzeć, bo rodzice nie pozwalali mu na „kino dla dorosłych” po *Dzienniku*. Ale w pierwszym półroczu drugiej klasy w czwartki miał na popołudnie i oglądał wszystkie filmy dla drugiej zmiany, a poza Sherlockiem Holmesem zapoznał się wtedy również z sierżantem Bergerakiem, ścigającym w angielskim serialu przestępców na położonej na kanale La Manche wyspie Jersey.

Włączył po raz drugi płytę, którą kupił dziś od CD-Roma. Mocne, acz płynne organy, dyskutująca z nimi gitara, facet śpiewający nastrojowo, ale jakby miał opuchnięty język. Najdłuższa, blisko dwunastominutowa kompozycja, *Spain*, była wręcz patetyczna.

Przy muzyce zastanawiał się leniwie, czy Daniel Kasprzak mógł wymyślić scenariusz zdarzeń, których byłby bohaterem. Albo raczej – czy miałyby odwagę wziąć w nich udział, bo *Smog* pokazywał, że jest obdarzony ogromną wyobraźnią. Choć jednocześnie, przynajmniej dla rozwinięcia intrygi, podierał się nadnaturalnymi, tajemnymi siłami, a w prawdziwym życiu nie mógł na nie liczyć.

Fabula *Smogu* od horroru przechodziła do kryminału. Przypomniała mu się czytana jakieś dziesięć lat temu książka, która przebyła drogę w odwrotnym kierunku. Zaczynała się na Kazimierzu, na początku lat dziewięćdziesiątych; paczka dzieciaków uczyła się w podstawówce przy Wąskiej, tam gdzie dzisiaj zostało tylko VI LO, a mieszkała w okolicy. Narrator – naprzeciwko, za Wisłą. Ta część podobała mu się najbardziej, nie tylko dlatego, że w niektórych okresach były to również jego rewiry. Dalej pojawiało się coraz więcej magii (czy też grozy) i to już było mniej dla niego strawne.

Podobnie jak wczoraj opadły go skojarzenia, ale to chyba naturalne dla książek – pomyślał – lektura pobudza marzenia, wspomnienia, ożywia sentymenty.

Autor opisał też giełdę przy Grzegórzeckiej w 1990 roku, „Roku Zero” – jak go nazwał. Wit do dzisiaj uważał, że nie było drugiego takiego okresu w historii, współczuł wcześniejszym i późniejszym pokoleniom, że niedane im było czegoś podobnego przeżyć. Tylko kilka lat starsi mogli odczuwać to jeszcze intensywniej od niego.

Przybyli z epoki, w której nie było nic, i nagle – od jesieni 1989 do wiosny 1991 – otrzymali wszelkie atrybuty barwnego świata kultury i rozrywki. Od dwóch programów TVP do palety kanałów telewizji satelitarnej w zakładanych taśmowo kablówkach oraz nielimitowanych prawami autorskimi filmów na kasetach wideo w wypożyczalniach bądź wymienianych „z ręki”. Od ograniczonych cenzurą zasobów bibliotek i audycji radiowych do

morza książek i kaset rozlewającego się na bazarach, w księgarniach i sklepach. Odtwarzacze wideo, radiomagnetofony, jamniki i telewizory wysypujące się z autokarów wycieczkowych wracających z Berlina i Wiednia.

A wszystko to pojawiło się w okresie życia, gdy człowiek był najbardziej chłonny i miał czas...

ROZDZIAŁ 6

1

Wysiadając z tramwaju na Kalwaryjskiej, komisarz Nawrocki zasunął wiatrówkę. Był to już dwudziesty ósmy października, ale pierwszy chłodniejszy dzień od dawna.

Na wprost miał bramę flankowaną przez głowy słoni i dwa kultowe miejsca Podgórze. Po kilkudziesięciu latach działalności księgarnia po lewej została zlikwidowana w marcu i zastąpiona przez piekarnio-kawiarnię. Udało się uratować słynny neon, który pojechał do warszawskiego Muzeum Neonów, ale w sierpniu wrócił i po renowacji ma zaświecić w Muzeum Podgórze. Zegarmistrz po prawej jeszcze się trzyma, nieodmiennie fachowy. Wit słyszał o nim kiedyś historyjkę w stylu *Pulp Fiction*. Mieszkający w Kanadzie wujek kolegi kupił w Nowym Jorku, za parę dolarów, podróbkę Patka Philippe. Po kilku miesiącach czasomierz przestał chodzić. Wujek obszedł kilkunastu zegarmistrzów w Toronto, jednak nikt nie chciał podjąć się naprawy „tak drogiego zegarka”. Podczas odwiedzin u rodziny w Krakowie wujek udał się więc na Kalwaryjską. Zegarmistrz popatrzył na zegarek, powiedział „aleś pan szmelc kupił” i naprawił go za pięć złotych.

Grecka restauracja funkcjonowała kilkadziesiąt metrów dalej, na ścianie placu Niepodległości, gdzie każda kamienica była

z innej epoki, a niekiedy i z dwóch, bo świeżo nadbudowana. Hellada mieściła się w najładniejszej, odnowionej pastelową zielenią, zwieńczonej idealnymi półkolami okien poddasza. Musiała się wpasować w kolorystykę budynku, więc tak samo jak w sąsiadującym z nią hotelu i sklepie z biżuterią okna i drzwi miały ciemnozielone obramowania, za to wewnątrz wykończono już po grecku, na niebiesko i biało.

Było to raczej coś w stylu bistro, poza daniami restauracyjnymi oferującego fastfoodowe. Wit, który rano wypił tylko kawę, kierując się rysunkami na planszy z menu, zamówił pitę z gyrosem z wieprzowiny.

– Można dostać do tego ostrego sosu? – spytał kobietę po pięćdziesiątce, z grubym węzłem poprządkanych siwymi nitkami włosów.

– Mogę posypać przyprawą. Oni pikantnych rzeczy za bardzo nie używają. – Zerknęła wymownie na mężczyznę, który wszedł z zaplecza i zaczął się krzątać przy pionowym walcu z mięsem.

Zapłacił dosyć umiarkowaną kwotę piętnastu złotych i wtedy się przedstawił, tłumacząc, że przychodzi w sprawie Laury. Kobieta nie wyglądała na zaskoczoną, zaprosiła go do stolika. Wyjaśniła, że nazywa się Zofia Lakis, jest Polką, a jej mąż Jorgos to syn emigrantów, którzy uciekli z Grecji do naszego kraju przed juntą czarnych pułkowników. Wspólnie są właścicielami lokalu.

– A może czegoś się pan napije? – spytała, gdy usiedli. – Na przykład drinka, którego nazwę wymyśliła Laura. Komandosi z Nawarony, Działa Nawarony. Pan wie, o co chodzi?

– Tak, czytałem te książki w młodości.

– Pierwszy to Metaxa, drugi jest na bazie ouzo. Tańcem Zorby nazwała Retsinę, czyli wino wyrabiane z dodatkiem żywicy sosnowej. Pije się ją do przekąsek, ryb, lekkich dań mięsnych. Nada się do gyrosa.

– Dziękuję, ale jestem na służbie.

– Termopil bym panu nie proponowała, strasznie mocny, wszystko pomieszane, może obalić armię. Bardziej niż do naszej restauracji pasuje do klubu nocnego, ale czasami wieczorem klienci to zamawiają. W ogóle wydawało mi się, że Laura się tym bawi, ale okazało się, że ludzie też mieli frajdę i zaczęli chętniej zamawiać alkohol. A z niego są większe zyski niż z jedzenia.

– Laura zajmowała się nie tylko marketingiem?

– Była od wszystkiego, taka nasza prawa ręka, tyle że nie wspólniczka. Nawet zaopatrzenie nam czasem robiła, ściągала rzadkie, oryginalne produkty z Grecji. Mąż wolał nie wyjeżdżać, bo się bał, że go aresztują, chociaż tam już dawno wszystko się zmieniło. Próbowwała nawet wylansować w Krakowie *tsipouro*, taki legalny bimber, wytwarzany z tego, co zostaje po produkcji wina: skórek, pestek i domieszki soku winogronowego. Ale to się nie przyjęło. Twierdziła, że prawdziwy Grek zawsze wybierze *tsipouro* zamiast *ouzo*, ale klienci nie widzieli różnicy, więc woleli to, co znali, przynajmniej ze słyszenia.

Z tyłu rozległo się teatralne psykanie. Odwrócili się, Jorgos Lakis trzymał w wyciągniętej dłoni zawiniątko, ale wskazywał nim stół, gdzie w międzyczasie usiadło kilka osób. Zofia przyniosła komisarzowi na talerzu piętę, zapakowaną ciasno w sreberko i papier.

– Niech pan sobie zje spokojnie, a ja za ten czas załatwię tamtych państwa. Przyjdę za chwilę, to znowu pogadamy.

Pita to był średniogruby placek, nie za duży, ledwo obejmujący zawartość. W środku poza pokrojonym cienko mięsem znalazł plasterki cebuli i pomidora, sos jogurtowy i frytki. Tylko one były gorące, świeżo smażone, mięso ciepławe, placek w temperaturze pokojowej, a warzywa wręcz chłodne. Wit był zwolennikiem wyższej temperatury potraw, ale jadł ze smakiem. Przypomniawsobie, że coś takiego serwowali chyba w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych w okrągłym stojącym tam, gdzie Szewska

wcina się w Planty, naprzeciwko Zalipianek. Wpadł do niego tylko kilka razy, bo konkurencja była duża, nawet zanim jesienią 1993 roku odtworzyli przy Floriańskiej McDonalda. Już wcześniej zresztą sprzedawali takie nowoczesne hamburgery w plastikowych pudełkach w dużym barze na rogu Dunajewskiego i Karmelickiej. Najsmaczniejsze jednak były dwa inne miejsca: budka nad Lubiczem, między dworcem kolejowym a przystankiem MPK, w której smażyli na blasze hamburgery ze świeżego mięsa, oraz minibarek przy Siennej, zasadniczo z zapiekankami, ale oferujący też najciekawsze hamburgery w Krakowie. Mięso jak mięso, ser jak ser, atutem była chrupiąca ciepła bułka, a oryginalnym dodatkiem nie mniej chrupiąca, soczysta i świeża, włożona do środka surówka z kapusty, kukurydzy, cebuli i sałaty.

Przeżuwał, patrząc na plac Niepodległości z prostym obeliskiem upamiętniającym, jak porucznik Stawarz ze swoim oddziałem, niemal dokładnie siedemdziesiąt jeden lat temu, rozbrajał żołnierzy austriackich w zlokalizowanych tutaj koszarach. Przed ćwierćwieczem była to również parafia Nawrockiego. Po lewej, pięć minut spacerem pod górę, miał IV LO, w którym zdał maturę. Na wprost basen i hala Korony, dokąd zaglądał, by pływać lub oglądać mecze koszykówki. Klub był ponoć na krawędzi upadku, nie najlepiej miała się też ciągnąca po prawej Kalwaryjska. Dawniej nazywano ją Królestwem Lombardii, ze względu na największe w mieście nagromadzenie lombardów i kantorów, albo Bangladeszem, z uwagi na rojowisko, niekiedy całkiem małych, lokali handlowych i usługowych oraz szyldów, szyldzików, reklam i bannerów. A także drobną, lecz za to powszechną przestępczość, nękającą całe Stare Podgórze. Wtedy jednak ta ulica żyła, a teraz była jakaś przygasła. Dlatego kiedy Zofia Lakis wróciła do jego stolika, spytał najpierw, jak im się wiedzie.

– Dziękuję, ujdzie. Nie dorobiliśmy się, ale jakoś się przedzie. – Uśmiechnęła się lekko. – Są lepsze i gorsze okresy, na przykład gdy zrobili zakaz parkowania. Teraz zamknięta jest Krakowska i most, to ruch się zmniejszył, musieliśmy zrezygnować z jednej kelnerki. Normalnie położenie działa na naszą korzyść, jesteśmy zaraz przy wylocie mostu. Ale mamy też trochę stałych klientów, nawet z telewizji z Krzemionek do nas przychodzą.

– Od dawna tu działacie?

– No zaraz. – Restauratorka sprawiała wrażenie, że się zastanawia. – Trzyście lat minęło we wrześniu. Ale nie są takie pechowe.

– Jak trafiła do was Laura?

– Weszła po prostu z ulicy, powiedziała, że jest pół-Greczynką, że chętnie by coś u nas robiła, bo miejsce jej odpowiada. Nie dawaliśmy wcześniej żadnego ogłoszenia, ale akurat doszliśmy do wniosku, że ktoś by się przydał. To było parę miesięcy po otwarciu Hellady, a ona akurat rozstała się z tym nieświętej pamięci mężem.

– Jak to nieświętej pamięci?

– To pan nie wie? Ona w sumie wdowa. Chociaż rozwiodła się, zanim umarł.

Komisarz czuł, jak ciśnienie błyskawicznie uderza mu do głowy, ciepłe plastry grzeją go w czoło i skronie. Jak mógł popełnić taki błąd i nie prześledzić historii małżeństwa Laury! W aktach wpisano tylko datę ślubu i rozwodu, nazwisko męża: Piotr Okoński, jego adres w Myślenicach. Widząc to, uznał, że na razie historia nieudanego, krótkiego małżeństwa sprzed kilkunastu lat nie ma bezpośredniego związku ze sprawą, a faceta sprawdzi później.

– A czemu nieświętej? – spytał po pauzie.

– Wykańczał ją psychicznie, chciał być jednocześnie tatusiem i kochankiem, a to się nie sprawdza. W życiu ją wychowywał, w łóżku szkolił, a co najgorsze, instrukcje z obu dziedzin kłóciły się

ze sobą. Nie można być grzeczną dziewczynką w dzień i niegrzeczną w nocy. Jeśli nawet takie bywają, to gdzieś muszą udawać.

– Zwierzała się pani?

– No właśnie nie za bardzo. Raz tylko ją rozebrało, gdy się dowiedziała, że tamten nie żyje. To już chyba parę lat było po tym, jak przyszła do nas. Wtedy mi trochę opowiedziała. A tak to raczej skryta była, nawet wstydliva. Żebyśmy tak choć raz od serca, przy winie pogadały o chłopach, seksie. Nawet chętnie bym się co nieco dowiedziała od młodszego pokolenia. To nie. Jakoś tak uciniała, albo gdzieś się spieszyła, albo nagle coś w lokalu miała do zrobienia.

Zdziwiło go to, bo z nim bardzo otwarcie rozmawiała o swoich obyczajach seksualnych. Może zależało jej na zademonstrowaniu szczerości, wytłumaczeniu się. Albo go prowokowała...

– Kiedy odeszła?

– Z pięć lat temu? Może trochę więcej, pięć i pół. Powiedziała, że przerzuca się na turystykę, bo potrzebuje pracy, która da jej więcej luzu, czasu wolnego. Chodziło jej o to, żeby pomagać temu pisarzowi.

– Poznali się tutaj?

– Podobno. Ja tego nie pamiętam. Z miesiąc, dwa po tym, jak zrezygnowała z pracy, przyszła tu z nim na kolację i kiedy go przedstawiała, powiedziała, że to jeszcze jedna rzecz, którą nam zawdzięcza. Śmiała się, że kto inny teraz będzie znosił jej histerie.

– Jakie histerie?

– Bo ona panikara jest. Jak coś się działo złego, dziwnego, niespodziewanego, to zaraz mi tu spazmowała. A jak raz Jorguś chlapanął niechcący tłuszczem i ogień buchnął na kuchence i blacie do krojenia, to wyleciała na plac i dopiero przy pomniku się zatrzymała.

Młodsza inspektor Katarzyna Marzec weszła do pokoju w komendzie miejskiej, w którym doraźnie umieściła komisarza Nawrockiego. Witek wisiał na telefonie, przed sobą miał otwartą jakąś bazę na komputerze.

Grabek i jego zastępca Buksa biadali, że ich Wiselka przegrała 0:7 z Legią.

– Żona zawsze narzeka, że siedzę dwie godziny przed telewizorem, a wczoraj była bardzo zdziwiona, bo wyłączyłem po pierwszej połowie – mówił szef Wydziału do Walki z Przestępczością Przeciwno Życiu i Zdrowiu. – Przynajmniej ominęła mnie część tego upokorzenia.

– Ja wysiedziałem do ostatniego gwizdka, ale byłem tak załamany, że poszedłem kroić cebulę i ogórki do sałaty, a normalnie pomagam w kuchni tylko na Boże Narodzenie i Wielkanoc – utyskiwał Buksa. – Żona powiedziała, że Wisła powinna przegrywać co tydzień, skoro tak korzystnie to na mnie działa. No i, kurwa, przegrywa. To już piąty raz z rzędu i końca nie widać.

– Mają kobiety problemy – wcięła im się. – U nas wystarczy, że przejdę w samej koszulce przed telewizorem i priorytety się zmieniają. Jaki mecz?...

Czekała, czy któryś rzuci aluzję pościelową, ale w tej tematyce odwaga zaczynała się od stopnia podinspektora.

– A w koszulce jakiej drużyny pani komendant występuje w pokoju telewizyjnym? – rozległ się z tyłu głos Wicia.

– Barwy nieważne. Mój facet i tak woli grać niż kibicować. Skoro skończyłeś zapędniać lukę technologiczną w telefonii stacjonarnej, to zapraszam do siebie. Mamy do pogadania.

Nawrocki albo dbał o stopniowanie napięcia, albo zrobił się tak rozmemłany, że przedstawiał jej wszystkie swoje działania w kolejności chronologicznej, szeroko relacjonując treść rozmów. Zrozumiała, że nie ma konkretnej koncepcji, nie byłoby zresztą żadnych naukowych faktów na jej poparcie. Jedną z niewielu operacji, które mogłyby ich dostarczyć, sekcja ochroniarza, jeszcze się nie odbyła. Odniosła ponadto wrażenie, że Wicio jest pod urokiem tej bladej panny, co ją pisarz ruchał przed śmierci-zniknięciem.

Dlatego zirytowała się, gdy nagle pod koniec wyskoczył z tym byłym kumplem Kasprzaka, zarzucającym mu kradzież.

– Teraz mi mówisz, że masz takiego gościa?! – naskoczyła do niego.

– Rzecz w tym, że go nie mam. Przez bazy danych namierzyłem jego dom rodzinny w Bolesławcu i przed chwilą złapałem jego ojca. Nic nie wie o tym, że Maciek sprzedawał książki na bazarze, natomiast po studiach pracował w firmie z materiałami wykończenia wnętrz, jako projektant. Wprawdzie skończył historię, ale się tego nauczył. Ojciec twierdzi, że zawsze miał zdolności plastyczne i wyobraźnię. Po paru latach rzucił jednak tę pracę i wyjechał do Anglii, jeszcze przed brexitem. Odwiedził wtedy rodzinny dom, bliskim tłumaczył, że w Krakowie nie może wytrzymać ze względu na złych ludzi i złe powietrze.

– Nie mają na niego angielskich namiarów?

– Mieszkał i pracował w Londynie, ale sama wiesz, co to znaczy. Moloch. – Nawrocki podrapał się fraszobliwie po głowie. – Wywnioskowałem, choć ojciec tego otwarcie nie powiedział, że Skorus nie pielęgnował związków i uczuć rodzinnych. Przez siedem lat odwiedził dom w Bolesławcu dwa razy, a zadzwonił raz. Przysyłał tylko kartki na święta.

– Wiadomo, co tam robił?

– Skąpił im szczegółów. Podczas odwiedzin stwierdził, że pracuje w branży gastronomicznej. A kartki między innymi temu służą, żeby za dużo nie wyjawiać...

– Kiedy ostatnio mieli z nim kontakt?

– Przysłał życzenia na Wielkanoc, napisał w *post scriptum*, że być może latem zjedzie do Polski. Nie pojawił się jednak ani nie odezwał. Nie niepokoją się specjalnie, bo do Bożego Narodzenia zostały jeszcze prawie dwa miesiące. Możemy poprosić Anglików o współpracę? Wystarczy, żeby go namierzylim.

– Możemy. Uruchomię kanały.

– To jeszcze Greków. Chodzi o wyjazd Kasprzaka i Okońskiej na Naksos, mniej więcej pomiędzy dwudziestym września a dziesiątym października. Mieszkali w domku należącym do rodziny, mam adres. Chodziłoby o popytanie sąsiadów, ludzi z okolicznych barów, sklepów, jak ten ich pobyt wyglądał. Plus rozmowa z jej grecką rodziną w Salonikach. Ojciec nazywa się Antas, ale funkcjonuje pod greckim nazwiskiem żony, Karangounis. Jej rodzice, dziadkowie, wszyscy mieszkają razem. Mogliby się dowiedzieć, jak wyglądał ten związek w ich oczach, czy poznali Kasprzaka, co o nim sądzą, czy widzieli go teraz, jesienią.

– O co biega, masz jakieś podejrzenia? Sprawa może mieć związek z Grecją?

– Nie mam na razie żadnych sprecyzowanych podejrzeń. Chcę prowadzić śledztwo wielotorowo. Iść wszystkimi dostępnymi drogami, a może na którejś z nich będzie coś leżało. Bo na razie tylko plenią się po obu stronach chaszczki i nic zza nich nie widać.

Patrzcie go, poeta, pomyślała policjantka. Do prowadzenia pokręconej sprawy pisarza pasuje jak ulał.

– Jeszcze raz dziękuję, że zgodził się pan na przełożenie tego spotkania. Chętnie poświęcę panu tyle czasu, ile będzie trzeba. – Jacek Antoniak był uprzejmy i wdzięczny, ale bez czolobitności. W poniedziałkowe popołudnie przyjął go w siedzibie wydawnictwa w biurowcu przy Armii Krajowej. Budynek był mniejszy niż sąsiednie, również ochrzczone nazwiskami odkrywców i filozofów, reklamował się jako kameralny (choć siedmiopiętrowy), ale i tak niekoniecznie odpowiadał wizerunkowi wydawnictwa książkowego. Otaczały je instytucje finansowe lub zajmujące się zaawansowanymi technologiami. Antonium drastycznie różniło się od firmy Marzeny Stachurskiej przede wszystkim jednak obsadą. Podczas krótkiego oczekiwania na wejście do gabinetu Antoniaka komisarz Nawrocki zobaczył kilkunastu pracowników.

– Pytałem o to w sobotę, ale zakładałem, że nic się nie zmieniło w kwestii sprzedaży *Smogu*? – zagaił policjant. – Poza tym, że ja przed chwilą zapłaciłem za swój egzemplarz.

– Jeśli już, to na lepsze, nie tylko dzięki panu. – Antoniak odchylił się na fotelu biurowym. – Choć wiąże się to dla mnie z większymi obciążeniami, bo wczoraj w południe okazało się, że chyba zabraknie książek na stoisku, w naszym magazynie już nic nie było, musiałem jechać do dystrybutora, który ma siedzibę w Olkuszu, i prosić, żeby oddali, co łaska. Ale opłaciło się, bo od piętnastej sprzedawaliśmy właśnie te wyproszone i poszło niemal dwieście sztuk.

– Oddali, co łaska?

– Handlują naszymi książkami, ale rozliczają się dopiero po sprzedaży. A i to nierzadko w okresach półrocznych. Książki w ich magazynie są więc niejako nasze.

– Czyli pan też zarobi z opóźnieniem?

– Część teraz, część potem, zależy, z jakiego źródła. W każdym razie zyski będą bardzo duże.

– A zyski Kasprzaka?

– Dostał zaliczkę z góry, a poza tym jest na procencie od sprzedaży. Oczywiście po tym, jak się spłaci zaliczka. Konkretnie wartości są tajemnicą handlową, ale na pewno zarobi świetnie.

– Będąc na targach, podsłuchałem rozmowę dwóch pisarzy o tym, że otrzymują sześć procent od ceny okładkowej, a zaliczki wynoszą dwa, trzy tysiące złotych. Kwoty nie robią wrażenia. A raczej – robią wrażenie wykorzystywania.

– Jacy autorzy, takie stawki. – Antoniak skrzywił się niechętnie. – Może nie powinienem być adwokatem diabła, mnie to nie dotyczy, stosuję inne praktyki. Moi podopieczni dostają więcej, Kasprzak znacznie więcej. Ale przez uczciwość muszę powiedzieć coś w obronie wydawców. To jedyni ludzie w tym biznesie, którzy ryzykują własne pieniądze. Muszą zatrudnić, na zlecenie, a nawet na etat, redaktora, człowieka od fotoskładu, zapłacić za projekt okładki, zapłacić za druk, papier. Wszyscy ci ludzie, plus drukarnia, biorą kasę i są zadowoleni. Połowę uśrednionych przychodów ze sprzedaży zgarniają dystrybutorzy i sprzedawcy. To w ogóle ich rynek. Ile więc zostaje wydawcy do podziału z autorem, któremu notabene wypłacił już zaliczkę, choćby tylko kilkutyśięcną? O podatkach nie mówię, żeby nie potęgować grobowego nastroju.

– No tak, z tej perspektywy wygląda to inaczej – przytaknął komisarz.

– To nie wszystko! A reklama, promocja? – Jego rozmówca wyraźnie się zapalał. – Przydałaby się choćby minimalna, w social mediach, ale za każdą musi zapłacić wydawca. Recenzentom trzeba dać książki w prezencie – z puli wydawcy. Coś tam załatwią patronaty medialne, ale gdyby się chciało naprawdę zaistnieć w gazetach czy telewizji albo w reklamie outdoorowej, koszty robią się kolosalne w stosunku do nakładów na produkcję. Księgarniom trzeba płacić za wszelkie formy ekspozycji –

wykładanie książek na półki, stoliki. U potentata, MultiMedium, wywieszenie małego plakatu w formacie A3, z okładką książki, kosztuje pięćset złotych za jeden salon na trzy tygodnie. MultiMedium bierze książki w komis, ich prowizja wynosi pięćdziesiąt pięć procent, rozliczają się co pół roku z terminem płatności za sto dwadzieścia dni. Czyli przykładowo za książkę, która ukazała się w lipcu, mogą przelać pieniądze pod koniec kwietnia następnego roku. Co i tak opóźniają. A książki niesprzedane oddają nierzadko pomięte.

Jacek Antoniak odsapnął, wypił szklanekę mineralnej i natychmiast napełnił ją ze stojącej obok butelki. Wit uświadomił sobie, jak niewiele wiedział o tym światku i jakim błędem było postrzeganie go przez pryzmat przedmiotu, jakim się tu zajmowano, jako świata wyższej kultury...

– Wróćmy do *Smogu*. Laura Okońska nie dostanie ani złotówki?

– Zapisy w umowie są klarowne. Zyski mam przelewać na konto Kasprzaka i nie ma żadnego rozwiązania, które pozwoliłoby jej na przejęcie dochodu ze sprzedaży książek, nawet jeśli Daniel faktycznie nie żyje. Mogłaby natomiast walczyć o udział przy sprzedaży praw do ekranizacji. A na pewno ktoś, kto chciałby kupić prawa do ekranizacji, tłumaczeń zagranicznych czy napisania kontynuacji, mógłby zabiegać o jej zgodę, oferując gratyfikacje pozaumowne. Pan rozumie, o czym mówię? Tyle że to rozważania czysto hipotetyczne, udziały w Niderlandach, których Sobiepan Zamojski nie miał, ale ofiarował królowi szwedzkiemu za namową Zagłoby.

– W rozmowie ze mną stwierdziła dość stanowczo, że nie zgodzi się na kontynuację. To ponoć wola samego Kasprzaka.

– Do mnie też powiedział coś takiego cztery lata temu, gdy wyszło *Co nas nie zabije*, czyli czwarta część *Millenium*, napisana przez Lagercrantz. Nie mam takich zamiarów, zresztą heksalogia Kasprzaka dobiła do czasów współczesnych i na razie trudno

byłoby ją kontynuować w dotychczasowej formule. Nie poznałem jeszcze tej Laury, tylko nasz dział marketingu kontaktuje się z nią sporadycznie, na ogół mailami. Słyszałem, że jest trudna, a czekają mnie negocjacje z nią na temat wznowień i przedłużenia licencji. Na to jest jeszcze czas, natomiast nie wiem, jak zareaguje na pomysł stworzenia serii komiksów. Byłoby to nie tylko pole do czerpania kolejnych profitów, ale droga do ludzi, którzy książek Daniela raczej nie przeczytają. No i, rzecz niebagatelna, popularyzacja historii Polski, okresów, o których traktuje heksalogia.

Do Nawrockiego dotarło coś, czego nie uprzytomnił sobie po rozmowie z Laurą. Jeśli śmierć Kasprzaka byłaby mistyfikacją, to blokując możliwość powstania kontynuacji, odcinałby sobie możliwość olbrzymiego zarobku.

– Być może to ja nadałem taki ton tej rozmowie, ale dotyka ona wyłącznie pieniędzy, co chyba nie jest priorytetem w działalności artystycznej – stwierdził na głos, jak echo wcześniejszej refleksji.

– Wręcz przeciwnie. To grafomani rozmawiają o sztuce, natomiast artyści – o kobietach, jedzeniu i pieniądzach. – Antoniak się uśmiechnął.

– Pan pisał?

– Tak, i wtedy stanowczo za dużo o tym rozprawiałem. A jednocześnie kiepsko radziłem sobie z opiniami innych. Publikowałem na stronie internetowej z blogami literackimi, które można było komentować.

– Hejtowali pana?

– Zauważyłem, że dla niektórych ludzi słowo „hejt” stało się bardzo wygodne, bo mogą nim zdyskredytować każdą krytykę. Pewnie sam bym go używał, ale wtedy nie było tak popularne jak dzisiaj. A krytyka mnie podłamywała. Nawet żarciki w stylu, że w krakowskim konkursie „O złoty kałamarz i złamane pióro” jestem faworytem do pióra. Miałem sporo wyobraźni, może nawet

niezłą technikę, styl, ale brakowało mi umiejętności zamknięcia klamrą intrygi, zbudowania dłuższej fabuły.

– Nie pomógłby kurs kreatywnego pisania?

– Już sama nazwa mnie odrzuca. Kurs bycia twórczym? Nie można nauczyć bycia twórczym, tak jak nie można nauczyć inteligencji czy wyobraźni. To są cechy, z którymi człowiek się rodzi, a potem je w sobie pielęgnuje, więc się rozwijają. Widzi, co mu dobrze wychodzi, a co źle, stara się to skorygować, nierzadko metodą prób i błędów. Ale nie na kursie, kursy są dla prowadzących, żeby mogli zarobić.

– Wyobrażam sobie, że dzielą się z uczniami swoim doświadczeniem pisarskim, wytykają błędy w tekstach, które powstają w trakcie takich zajęć – polemizował komisarz. – A to na pewno korzystne dla płacących.

– Pewna Amerykanka, Brenda Novak, powiedziała: „Kiedy postanowiłam zostać pisarką, przez pięć lat uczyłam się rzemiosła. Dopiero po tym czasie powstała moja pierwsza książka. Nauczyłam się pisać, czytając, co napisali inni. Najlepsza rada dla każdego przyszłego pisarza: czytać, czytać, czytać...”. Podpisuję się pod tym obiema rękami. Gdy ktoś dużo czyta, słownik oraz pewne podstawowe reguły fabularne przyswajają sobie niejako bezwiednie, nasiąka nimi. Potem chodzi o wyciśnięcie tego z siebie. A co mają wycisnąć ci, którym nie chciało się czytać nawet lektur w szkole? Albo ci, którzy nie sięgnęli literacko poza kanon lektur? Albo ci, którzy posmakowali Kinga czy Cobena, potem zobaczyli sukces skandynawskich autorów, a od nas przeczytali parę książek Mroza czy Krajewskiego i uznali, że są gotowi? Tylko że językowo będą o poziom, a nawet dwa niżej.

– Zetknąłem się z twierdzeniem jakiegoś pisarza, że trzeba wierzyć w siebie, w swój talent, i przeć do przodu. – Wit nawet nie był pewny, czy tę kwestię rzeczywiście wygłosił pisarz i czy sam

w nią wierzy, ale uznał to za dobry sposób na podtrzymanie temperatury rozmowy.

– To jest zbrodniczo mylące. – Antoniak aż szarpnął głową, a potem odgarnął grzywkę, która opadła na czoło. – Byli tacy, co wierzyli w siebie, mieli talent, ciężko pracowali, a nic nie osiągnęli i skończyli jako rozgoryczeni czterdziestolatekowie na budowach w Niemczech. Przy szczęściu za barem w Irlandii.

– Tak jak Maciej Skorus?

– A on jest w Irlandii? Nie wiedziałem.

– W Anglii. Zna go pan?

– Tak. On, Kasprzak, Stachurska, jeszcze z kilkanaście innych osób tworzyli... Określenie „młode krakowskie środowisko literackie” nawet wtedy zabrzmiałoby komicznie, a słowo „bohema” zostałyby wykpione. Na pewno byli to młodzi ludzie bywający w nieistniejącej już na Kazimierzu knajpie Czwerej Muszkietierowie. Ludzie próbujący pisać, uwielbiający czytać, dzielący się opiniami o jednym i drugim.

– Marzena Stachurska też pisała?

– A nie. Ona widziała się w roli muzy, opiekunki artystów. Takiej, co to podrzuci pomysł, zafunduje wino, przenocuje we własnym łóżku. – Tu Antoniak zrobił jakby przepraszającą minę.

Mimo to komisarz spytał brutalnie:

– Pan był objęty tym mecenatem?

– Prawie każdy. Wierzyła, że będzie taką lokalną Misią Godebską, którą uwiecznili Proust i Cocteau, Renoir i Toulouse-Lautrec, jednak tamta doszła do swojej sławy inną drogą, w innym mieście i epoce. Widział pan Marzenę?

– Tak, spotkaliśmy się.

– Nie wiem, jakie wyrobił pan sobie o niej zdanie, ale kilkanaście lat temu była w pełni rozkwitu. Elokwentna, z poczuciem humoru, apetyczna jak diabli. Jednak to po prostu

starsza kumpela, na którą działał nimb artystyczny. Obawiam się, że ciągle błędnie postrzega swoją rolę.

– Pan jej nie pomógł.

– To prawda, ale na szczęście nie do mnie ma o to pretensje. To jest biznes, nie uważam, że ktokolwiek powinien się z tego tłumaczyć. Zwłaszcza że zyskali także czytelnicy, do których nieporównanie szerzej trafiły książki Kasprzaka.

– Był pan blisko z nim i Skorusem?

– Nie za bardzo, może trochę bardziej z Danielem, co zaowocowało późniejszą współpracą. Ale też bez przesady, przykładowo w Wieliczce byłem u niego góra dwa razy.

– Miał tam kogoś?

– Chyba jakąś miejscową dziewczynę, sporo od niego młodszą, jeszcze do liceum chodziła. Nie poznałem jej, nie bywała w Czterech Muszkieterach, a kiedy siedem lat temu zacząłem z nim rozmawiać o wydawaniu jego książek, już się nie spotykali. Wiem tylko, że miała psa, chodzili z nim na spacer i w ten sposób randkowali. Daniel był dosyć romantyczny.

– A Skorus był z kimś związany? – Nawrocki miał poczucie, że porusza się po omacku.

– Z dziewczynami, które przykleiły się do jego peleryny natchnionego mistrza pióra. Nie za wiele jednak ich było i chyba także dlatego pisanie straciło dla niego atrakcyjność.

– A nie rozczarowanie współpracą z Kasprzakiem, którego miał oskarżyć o kradzież pomysłów czy plagiat?

– Nie słyszałem o tym i nawet nie wypada mi dywagować, czy najpoczytniejszy autor w moim wydawnictwie mógł tak postąpić...

– A gdyby miał pan zeznać?

– Nie wiem. Przecież Kasprzak nie napisał żadnej książki, kiedy trwała znajomość ze Skorusem, i jeszcze ze dwa, trzy lata po jej zakończeniu. Jak więc miałyby wyglądać taka kradzież? To nie rzecz, którą można zabrać i schować.

– Skorus potrafiłby napisać powieść?

– Pewnie tak, ale żeby można było to stwierdzić autorytatywnie, musiałby się z tym zmierzyć. W tej chwili mogę patrzeć na niego tylko z ówczesnej perspektywy. Postrzegałem ich obu jednakowo, jako bardziej utalentowanych ode mnie. Tam, gdzie oni zgarniali nagrody, ja dostawałem biedne wyróżnienia po pięćdziesiąt złotych.

– To dlaczego Skorus zrezygnował? Jeśli się pokłócili, miał coś Kasprzakowi za złe, już sama rywalizacja z nim powinna być dla niego ostrogą.

– Musi pan jego spytać, ja mogę mówić o sobie. Podstawą udanego życia jest odkryć rolę, jaką ma się w nim odegrać, pogodzić się z nią, a potem nauczyć się czerpać z niej satysfakcję. Zostałem wydawcą, żeby publikować swoje książki, ale na szczęście zrozumiałem, że się nie nadaję na pisarza, zanim wydałem pierwszą. Nie moja filiżanka herbaty, jak mawiają Anglicy. Niemniej własne oplakane doświadczenia sprawiają, że widzę ten rynek także z perspektywy autorów i potrafię nimi pokierować.

– Myślałem, że pisarze na ogół są niezależni.

– Hm. Hm, hm, powiedziałbym nawet. Nie będę się jednak wyzłośliwiał, już dość żółci tu dzisiaj wylałem. Nie dyktuję im tematów, ale na pewne wybory lub ich poniechanie naciskam. Z czytelnikami jest jak z tym sąsiadem z piosenki Młynarskiego, który „leje żonę, bo nie jest do pani podobna”.

– „Jestem pani ulubieńcem, a pani moją wielbicielką”? – Wit przypomniał sobie list miłosny nierozumiejącego znaczenia słów fana do popularnej piosenkarki.

– Tak, to ta. Jej sens był może inny, a mnie chodzi o to, że czytelnicy przyzwyczajają się do stylu i gatunku u konkretnych osób. Identyfikują z nimi autora, a kiedy ten stara się napisać coś innego, niszczą go niemiłosiernie, że nie pozostał przy tym, co

lubią. Dlatego jeśli jakiś poczytny autor sensacji marzy o thrillerze psychologicznym – a jest to ambicja wielu pisarzy gatunków pop – albo „kryminalista” pragnie spróbować sił w horrorze, nalegam, aby tego poniechali.

– Podporządkowują się?

– Niekoniecznie, a ja to wtedy i tak wydaję, bo jakoś na swoje wyjdę. Ale oni muszą się przygotować, że będzie bolało.

ROZDZIAŁ 7

1

Jagoda wrzuciła na bloga recenzję *Złotej klatki* Läckberg. Smaczna rzecz. Camilli dobrze zrobił wyjazd z Fjällbacki. Zaczęła serię świetnie, utrzymała poziom przez parę następnych tomów, ale pod koniec zaczęła zjadać swój literacki ogon. Nawet styl i technika pisania jakby się jej pogorszyły. A teraz zarzuciła tamten cykl, przeniosła się z akcją do Sztokholmu i stworzyła zajmującą powieść, której bohaterem jest współczesny hrabia Monte Christo w spódnicy. Z zabawnym i oryginalnym motywem budowania finansowych podstaw dla zemsty za pomocą dochodów z wprowadzania psów na spacer.

Przejrzała nowości na platformie abonamentowej z e-bookami. Zauważyła, że pojawił się *Login* Tomasza Lipko, więc ściągnęła go sobie na półkę. *Notebook* jej się podobał, z trzech kumpli żyjących w niewielkim mieście – prokuratora, policjanta i księdza – narratorem był ten pierwszy. Teraz przyszła kolej na księdza, a w przyszłości można się było spodziewać trzeciego tomu, co dodawało książce atrakcyjności. Zawsze przywiązywała się do bohaterów.

Wprawdzie jako blogerka ze sporym stażem i niezłymi zasięgami mogłaby liczyć na egzemplarze recenzenckie od wydawnictw, ale wtedy nie czytałaby tych książek, które chce

i kiedy chce. A panie z filii przy Halszki ją lubiły i co miesiąc odkładały dla niej jeden kod dostępu do platformy e-booków z puli, jaką Biblioteka Kraków wykupywała dzięki dotacjom z Budżetu Obywatelskiego i z Ministerstwa Kultury.

Napięcie w nogach, na które początkowo nie zwróciła uwagi, zajęta pisaniem, stopniowo narastało. Nagle dostała bolesnego przykurczu kolan. Zaciśnęła zęby, zamknęła laptopa, podjechała krzesłem na kółkach do prawej strony stołu, przy którym siedziała, oparła się o niego łokciami, udami odepchnęła krzesło do tyłu i przez prawe biodro i prawy bark przetoczyła na tapczan tuż obok.

Przez chwilę leżała, dysząc. Nie chciała wołać rodziców, bo oni nawet po paru latach ciągle przejmują się takimi sytuacjami, a tutaj była w stanie sama sobie poradzić. Miewała poważniejsze zaburzenia mięśniowe. Zastanawiała się już kilka razy nad marihuaną medyczną i w równym stopniu miała nadzieję, że jej pomoże, co się jej bała. Przyjmuje się ją poprzez waporyzację, coś w rodzaju inhalacji. Podgrzewa się konopie i wdycha, a że nie ma spalania, nie powstają substancje szkodliwe. Tylko czy nie uzależni się od tego? Lekarz, którego na ten temat zagadnęła, stwierdził, że będą się tym martwić za dwa lata, bo dopiero po dwudziestym piątym roku życia można ją stosować, a i to tylko wtedy, kiedy inne metody zawiodą.

Ostatnio coraz popularniejsze są też „olejki z marihuany”, dostępne bez recepty. Przyjmuje się je doustnie lub naciera skórę, co brzmi całkiem lajtowo, ale nie zawierają THC, więc nie działają psychostymulująco i raczej by jej nie pomogły.

Wzięła tabletkę, który leżał na szafeczce przy tapczanie, przygotowany na takie jak teraz przypadki awarii oraz na wieczory. Nie miała ochoty na żadną książkę, choć pod ręką było też kilka papierowych, przyniesionych z biblioteki. Przeglądając

neta, natrafiła na stronę z ciekawostkami bibliofilskimi. O tym, że Stefek King został kiedyś oskarżony o wandalizm, bo w jednej z księgarni w Australii dopadła go wena twórcza i notował, na czym popadnie, już słyszała. O tym, że jako pierwszy na maszynie do pisania książkę stworzył Mark Twain i były to *Przygody Tomka Sawyer* – też. To jest dobre! W 2016 roku po stu trzydziestu trzech latach zwrócono do biblioteki powieść o wojnie trojańskiej i wędrownkach Ulissesa. Przysłał ją do biblioteki wnuk wypożyczającego, razem z listem wyjaśniającym, że znalazł ją wśród rzeczy po zmarłej matce. Biblioteka odpuściła mu ponad dziesięć tysięcy funtów grzywny, hi, hi, hi. Według koncepcji pani Asi rzecz musiała zachwyć. Kiedy Jagoda bardzo szybko oddawała książki, jej ulubiona bibliotekarka zawsze pytała, czy jej się nie spodobały, skoro od razu się ich pozbywa. Musiała więc tłumaczyć, że wręcz przeciwnie – bardzo, i dlatego pośpiesznie je przeczytała.

Tu jest jeszcze lepsza historia! We wrześniu 1974 roku Philip K. Dick i grupa amerykańskich autorów *science fiction* napisali list do FBI, że Stanisław Lem nie istnieje, bo to niemożliwe, by jeden człowiek posługiwał się tak wieloma stylami. Stoi za nim KGB oraz sztab propagandystów chcących zawładnąć amerykańską myślą *sci-fi* i wpłynąć na Amerykanów. Śmiała się bezgłośnie z tabletem podskakującym na brzuchu, kiedy nagle przeszła ją myśl, że może to właśnie jest historia Daniela Kasprzaka. Był awatarem jakiejś grupy autorów, którzy go teraz zlikwidowali! A może nie żył już dużo wcześniej i teraz trzeba było urządzić tę mistyfikację, aby to ukryć?

Zadzwoiła wczoraj do komisarza Nawrockiego, ale twierdził, że bardzo jest zajęty i nie ma czasu rozmawiać. Przyznał jednak, że wciąż nie znaleziono ciała pisarza. A jaki jest sens ukrywania ciała? Taki, że nie można wtedy stwierdzić, że to inna osoba, niż się wydawało. Policja, jeśli chce rozwikłać tę zagadkę, powinna

szukać wyjaśnienia w przeszłości – gdy zawiązał się kolektyw autorski z udziałem Kasprzaka albo kiedy jakaś grupa przejęła jego tożsamość, aby działać pod jej przykrywką. Gdyby przygotowała zbiór przykładów takich spółek pisarskich, to komisarz mógłby uwierzyć w jej teorię!

2

Karetką nie mogła tędy przejechać, ale Wit Nawrocki, nadchodząc od strony Dworca Głównego, bez problemu przedostał się przez feralne, wciąż jeszcze zamknięte rondo. Kiedyś znalazłby tu należące do pobliskiej jednostki wojskowej drzewa, jakąś budę, zarośla i wiewiórki (acz nieumundurowane). Odkąd jednak powstała estakada, teren stał się atrakcyjniejszy, a Agencja Mienia Wojskowego sprzedała go deweloperom. Budynki rosły prędzej niż drzewa, a nad nimi gdzieniegdzie słabo rysowały się na tle wieczornego, zachmurzonego nieba ramiona dźwigów z czerwonymi punkcikami światełek ostrzegawczych.

Laura otworzyła mu drzwi w czarnej sukience, ale innej niż poprzednio; prostej, jakby workowatej, sięgającej do pól uda, za to z rękawami po nadgarstki. Wdzianko musiało być ciepłe, było nawet zaopatrzone w kapturek jak bluza dresowa, teraz opadający na plecy, przykryty rozpuszczonymi włosami; ściągacze od niego leżały na piersiach. Komisarz uznał jednak, że właściciele niekoniecznie zależało na temperaturze, wszak idąc przed nim, błyskała gołymi, krągłymi łydkami.

– Napije się pan kawy po grecku? – spytała, gdy znaleźli się w salonie.

– Chętnie, mimo że nie wiem, jaka to jest.

– Kto nie ryzykuje, ten nie pije *sketos*. – Uśmiechnęła się lekko. – Nic groźnego; mielona kawa, parzona w procesie gotowania w tygielku nazywanym *briki*, czasem dwukrotnie – jeśli ma się ochotę na mocniejszą, to się odparowuje wodę. Dodać cukru?

– Poproszę, jedną łyżeczkę.

– To będzie w takim razie *metrios*, czyli średnia. *Sketos* jest gorzka. Proszę się oprowadzić po mieszkaniu, ja w tym czasie przygotuję kawę.

Zapowiadając się telefonicznie, powiedział jej, że chciałby zobaczyć arenę zdarzeń, nie zdradzając, że był już tutaj, a ponadto obejrzał zdjęcia i film z mieszkania zrobione przez techników. W rzeczywistości zamierzał się zastanowić nad odegraną przez Laurę rolę, oglądając ją w tych wnętrzach.

Mieszkanie było czyste i wysprzątane, niemal sterylne, co kłóciło mu się z małżeńskimi doświadczeniami. Gdyby miała nabałaganione i brudno, nie zdążyłaby raczej posprzątać, wszak dzwonił do niej niespełna pół godziny temu.

Chodząc po pomieszczeniach, niczego nie zauważył, niczego nie poczuł. Dopiero w gabinecie Kasprzaka odniósł wrażenie, że coś mu tutaj nie pasuje. Na stoliko-biurku brakowało laptopa, ale znalazł go na drukarce pod blatem. To nie to. Chodzi o obecny wygląd czy coś, co widział uprzednio?

Stał przed biurkiem i oknem o rozsuniętych storach, za którym reflektory budowy oświetlały świeże fundamenty.

– Ogląda pan wykopki? Kiedy się wprowadzaliśmy w ubiegłym roku, było więcej dziur w ziemi, a za rok, dwa będziemy patrzeć tylko w cudze okna – powiedziała Laura, stając za nim.

– Tu przynajmniej szykuje się wyraźny oddech, bo na Zabłociu stoją dwa bloki w odstępach pięciu metrów – odpowiedział. – Dwaj różni deweloperzy je wybudowali. Gdzie indziej ludzie pokoje w mieszkaniach mają obszerniejsze niż przestrzeń, jaką stojący tam na balkonie widzi przed sobą do następnej ściany.

– Na szczęście, nie będę musiała zastanawiać się, co gorsze, tylko wyniosę się wcześniej.

Użyła innych niż w taksówce, bardziej intensywnych i zmysłowych perfum. Musiała spryskać się nimi przed chwilą, bo po wejściu nie poczuł zapachu. Kobiety robią takie rzeczy dla dodania sobie animuszu.

– Rodzina Kasprzaka odezwała się do pani?

– Jak dotąd nie. Chyba mają problem, bo nie dysponują numerem nie tylko do mnie, ale nawet do niego. – Zachichotała złośliwie. – Co pokazuje łączące ich relacje. Zapraszam do salonu, kawa podana.

Na okrągłym stole stały wypełnione już filiżanki, dwie literatki z wodą, a obok dwa tygielki, w których zapewne parzyła kawę.

– U nas serwuje się ją ze słodyczami, ale niestety wyjadłam wszystkie domowe zapasy i ich nie uzupełniłam, żeby już mnie nie kusiły. – Zrobiła zabawną minę, ni to przepraszającą, ni to wyrażającą poczucie winy. – Proszę uważać na fusy, są muliste, na dnie.

– Mój tato pił taką kawę, za komuny, gdy mało kto miał ekspres – powiedział Wit, biorąc pierwszy łyk. Rzeczywiście była mocna. – Tyle że on zalewał ją wrzątkiem, a nie gotował. Pamiętam warkot elektrycznego młynka, zapach zmielonej kawy unoszący się w całym domu. Na koniec łyżeczką wyjadał z dna te fusy z cukrem. Kawa była na kartki, więc trzeba było wykorzystać ją do maksimum.

Uśmiechnęła się, ale nie skomentowała tego ani o nic nie spytała.

– Byłem w Helladzie – oznajmił.

– Aha. I jak tam pani Zosia? – ożywiła się nieco Laura.

– Mówiła, że zapewniała im pani zaopatrzenie w oryginalne greckie produkty. Ta kawa też stamtąd pochodzi?

– A nie, kupiłam ją tutaj, w specjalistycznym sklepiku w galerii przy dworcu. Nawet nie jest grecka.

– Zastanawiałem się, jak sprowadzała pani te produkty, skoro nie ma pani prawa jazdy. Chyba że zawsze ktoś panią ubezpieczał samochodem, jak w ostatnich latach Daniel Kasprzak.

– Nawet kiedy wybierałam się w towarzystwie do Grecji, wszyscy lecieliśmy samolotem. Mniejsze rzeczy, przyprawy, jakieś oliwki, udawało się zabrać na bagaż, a przy większych, alkoholach – improwizowałam. Zawsze jakoś znalazłam kogoś, kto włożył dwie, trzy skrzynki do bagażnika. A tirowiec nawet więcej.

– To dawne towarzystwo w wyprawach do Grecji to pani mąż? Właścicielka Hellady stwierdziła, że jest pani właściwie podwójną wdową. – Z fascynacją obserwował, jak te słowa pogłębiają bruzdy i cienie na już wcześniej zmęczonej i niewesołej twarzy Laury.

– Z Okońskim w ogóle nie jeździłam do Grecji, moja rodzina go nie akceptowała. To po pierwsze! Dwa – kiedy umarł, od dawna mieliśmy już rozwód. – Złość nie dodawała jej urody.

– Nie widywaliście się po rozwodzie?

– Nie, odchodzi się raz. Po rozwodzie pierwszy raz poszłam się z nim spotkać dopiero w dniu pogrzebu, ale trumna była zamknięta, więc go nie widziałam. Oszukać można też raz. Rozciągnęłam to na wszystkich facetów, żaden mnie nie nabierze, składając przysięgę.

– Dlatego nie wyszła pani za Kasprzaka?

– Tak, mimo że go kochałam i finansowo jest to dla mnie niekorzystne. Okoński wyleczył mnie z instytucji małżeństwa wcześniej i nieodwołalnie.

– Dlaczego mówi pani o nim po nazwisku?

– Bo nazwisko to jedyna dobra rzecz, jaka mi po nim została.

– Nazwisko Antas nie cieszy się popularnością, skoro także pani ojciec z niego zrezygnował i przyjął nazwisko żony.

– Ale to nie jest mój ojciec.

– Jak to?

– To drugi mąż mamy, też Polak. Nie wiem, czemu przyjął jej nazwisko, może mu z tym wygodniej. Nazywał się Krzysztof Starzak. A mój tato, Karol Antas, umarł, gdy miałam dziesięć lat. Na serce, tak jak Okoński i Kasprzak. Ludzie w moim kręgu padają jak muchy, niczym wokół Julii z *Szachownicy flamandzkiej* Péreza-Reverte.

3

Jagoda przeglądała książki umieszczone w serwisie czytaniejestfajne.pl, w dziale o rymowanym tytule „kryminał–akcja–thriller–sensacja”. Ustawiała je sobie według daty publikacji, poczynając od najstarszych, i dość szybko trafiła na giganta, o którym dotychczas nawet nie słyszała. Nie zdawała sobie sprawy, że King złożył mu hołd, nazywając bohatera *Mroczonej połowy* Richardem Starkiem. Był to bowiem jeden z pseudonimów podziwianego przezeń Donalda E. Westlake’a, którego Stephen spytał najpierw o pozwolenie.

Notka biograficzna w serwisie zamykała się w kilku liniach, znacznie więcej informacji znalazła w angielskojęzycznej Wikipedii. Westlake należał do nielicznych autorów, którzy otrzymali najbardziej prestiżową wśród twórców gatunku Nagrodę Edgara w aż trzech kategoriach: za powieść, scenariusz i opowiadanie. Napisał ponad sto różnego rodzaju utworów, a poza własnym nazwiskiem posługiwał się kilkunastoma pseudonimami.

– I tu dochodzimy do sedna – zamruczała pod nosem. Jako Alan Marshall pisał za młodu *soft porno*, ale używał też tej ksywy sześciu innym osobom, bez wiedzy wydawców, którzy „chcieli kupować to, co już znali”. A kiedy sprzymierzył się przy pisaniu

„świerszczyków” (pewnie obraziliby się za to określenie, bo jak się zarzekali w wywiadach, były to pełnowymiarowe powieści, z bohaterami, fabułami i konfliktami) z Lawrence’em Blockiem, zastosowali piętrowe maskowanie, gdyż książki ukazały się pod nazwiskami Alan Marshall i Sheldon Lord (pseudonim Blocka).

Westlake był naznaczony anonimowością, bo gdy już chciał się ujawnić, to mu się nie udało. Jego pierwsza nieerotyczna powieść ukazała się w czasopiśmie „Mystery Digest” pod nazwiskiem Rolfa Passera, asystenta redaktora magazynu, co było najprawdopodobniej pomyłką redakcyjną.

O! A tu już klasyczna spółka i to pod szyldem, o którym słyszała, choć nie przeczytała żadnego z kryminałów. Patrick Quentin był pseudonimem literackim czterech osób: Hugh Callinghama Wheelera, Richarda Wilsona Webba, Marthy Mott Kelly i Mary Louise White Aswell. Tyle że nie robili tego we czwórkę, bo najpierw Webb zaczął z Kelly i wymyślili ksywę Q. Patrick, a gdy Martha wyszła za mąż, zrezygnowała ze współpracy. Webb napisał więc dwie powieści wspólnie z Aswell, dziennikarką „Harper’s Bazaar”, aż wreszcie spiknęła się z Wheelerem. A na końcu pod tym pseudonimem pisał sam Wheeler, bo Webb miał kłopoty zdrowotne. Czyż to nie brzmi znajomo?

A, nie. Nie – zreflektowała się. Pod nazwiskiem Daniel Kasprzak nie da się publikować, skoro człowiek oficjalnie nie żyje. Chyba że gdzieś się odnajdzie.

Już po kilkunastu przykładach zrozumiała, że trzeba odróżnić zespół autorski, czyli ludzi, którzy faktycznie wspólnie coś tworzą; wymyślają, piszą, poprawiają, stale współpracują, od konglomeratu autorów – osobnych ludzi, piszących każdy na swoją rękę, zaś ich powstałe odrębnie dzieła wydawane są pod wspólnym pseudonimem. I tylko w tym drugim przypadku wspólnicy mogliby wyeliminować Kasprzaka, bo gdyby wnosił coś ważnego, to tak, jakby wycięli sobie żywotny organ.

Żeby nie znudzić się monotonią, teraz przejrzała kilkanaście podstron wśród książek najnowszych, ale znalazła znikomą liczbę syndykatów autorskich. Trochę więc poskakała po różnych miejscach, lecz to jeszcze bardziej ją spowolniło, bo jak pies truchtający poboczem ciągle natrafiała na coś, co ją zaciekawiało, więc zatrzymywała się, aby to obwąchać. Choćby biednego Nicholasa Revearo, który pracował w księgarniach, wydał pierwszy kryminał z planowanego cyklu i służył jako wolontariusz w policji nowojorskiej. Czyżby zbierał materiały do kolejnych powieści? Już ich nie napisze – mając dwadzieścia osiem lat, zginął z rąk szaleńca w Greenwich Village, gdzie mieszkał od dziecka. Nie miał nawet broni, bo wolontariuszom nie przysługuje.

Podstron w dziale było niemal pięćset, na każdej trzydzieści tytułów. Klikła we wszelkich nowych autorów, żeby sprawdzić, czy w notce biograficznej nie ma informacji, że to pseudonim kilku pisarzy. Część nazwisk wylatywała jej z pamięci, więc zdarzało się, że klikała po raz drugi w tych samych, pojawiających się przy innej książce.

Żmudna robota, a chaos jej nie ułatwiał. Serwis współredagowali czytelnicy, samodzielnie umieszczając w nim książki i nierzadko do działu „kryminał–akcja–thriller–sensacja” wpisywali tytuły niemające nic wspólnego z gatunkiem, a przede wszystkim – wydania obcojęzyczne, głównie po angielsku. Nie wiadomo po co. Żeby się pochwalić, że przeczytali w oryginale? To tylko zaśmieca i nadmuchuje katalog. Przecież tytuł i datę premiery oryginału trzeba wpisać także przy polskiej wersji. Co z kolei nie wszyscy robią.

Na domiar złego w licznych przypadkach brakowało notek biograficznych, a niektóre zostały przeklejone z obcojęzycznych Wikipedii po przepuszczeniu przez tłumacza, z czego rodziły się takie potworki:

Max Allan Collins (ur. 03 marca 1948) jest amerykańskim pisarzem, który został nazwany „Mystery człowiek renesansu”. Jest autorem powieści, scenariuszy, komiksów, opowiadań i historycznej fikcji. Napisał powieść graficzną Droga do zatracenia (która rozwinęła się w filmie w 2002), stworzył komiks prywatny detektyw Pani Drzewo. Pisał książki o rozbudowanie Dark Angel seria TV. Pisał również książki i komiksy na podstawie serii serialu CSI (...)

Trudniej przebić się przez podobny bełkot niż przez weekendową ciżbę na Grodzkiej. I to o kuli. No nic, powinna się zmobilizować, żeby pomóc panu komisarzowi. On w tej sprawie jest jakiś taki zagubiony.

4

Laura zwierzyła mu się, że jej ojciec przeszedł atak serca, kiedy byli sami w ich mieszkaniu w Salonikach. Wtedy jeszcze nie mieszkali z dziadkami. Nie umiała zadzwonić na pogotowie, pobiegła do sąsiadów, ci wezwali karetkę. Został odwieziony do szpitala, ale zawał był tak rozległy, że taty nie udało się już uratować. Resztę Nawrocki potrafił sobie wyobrazić. Młoda, wychowująca się bez ojca dziewczyna trafia do obcego, choć rodzinnego kraju, na studia, które wielu nastolatków początkowo mniej lub bardziej przerażają. Kiedy spotkała sporo starszego mężczyznę, w typie opiekuna, a jednocześnie mentora, uczyła się go i po niespełna roku byli już małżeństwem.

Opowiedział jej, że Doroz też najprawdopodobniej zmarł na serce, choć nie wiadomo, czy z przyczyn naturalnych. Nie ujawniał, że doszło do tego, kiedy była w szpitalu. Chciał sprawdzić, czy czymś się nie zdradzi, ale wyglądała na szczerze

przejętą. Nie widziała ochroniarza od tamtej feralnej nocy, a o jego śmierci dowiedziała się teraz.

– Słyszałem od Antoniaka, że *Smog* znakomicie się sprzedaje. – Nawrocki zmienił temat, żeby oderwać jej myśli od przeszłości. Zamiar jednak się nie powiodł.

– Kupują książki Daniela jak opętani, bo to teraz modne – syknęła. – Jakby je czytali wcześniej, to może jeszcze by żył.

– Chyba nie rozumiem związku – odparł komisarz.

– Jego organizm wytwarzałyby więcej endorfin, więc byłby zdrowszy. A na pewno mniej by się przejmował, mniej miałby stresów, co nie szkodziłoby mu na serce – wygłaszała te banały tonem szkolnej nauczycielki tłumaczącej dziecku podstawy fizjologii człowieka.

– Szkoda, że nikt nie uświadomił mu negatywnego wpływu kokainy na organy wewnętrzne. Wszyscy mamy różnorakie kłopoty, często poważniejsze niż niemożność osiągnięcia sukcesu, i od tego nie umieramy.

Spojrzała na komisarza uważnie. Podwinęła nogi i siedząc bokiem na sofie, całym ciałem była zwrócona ku niemu.

– Dodawało mu to emocji, a zagrożenia dla zdrowia nie widział. Ja zresztą też nie. – Wzruszyła ramionami, wskutek czego zafalowały jej piersi pod czarną tkaniną. Wcześniej Nawrocki nie zauważył, że nie założyła tego wieczoru stanika.

– Ludzie robią gorsze rzeczy – kontynuowała. – Słyszał pan o rybie fugu, która jest trująca? Kucharz przyrządza ją tak, żeby została minimalna ilość trucizny, powodująca tylko drętwienie języka lub warg. Większa dawka skutkuje uduszeniem. Ale czasami nie udaje się trafić, w wyniku czego średnio trzysta osób rocznie umiera. A mimo to następnii biorą się za jedzenie.

Wit odnosił w tym momencie pojęcie niebezpieczeństwa raczej do bliskości tej kobiety, która pociągała go tym mocniej, im mniej wyzywająco się zachowywała i wyglądała.

– O zgniłym serze na Sardynii, z larwami much powodującymi fermentację, przysparzającą mu aromatu, nie będę opowiadać szczegółowo, bo to zbyt obrzydliwe – Laura nie zbaczała z tematu. – W Korei podają *sannakji*: małe ośmiornice krojone na żywo i polewane olejem sezamowym. Na talerzu macki nadal się wiją, a włożone do ust przyklejają się do podniebienia. Jeśli przysawki przyczepią się do przełyku, mogą powodować uduszenie. Potrawa podawana jest wyłącznie na odpowiedzialność klienta. Co znaczy przy tym upodobanie Daniela?

– A pani jakie potrawy sprawiają przyjemność? – zadając to pytanie, poniewczasie uświadomił sobie, że ujawniało, wokół czego zapętłają się jego myśli.

– Dla mnie jedzenie generalnie jest przyjemnością fizyczną i psychiczną. Podobnie jak czytanie. Dlatego potęguję doznania, łącząc je, i zawsze czytam przy jedzeniu. No, poza restauracjami, ale też nie dlatego, że nie wypada w miejscu publicznym, lecz ze względu na towarzystwo, wobec którego byłoby to niegrzeczne. A jak to jest u pana?

– Czy czytam przy jedzeniu?

– Czy czytanie wywołuje u pana przyjemność psychiczną bądź fizyczną?

– Ostatnio doświadczenia mam skromne, ale z przeszłości pamiętam, jak czytałem tę powieść Juliusza Verne’a, gdzie kilka osób weszło do nieczynnego krateru.

– *Wyprawa do wnętrza ziemi*.

– Właśnie. Przeczytałem całość w ciągu popołudnia, robiło mi się zimno i gorąco, ciarki przebiegały mi po całym ciele, aż do momentu, kiedy erupcja wulkanu wypluła ich, leżących na tratwie, w zupełnie innym miejscu Europy. Siedziałem na amerykańce – to był taki tapczan, który się składało i za dnia służył jako fotel – jak najdalej od brzegu, aby nie zsunąć się w otchłań, z nogami podwiniętymi pod siebie, żeby mnie nie ugryzł jeden ze

spotykanych przez nich stworów. Mam nadzieję, że to dokładna odpowiedź na pani pytanie.

To pozycja, jaką przyjęła podczas rozmowy, przypomniała mu tamte chwile sprzed trzydziestu lat.

– Brzmi jak historia z profilu „Nie czytasz, nie idę z tobą do łóżka”.

– Jest taki profil? – Wit obawiał się, że jego uśmiech jest kurczowy i nienaturalny.

– Na Facebooku. „Kampania społeczna z czytelnicyzmem erotyzmem w tle”. – Zakreśliła czterema palcami w powietrzu znak cudzysłowu, znowu wprawiając biust w lekki taniec.

Zdjęła nogi z sofy, bose stopy oparła na dywaniku.

– Pan jest samotny, prawda?

– Po czym to się poznaje?

– Po oczach. Po takim specyficznym wyglądniawym spojrzeniu.

– Nie nazwałbym się samotnym. Mam ludzi wokół siebie, także bliskich. Po prostu w lipcu skończył się mój związek. Ona go przerwała.

– Trzy miesiące to bardzo długo. Ja już po dziewięciu dniach czuję się opuszczona.

Wstała i podeszła do niego.

– Pocieszymy się nawzajem – powiedziała.

Chwyciła oburącz brzeg sukienki i zdjęła ją przez głowę, odsłaniając najpierw białe majteczki, a potem piersi wielkości odwróconych filiżanek, w jakich w kawiarniach podają cappuccino. Usiadła nad nim, opierając się kolanami na szerokich poręczach fotela, a jej włosy spadły mu na twarz.

Minęła już północ, kiedy Jagoda zreflektowała się, że nie tylko nie przygotowuje dzisiaj dossier dla komisarza, ale nawet nie zdoła się zabrać do metodycznej pracy. Pochłonęły ją pseudonimy. Wszystko zaczęło się od Stefana Kisielewskiego, który akurat pod własnym nazwiskiem opublikował *Morderstwo w dzielnicy północnej*. A później natrafiła na liczne peerelowskie kryminały napisane przez ludzi, o których w zupełnie innym kontekście uczyła się na historii i języku polskim, o których czytała. Krzysztof Teodor Toeplitz jako Krzysztof Deuter: *Dziwiątę ramię ośmiornicy*. Janina Iphorska jako Alojzy Kaczanowski: *Rozkoszne przedpołudnie* (ale ona występowanie pod pseudonimem miała we krwi, wszak w *Przekroju* prowadziła słynny poradnik savoir-vivre'u jako Jan Kamyczek). Wiesław Górnicki jako Robert F. Stratton: *Czas nietoperza*. Marcin Król jako Felix King: *Kampania*. Andrzej Szczypiorski jako Maurice S. Andrews: *Dymisja nadinspektora Willburna* i *Zagadka w Punham*. Antoni Armand to Kazimierz Koźniewski, Umberto Pesco to Ireneusz Ireduński. Teatrológ Andrzej Hausbrandt jako Lena Toster napisał kryminał rozgrywający się w teatrze: *Krzesełka lorda Blotton*.

Forum MO-rd, poświęcone kryminałom milicyjnym, przygaśło w ostatnich latach, ale w przeszłości przetoczyła się przez nie wielka dyskusja, jakie książki z tego gatunku wydał Jacek Kuroń. Legendarny opozycjonista, a później minister wyjawiał kiedyś, że napisał je dla pieniędzy, a pseudonim udostępnił mu jeden z kolegów, którego nazwiska jednak nie zdradzi, żeby nie narażać go na represje. Niestety, nie zrobił tego także później, gdy już nic nikomu nie groziło. Na forum pojawiały się analizy, kim mógł być dawca pseudonimu, rozmaite teorie, popierane świadectwami dobrze poinformowanych, iż kryminalne próby Kuronia były po prostu słabe i dlatego nie chciał się do nich przyznać, a nawet – że ostatecznie nie ukazały się drukiem.

Wieczorem musiała przewalczyć mamę, usiłującą zagonić ją do spania po uprzednim nakarmieniu kolacją, w zamian stylowo, jak piwo, pociągała sok pomidorowy ze smukłej szklanej butelki 0,75.

Nie sposób było dzisiaj wnikać w dawne motywacje, ale jak ktoś nazywał się Wojciech Sadrakula, to pseudonim – Albert Wojt – wydawał się rozsądnym rozwiązaniem. Podobnie jak George Smeaton dla Ryszarda Botwiny. Polscy autorzy w peerelu nierzadko przybierali obco brzmiące, najchętniej angielskie pseudonimy, zwłaszcza do kryminałów rozgrywających się na Zachodzie.

Kobiety występowały jako mężczyźni. I to nie tylko u nas. Jagoda bez guglania przypomniała sobie czytane dwukrotnie, przepyszne *Róże pani Cherington*, taką Małgorzatę Musierowicz w kryminalnym sosie. Autorka, Georgiana Ann Randolph, pisała jako Craig Rice, ale w polskim wydaniu *Róż* zdradziła ją dedykacja dla własnych dzieci, które były pierwowzorami bohaterów („gdybym ich nie znała, nie wpadłabym na pomysł tej historii” – co po angielsku nie ujawniało płci piszącego).

W sumie to dziwne, że kobiety ukrywały się wtedy za męskimi nazwiskami. Przecież drogę przetarły znane i cenione autorki, z Agathą Christie na czele. Pisarstwo nie było też uważane za zajęcie, które nie przystoi damie. Może chodziło o wiarygodność?

Obecnie na odwrót – jest sporo facetów lansujących żeńskie bohaterki i chyba bardziej opłacałoby im się występować pod adekwatnym pseudonimem. Twórczość kobiety zostałaby uznana za bardziej autentyczną, zachichotała w duchu Jagoda.

O, tutaj jest facet, Mohammed Moulessehoul, który podszywał się pod płć przeciwną, ale kierowały nim poważniejsze powody. Przyjął imiona żony – Yasmina Khadra – aby oszukać algierską cenzurę. Jeśli ktoś natomiast w przeszłości był szpiegiem, agentem FBI, policjantem – jak Noah Boyd (Paul Lindsay) albo Sean Slater

(Sean Somerville) – to wiadomo, że alias jest korzystny dla zdrowia, a przynajmniej ze względów higienicznych.

Z kolei Jakob Michelsen, mając za ojca znanego dramaturga Hansa Güntera Michelsena, przyjął miano Arjomi. Co niezłe skomponowało się z nazwiskiem stworzonego przezeń bohatera, Kemala Kayankayiego – detektywa tureckiego pochodzenia.

Znalazła kilka kobiet żonglujących ksywami w zależności od gatunku. Najzabawniejsza była Jayne Castle, która historie najmniej prawdopodobne – futurystyczne i o zjawiskach paranormalnych – snuła pod własnym nazwiskiem, natomiast jako Jayne Ann Krentz – romanse i thrillery, a jako Amanda Quick – romanse historyczne. Australijka Jennifer Rowe pod swoim nazwiskiem wydawała książki dla dorosłych (jakimi są wszak kryminały), a pod pseudonimami – Emily Rodda i Mary-Anne Dickinson – powieści fantastyczne dla młodzieży.

Mistrz Alfred Szklarski, tata jej ukochanego Tomka Wilimowskiego, był bardzo przywiązany do swojego imienia, które pozostawiał, zmieniając nazwisko na Baranowski (powieści sensacyjne) lub Murański (powieści erotyczne i przygodowe dla młodzieży).

Byli tacy, którzy najwyraźniej uważali, że im to nie uchodzi. Na przykład John Bainville, znakomity irlandzki dziennikarz i pisarz, zdobywca Nagrody Bookera oraz Nagrody Franza Kafki. Na okładkach swoich kryminałów występował już jako Benjamin Black. Zaraz, zaraz, co my tu mamy!?! Napisał kontynuację *Długiego pożegnania* Chandlera! Jagoda w serwisie przypięła do *Czarnookiej blondynki* znacznik „będzie czytane”, żeby nie zapomnieć. Opatrzyła nim również książki człowieka, który najwyraźniej w ogóle się nie wstydził. Stephen L. Carter jest profesorem prawa na Yale, autorem rozpraw filozoficznych, uznają go za czołowego intelektualistę USA, w 1994 roku został wybrany przez tygodnik „Time” do grona pięćdziesięciu liderów

nowego tysiąclecia, wszędzie aż buzuje od nobliwości i prestiżu, a on w weekendy wystukał sobie na komputerze trzy kryminały.

O, w tym przypadku jest odwrotnie. Nikodem Jaworski wydał trzy sportowe kryminały pod własnym nazwiskiem, musi być obeznany w temacie, bo para się marketingiem sportowym. Tyle że to robi pod pseudonimem...

Opamiętanie przyszło wraz z przydomkiem autoironicznym – Ellery Queen. Był to jednocześnie pseudonim autorów kryminałów oraz imię ich bohatera: pisarza i detektywa. Książki tworzyli dwaj kuzyni, Frederic Dannay i Manfred B. Lee, dzieląc się tak zadaniami, że jeden wymyślał intrygi i dialogi, a drugi pisał. Szkoda, że kontestowały ich polskie wydawnictwa, które po wojnie wypuściły tylko jeden tytuł (*Przeklęte miasto* – następna pozycja w bardzo wzbogaconym tej nocy zbiorze „będzie czytane”), bo nowojorski duet przez czterdzieści dwa lata spłodził ponad sto powieści i opowiadań, za co otrzymał siedem Nagród Edgara i specjalną nagrodę Grand Master!

Za późno już jednak było na powrót do pierwotnego celu kwerendy. Za to dokonując utrudnianych sztywnością mięśni ablucji, łykając baklofen i moszcząc się w pościeli, zabawiła się kojarzeniem polskich pisarzy w tandemy działające na tamtej zasadzie, co pozwoliłoby im uwypuklić zalety, a ukryć wady: jeden z bogatą wyobraźnią, lecz kiepsko piszący, drugi dobry technicznie, ale konstruujący banalne fabuły.

6

Wit leżał na boku, niespieszne gładząc dłonią biodro Laury. W uszach jeszcze pulsowała mu seria pięciu krótkich,

spazmatycznych „a!”, które niedawno wykrzyczała. Przez niedosunięte zasłony przesączał się nocny, uliczny blask, przecinający jej prawe udo, łono i brzuch, lewą pierś i ramię, zanim rozplynął się na poduszce. Nie dostrzegł u niej żadnych, tak popularnych współcześnie, tatuaży, za to ciało, jak gwiazdy niebo, obsypany pieprzyki. Widoczne w pasie światła pod biustem układały się w konstelację Lwa, którą pamiętał ze szkoły, bo kojarzyła mu się z żelazkiem, tyle że z rączką wygiętą do tyłu, a nie do przodu.

Rozleniwieniem, także intelektualnym, tłumaczył później zbagatelizowanie jej pierwszych słów po seksie:

– Nie wiem, czy życie naśladuje sztukę, czy sztuka życie, ale w niedzielę obejrzałam na Kulturze film sprzed jakichś pięćdziesięciu lat, przypominający moją historię. – Laura przeciągnęła się na prześcieradle, sięgnęła po cienką kołdrę i przykryła ich oboje. – *Szarada* z Audrey Hepburn i Carym Grantem. Bohaterka była na wczasach w górach, zwierzyła się przyjaciółce, że zamierza się rozwieść z mężem. Kiedy wróciła do Paryża, zastała puste mieszkanie i wiadomość, że jej mąż został zamordowany, ale po nim ani śladu. No i dowiedziała się, że był zamieszany w jakieś machloje.

– Ty też chciałaś odejść od Kasprzaka czy dowiedziałaś się o nim czegoś negatywnego? – Wit spytał tak wolno, jak myślał.

– Ani jedno, ani drugie, nie mówię, że film był dosłownie podobny, po prostu mąż zniknął. – Pokręciła głową, aż jeden z kosmyków pacnął go po policzku. – Powiedz, kiedy ostatnio byłeś na wakacjach?

– Bo ja wiem? Mam co jakiś czas krótkie urlopy, pojedyncze wolne dni. Najchętniej spędzam je na działce. To mnie relaksuje.

– Mówię o prawdziwych wakacjach; wyjeździe gdzieś daleko od domu, zmianie otoczenia i klimatu.

– Na takich nie byłem już dawno.

– A może miałbyś ochotę wybrać się do Grecji? Tam jest inaczej niż tutaj, słońce jakby ładowało cię energią. Zwłaszcza do seksu. O ile, oczywiście, nie jest za gorąco czy duszno, ale nad morzem nie można się na to uskarżać.

Zanim zdążył odpowiedzieć, nasunęła się na niego, poczuł jej pierś na swoim torsie i dłoń zsuwającą się do podbrzusza.

Żałowałem, że nie mam kamery, którą mógłbym wczoraj nagrać krótki film. Inna rzecz, że tamten występ Ryska długo miałem przed oczami i dusiłem się ze śmiechu na każde wspomnienie.

Zasuwaliśmy po swojemu przez pola, kiedy dróżkę kilkadziesiąt metrów przed nami przecięły, skacząc, dwie młode, spłoszone sarny. Rico stanął pionowo na tylnych łapach, przednie wyprostował i kicał w miejscu jak kangur. Mocno trzymałem smycz, ale on nawet nie zrywał się do pogoni, był po prostu nieprzytomnie podniecony widokiem jeszcze ruchliwszych od niego zwierzątek, z którymi można byłoby tak świetnie się bawić.

Za to jego pan, chcąc nie chcąc, socjalizował się coraz bardziej. Niemal co dzień toczyłem rozmowy z sąsiadami i znajomymi „z widzenia” – o obyczajach ulubieńców, porach siusiania, pożywieniu, szczepieniach, zabezpieczeniu przed kleszczami. Jeszcze sympatyczniejsze były przygodne spotkania z obcymi ludźmi, kiedy oboje odsuwaliliśmy się na krańce dróżki i ściągaliśmy smycze swych psiaków, a mijając, pozdrawialiśmy się z uśmiechem.

Dzisiaj w wyposażonym w lodówkę firmowym pokoiku, gdzie można było zaparzyć kawę lub herbatę, a nawet wypić ją przy stoliku, zastałem asystentkę szefa, Kamilę, przeglądającą czasopismo.

– Chwila relaksu? – rzuciłem uprzejmie.

– Tak jakby. Mówili: „Rób to, co kochasz, a pieniądze przyjdą same”. No to zjadłam czekoladę, czytam magazyn o modzie i czekam. – Dwudziestoparoletnia dziewczyna, u której wszystkie barwy były wyraziste: jaskrawoczerwone szminka i lakier do paznokci, czarne włosy, brązowe, błyszczące oczy, zrobiła szelmowską minę. Gdy wybuchnąłem śmiechem, spytała:

– A ty za co chciałbyś dostawać pieniądze, gdybyś nie miał przyjemności zarabiania ich tutaj?

– Za wprowadzanie psa – odpowiedziałem odruchowo.

Zwierzyła mi się, że przez całe niemal dzieciństwo i nastoletnią młodość miała labradora, który zdechł ze starości. Uznała, że drugi raz nie wytrzyma tak wielkiej rozpaczy, i nie zdecydowała się na następnego czworonoga.

– Ale ciągle je kocham. „W razie Wu”, gdyby wysyłali cię gdzieś z firmy i nie miałbyś go z kim zostawić, mów śmiało. Mogę się nim zaopiekować nawet przez kilka dni. – Towarzyszył temu wieloznaczny uśmiezek, a „nim” i „zaopiekować” zaakcentowała. Pani Maria, główna księgowa, nazywała ją zgryźliwie „naczelną kokietereczką korporacji”, a na jednej z imprez integracyjnych podpita Weronika przeciągnęła kiedyś przez zęby: „taaa sssuka”.

Przyszedł moment, dwa lata temu, kiedy zacząłem się zastanawiać, czy Marzena nie zachowuje się podobnie w firmie deweloperskiej, gdzie pracowała w dziale inwestycji zagranicznych. W każdym razie ubierała się tak samo: spódniczki bądź sukienki mini, zawsze wysokie obcasy lub koturny, chyba że zakładała akurat buty za kolana. Po wszczęciu implantów – bardzo obcisłe bluzki albo sweterki.

Zawsze była dla mnie tajemnicą. Uśmiech miała miły, ale nigdy nie śmiała się głośno i spontanicznie. Gdy coś ją rozbawiło, wydawała stłumione parsknięcia. Sprawiała wrażenie, jakby cały czas analizowała, kalkulowała. Wpatrywała się we mnie z zainteresowaniem i oddaniem, a po chwili, znienacka, pojawiał się na jej twarzy zacięty wyraz jędzuni. Śliczna buzia potrafiła się przemienić w młodzieńczą, nieładną, znudzoną, rozpromienioną, a nawet w zapis rozczarowań kobiety zbliżającej się do wieku średniego. I to wszystko tego samego dnia. Nazywałem ją swoim kameleonem – jedynym, którego chce się pogłaskać i potrzymać za łapkę.

ROZDZIAŁ 8

1

W październiku mało padało, więc łąka była sucha i twarda. Zwłaszcza ta darni po wierzchu, ale kiedy już się ją wycięło i oderwało od podłoża, to pod spodem ziemia była dużo miększa. Tylko znów... Mrówki i dżdżownice dało się strawić, nawet jeśli zdarzyło się jakąś przeciąć i obie części wiły się chwilę niezależnie od siebie, ale co jakiś czas natrafiałeś łopata na białe larwy zwinięte w kłębek, z czymś takim żółtopomarańczowym na końcu. Błeee.

Nie, to nie łopata, tylko szpadel, jak ich pouczono rano przy wydawaniu nowiutkich narzędzi, aż błyszczących. A jeden starszy pan stwierdził, że dawniej mówiło się – rydel.

Rydel Nikodema już nie błyszczał, zarobił też parę rys na kamieniach czy kawałkach rudy, a w jednym miejscu nawet się wyszczerbił. Rano wytłumaczyli, że trzeba wykopać kwadratowy dołek o boku kilkudziesięciu centymetrów i mniej więcej na tyle głęboki. Przy wkładaniu drzewek do dołków musiała pomóc druga osoba, ale w tej kwestii Nikodem miał już plan. Za nim, w półorametrowych odstępach został rząd ośmiu gotowych dołków. Rano, kiedy zaczynali, był luz, tylko dorośli się starali, ale potem pogonili ich do roboty, bo prezydent Majchrowski miał przyjechać. Sadzili las dla pani Tokarczuk, za to, że dostała Nobla.

Kiedy przyznano jej nagrodę, mama kupiła sobie powieść *Prawiek i inne czasy*. Właśnie tak miał się nazywać ten las, Prawiek, a książka do dzisiaj czekała na lepsze czasy na stoliku przy łóżku w sypialni rodziców.

Nikodem poszukał wzrokiem Zuzki i podszedł do stanowiska sadzonek, w pobliżu którego ją zobaczył. Od pana opiekującego się drzewkami wyfasował osiem sztuk i poprosił ją o pomoc. Przy przysypywaniu ktoś musiał trzymać drzewko, żeby nie ułożyło się krzywo, i poruszać nim lekko, by ziemia osypywała się między korzenie.

– Szacun, Niko, chyba żaden z chłopaków nie wykopał tyle – powiedziała ruda dziewczyna o zielonych oczach, która przyszła do ich szkoły dopiero dwa lata temu, w piątej klasie, i spodobała mu się od pierwszego dnia. Wtedy była nawet wyższa od niego, ale teraz już dorównywał jej wzrostem, co korzystnie wpłynęło na jego odwagę, więc co raz próbował ją zagadywać.

– Oni nie są tak wytrwali i cierpliwi jak ja – odparł.

– A wiesz, że tych drzew jest dwadzieścia pięć tysięcy? Można się załamać, jak ten koń w dowcipie, co się powiesił, bo gospodarz dokupił pola – powiedziała ze śmiechem. To była cała ona, zawsze miała zaciesz, a nawet jeśli nie wszystkie żarty były *à propos*, to ślicznie się śmiała.

– Co zrobisz, jak nic nie zrobisz. Lepiej byłoby pozwiedzać oczyszczalnię. – Las sadzili na Kujawach, prawie na wysokości pętli tramwajowej w Pleszowie i jeszcze kawał w bok. Nikodem najdalej był na wycieczce w spalarni śmieci, tu zaś nigdy nie dotarł. Niedaleko mieli składowisko odpadów z huty, oczyszczalnię ścieków, a z autobusu, który ich tu przywiózł, widział rury, ciągnące się wzdłuż drogi, w powietrzu, między drzewami. Ciekawe, co to takiego, może tata będzie wiedział.

– Pewka. Co dostałeś z histy? – Jeszcze jedną cechą Zuzy były gwałtowne zmiany tematu.

– Jestem *number one*... – W ubiegłym tygodniu pisali niespodziewankę z Wiosny Ludów, Nikodem dostał porównanie celów wystąpień powstańczych w różnych krajach i kompletnie go wciąło. A facet od histy był prawdziwym kilerem, cisnął ich, jak nie wiem, i jeszcze smędził, że jak się nie nauczą o przeszłości, to będą skazani na jej powtórzenie. Z drugiej strony rodzice mu truli, że siódma klasa to już pora, żeby się określić i zmobilizować, bo niedługo trzeba będzie wybierać szkołę średnią i drogę życiową. Będą sapać, gdy zobaczą jedynekę. Nie rozumieją, że Nikodem się określił; przedmioty ściśle szły mu bardzo dobrze, tylko nie chcieli mu się za dużo czytać, a zwłaszcza uczyć na pamięć.

– Biedaku. – Poklepała go po ramieniu. – Mogę ci pomóc, jeśli chcesz. To wszystko lepiej wchodzi, jak się powtarza z kimś na spokojnie. Nawet daty.

Może ta ajfa nie była takim przypałem. Nikodem aż się wyprostował. Nie musiał pytać, co dostała Zuza, ona miała same dobre oceny.

– Ty ze wszystkiego jesteś zarąbista – wyrwało mu się i aż spiekł raka.

– Tak to z nami jest. Znasz to? „Dlaczego Bóg najpierw stworzył mężczyznę? Bo musiał zaczynać od zera. A dlaczego poprzestał na stworzeniu kobiety? Bo ideału nie da się poprawić”.

Akurat skończyli zasypywać ostatnie drzewo i Zuzka stłeniła się, mówiąc, że idzie pogadać z kumpelami z podstawówki, do której chodziła wcześniej.

Nikodem zaraz po przyjeździe zauważył po lewej, na drugiej stronie łąki, tę wieżę dla myśliwych, która nazywa się jakoś tak jak w kościele. Właśnie – ambona! Może będą łuski z pocisków. Chociaż kule ze strzelb myśliwskich chyba nie mają łusek.

Długo się powstrzymywał, ale kiedy w końcu przyjechał prezydent, większość opiekunów – a zwłaszcza Babcia Kwas, ich wychowawczyni, ucząca też chemii – tylko na niego zwracała

uwagę. Urwał się i ruszył skrajem już obsadzonego terenu w kierunku ambony. Swędziało mnie, więc musiałam się podrapać, jak mawiała mama, gdy tata miał do niej pretensje, że znowu kupiła coś niepotrzebnego. To znaczyło, że miała na coś taką ochotę, że przezwyńczyć ją mogła, tylko jej ulegając.

Gdy się znalazł w starym zagajniku, był już spokojny, że nikt go nie zauważy, sam natomiast dostrzegł, że kilkaset metrów dalej, na wprost, jest jeszcze jedna ambona. Do niej jednak już pewnie dzisiaj nie dotrze, za to do najbliższej miał sześć kroków. Przeszedł dnem suchego rowu, a drabina z półokrągłych desek zaprowadziła go na obudowaną platformę. Otworzył drzwiczki, w środku ktoś siedział, niczym na kiblu. Skojarzenie narzucił mu panujący wewnątrz smród. Ten człowiek miał zarzuconą na twarz jakąś szmatę, a Nikodem niewiele myśląc, zerwał ją i niemal wypadł z ambony, bo cofnął się ze strachu na widok pomarszczonej, ciastowatej płaszczyzny, jak u bohatera oglądanego w ubiegłym roku filmu *Slender Man*.

2

Mateusz Powskiński

Właśnie skończyłem „Smog” i jestem totalnie wstrząśnięty. Nie było chwili odpoczynku od emocji, popadałem w krańcowe nastroje od wesołości po rozpacz.

Dla mnie ta książka jest bezapelacyjnym numerem jeden.

Panie Danielu strasznie dziękuję za cudowną powieść i ten piękny spędzony przy niej czas.

Anna Krupa

Jak raz otworzyłam książkę, to zamknąć nie mogłam. No nie dają rady – jest w niej taki klimat, jaki uwielbiam.

Bo Robo

Anna Krupa Dla mnie petarda.

Halina MORawiec

Już dawno żadna książka tak na mnie nie podziałała. Nie mogłam się oderwać, choć obowiązki wzywały. Poplątana akcja, super narracja, ciekawi bohaterowie

Panie Danielu, jeśli tutaj jesteś, odpowiedz proszę, kiedy następną część?


Ciotka Klotka

Również polecam, jestem pod wielkim urokiem tej książki. Zapomniałam przy niej o całym świecie i innych ludziach. Cudownie byłoby gdyby była kontynuacja.

Henryk Kawalec

Drogi Autorze, kłaniam się nisko i czekam na więcej

Baba Jaga

Halina MORawiec Ludzie, ogarnijcie się, Autor nie żyje. Nie czyta Was ani nic już nie napisze... ? 

PaPaPaPaweł

Zgadzam się ze wszystkimi opiniami, już nie pamiętam, kiedy jakaś książka zrobiła na mnie takie wrażenie.

Gaba Roskowska

PaPaPaPaweł Mnie też pochłonęła... ciągle miałam jakieś schizy, inaczej patrzę teraz na zanieczyszczenie powietrza :)

Ola Potoczek

A ja właśnie zastanawiałam się czy kupić...

Elżbieta Rejman

Własnie skonczyłam. Ekstra!

Mirek Masłosz

Licznik na e-booku pokazuje, że zostało mi jeszcze 12 procent, żałuję, że już koniec widać

Katarzyna Pelc

Mirek Masłosz jedyne rozwiązanie to czytać wolniej ;)

Mirek Masłosz

Katarzyna Pelc mam inne rozwiązanie – skończę i zacznę od nowa ;)

Katarzyna Pelc


Mirek Masłosz Super pomysł! Za tę cenę zakup książki już się zwrócił, a teraz jeszcze wyjdzie dwa razy taniej ;p

* * *

Joanna Dombrowska

Kochani kochani Smog Kasprzaka sie kłania

Artur Wilk

Czytam już kilka dni, bo odmierzam sobie dawki. Lektura świetna i szkoda by było przeczytać „od kopa”. petarda 

Kaśka Surowiec

Właśnie skończyłam. Nie wiem, czy coś jeszcze mnie zachwyci po „Smogu”


PaPaPaPaweł

„Smog” jak dla mnie to książka roku!!

Ciotka Klotka

Który to już mój post... PETARDA ROKU 2019!!!

Bo Robo

Książka rozwala system 

Marysia Jaworska

Nie czytałam ale mam na liście bo recenzje są świetne

Jacek Placek

Wszyscy polecają. Naprawdę to takie dobre?



Gaba Roskowska

***Jacek Placek** dobre jak pomidorowa z makaronem kolanka
Smakujcie tym bardziej że to już ostatnie danie od Pana Kasprzaka...*



Elżbieta Rejman

***Jacek Placek** tak, naprawdę, wciągające od pierwszej strony,
hipnotyzujące i wywołujące dreszcze. Już jestem fanką Pana Daniela*

Jacek Placek

Elżbieta Rejman kupuje przekonałaś mnie dziękuję



Grzesiek Kotowicz

Jestem w trakcie – rewelacja



Ania z Zielonego Wzgórza

***Jacek Placek** Też miałam takie skrupuły, a okazało się, że jest
rewelacja. Czekam na kolejne książki od Pana Kasprzaka – biorę
w ciemno.*

Mateusz Powskiński

Ta książka to Hit Roku 2019!!!! PRZEBÓJ!!!

Patrycja Hanus

*Czekam na odbiór w MultiMedium, bo na półkach nie mieli i trzeba było
zamówić. Już nie mogę się doczekać czytając te komentarze.*

Księżniczka Inez

Właśnie skończyłam Smog, jeszcze nie doszłam do siebie. Z zasady nie czytuję polskich kryminałów, ale Daniel Kasprzak stał się od razu moim ulubieńcem. Zaraz zabieram się za wcześniejsze części

Grzesiek Kotowicz

Księżniczka Inez To jedna z tych książek, które chciałyby się, żeby nigdy się nie skończyły 🖐

* * *

Patrycja Hanus

Muszę bo się udusze :) Dopiero co zaczęłam, a już skończyłam czytać. Petarda, siedziałam jak zahipnotyzowana i nie mogłam się oderwać

Marysia Jaworska

Niestety, nie mogę cały czas czytać, bo obowiązki czekają, ale też nie mogę przestać o niej myśleć. Z żadną książką dotąd tak nie miałam.

Ania z Zielonego Wzgórza

Polecam jak żadną inną, ale w głowie mam tylko wykrzykniki.

!!!

Trudno to słowami uzasadnić.

Bo Robo

Ania z Zielonego Wzgórza Powiedziałbym krótko, jak to ktoś powiedział o pewnym koncercie rockowym – fascynacja, trwoga i ekstaza!

Gaba Roskowska

Bo Robo I jeszcze jedno słowo - Alleluja!

Ciotka Klotka

Ania z Zielonego Wzgórza A ja mam nawet motylki w brzuchu 😊

* * *

Kaśka Surowiec

Wszyscy polecają i ja też polecam. Piszcie co myślicie

Bartek Hodur

Czekam na przesyłkę

Kaśka Surowiec

Bartek Hodur Ojoj, to sobie znajdź wygodny fotel i ciepły kąt do czytania, bo się już stamtąd nie ruszysz.

Anna Krupa

Już wcześniej pisałam książka petarda nieodkładalna

Księżniczka Inez

Wspaniała jest, można czytać całą noc

Ola Potoczek

Genialna! Właśnie skończona

Beata Cywicka

ja zaczęłam

Księżniczka Inez

Beata Cywicka Aż Ci zazdroszczę, chciałabym być znowu przed :)

Bo Robo

Re-we-la-cja. Jeszcze zbieram szczękę z podłogi.

Halina MOrawiec

Daję ją do TOP 10 z wszystkich, które czytałam, a czytałam chyba z tysiąc książek 😊

Toomek Młotkowski

Anna Krupa Po Twojej opinii zapisuję na początek listy 😊

PaPaPaPaweł

Odjechana, ale przez to tym lepsza.

Ala Pilch

Gośka Surma *chyba musimy kupić?*



Gośka Surma

Ala Pilch Absolutnie!

PatrycjaHanus

Nikt mnie teraz na mgłę nie wygoni. Co tu robić – listopad się zbliża? ;(

Ania z Zielonego Wzgórza

Najlepsza jaką czytałam w 2019! Panie Danielu Kasprzak jest pan prawdziwym artystą!

Mirek Masłosz

PatrycjaHanus Mnie tez zryła psyche

* * *

Toomek Młotkowski

Za cztery dni moje urodziny, ale żona zrobiła mi niespodziankę już dzisiaj, przed weekendem. Prezenty się rozpakowuje, więc od razu zabrałem się za czytanie. Dziękuję słońce :)

Anna Rak

To jedyne chwile, kiedy żałuję, że jestem panną



Bo Robo

Toomek Młotkowski Uszanowania dla małżonki :p

Toomek Młotkowski

Książka petarda. Właśnie skończyłem i będę to mówił każdemu. Nie wiem, jak Ci dziękować kochanie. I strasznie żałuję, że to już ostateczny koniec serii i twórczości p. Daniela 😞

Księżniczka Inez

To jest to na co warto było czekać czytając przeciętne kryminały

Ala Pilch

Z rana doszła 😊 *to będzie petarda*

Sylwia Kanicka

Słyszę o „Smogu” same superlatywy i choć zwykle nie kupuję książek, tylko wypożyczam, ale chyba tym razem fundnę sobie prezent. 🤔

Marysia Jaworska

Właśnie skończyłam, szok 🙌 *Petarda* 😊 😊 *Jak dla mnie hit roku*

Natalia P.

Marysia Jaworska ja też muszę ją mieć!?!? 😊 😊

Marysia Jaworska

Natalia P. To będą Twoje najlepiej wydane pieniądze tej jesieni 😊 😊

Gośka Surma

Marysia Jaworska Zamówiłam i czekam 😊

Natalia P.

Marysia Jaworska Przesyłka w drodze...

Ala Pilch

Dopiero zaczęłam czytać, ale już widzę, że w Waszych opiniach nie było krztyny przesady. Niesamowita pozycja.

Jędrzek Kozyra

Po tych wszystkich ochach i achach aż boję się do niej zajrzeć ?




Ola Potoczek

Jędrzek Kozyra Nie lękaj się ;) Będziesz usatysfakcjonowany :)

Anna Rak

Ała Pilch Jejkę, przesuвам na początek kolejki.

Bartek Hodur

Elegancka książka 

Halina MORawiec

Jak dla mnie książka roku

Anna Rak

Halina MORawiec Nie mogę doczekać się przeczytania muszę zamówić

Marysia Jaworska

Anna Rak Nieodkładalna książka. Zasnęłam przez nią na zajęcia z controllingu. Teraz wypadałoby poprosić Autora o napisanie usprawiedliwienia ;p

* * *

Przemek Stec

Musze ta książka w końcu nabyć bo wasze zachwyty są dla niej najlepsza rekomendacja :)

Andzia Grandzia

Monika Lisicka ...dopisujemy??



Monika Lisicka

Andzia Grandzia Oczywiście i to na górze listy :)

Natalia P.

Szanowni... po furrorze jaką robi Smog D.Kasprzaka (petarda!) chciałam sięgnąć po jego wcześniejsze części. Jakies opinie????

Andzia Grandzia

Natalia P. Nie czytałam jeszcze nic. Ale chciałam dziś kupić „Smog” to nie było w żadnej księgarni w mieście

Mateusz Powskiński

Andzia Grandzia proszę poszukać. Trud się optaci;)

Gaba Roskowska

Natalia P. Polecam! Inne epoki ale rewelacyjne! Szkoda że autor już nic więcej nie napisze



Karolina Paluch

Przemek Stec hmm też chyba muszę po nią sięgnąć bo faktycznie ostatnio często się pojawia w postach

Andzia Grandzia

Mateusz Powskiński Już mam i jestem po trzech rozdziałach:) petarda!

Przemek Stec

Andzia Grandzia Jestem w połowie i jest taka jak wszyscy obiecywali



Ciotka Klotka

Andzia Grandzia Ja się nie mogłam oderwać, nie było świata poza nią



Tadeusz Tadrała

„Smog” przeszedł już do lamusa. Czytałem całą noc, ale cóż to jest w obliczu wieczności. Nie obracając się na innych grupowiczów chcę napisać co mi w duszy gra. Z wszystkich pozycji Daniel Kasprzaka ta („Smog” – przyp. TT) jawi się jako najdoskonalsze dzieło z wszystkich jego dzieł. Mieszkańcy podwawelskiego grodu mogą być dumni, że Autor znalazł się na panteonie sław Krakowa. Także czytelnicy nie kryją powodów do radości, a choćby na naszej grupie widać, że jest ich jak na lekarstwo.

Autor niejednokrotnie bywał pytany, co aktualnie ma na warsztacie, przyznawał jednak, że nie może zdradzić tej informacji, informując, że woli pisać w domowym zaciszu. Pan Kasprzak, który zawsze cenił sobie ambitne cele, wrzucił przysłowiowy trzeci bieg i wreszcie ukazała się książka. Zachwyliła ona (książka – przyp. TT) wszystkich, bo jej poziom stoi na najwyższym poziomie. Jakie prognozyki przed czekającymi „Smog” konkursami literackimi? Nie chciałbym sondować wyroków.

3

Wit Nawrocki wykonywał zajęcie, które nawet on uważał za głupie, ale mimo to było jednym z jego ulubionych. Grabił liście na działce. Do początku listopada było to działanie może nie tyle bezproduktywne, co daremne. Niekończąca się historia – jak długo byś machał grabiami, za dzień, dwa, trzy – tyle samo liści będzie leżało na ziemi. Wszystkie spadną dopiero, gdy porządnie przymrozi jednej czy drugiej nocy.

Mechaniczne, jednostajne ruchy, szelest i zapach liści, odseparowanie od miejskiego zgiełku zawsze jednak go

relaksowały. Dobrze mu się też wtedy myślało.

Już dawno nauczył się nie oszukiwać siebie samego, więc miał świadomość, że to zwyczajne pożądanie, odbierające jasność rozumowania i wolę, powodowało nim minionej nocy. Plus fascynacja tamtą kobietą, już wcześniej wywołująca rozmaite mimowolne rojenia. Kontrasty w jej zachowaniu i wyglądzie, skłaniające do poszukiwania kolejnych różnic.

Prowadził śledztwo, w którym bardzo szeroko poznawał otoczkę, nawet zaglądał za kulisy, ale nie mógł zrozumieć jego istoty, sensu działań. Idąc wczoraj wieczorem do Laury, liczył, że to da mu lepszy pogląd na sprawę. Byłoby to nieetyczne i nieprofesjonalne, nawet gdyby Laura nie znajdowała się w kręgu podejrzanych. Takie epizody są dobre w kryminałach, bo przykuwają uwagę czytelników i widzów. Jak w *Nagim instynkcie*, chociaż tam ich zainteresowanie, wtedy chłopaków w ostatniej klasie podstawówki, monopolizowała Sharon Stone bez bielizny.

Naprawdę? A co się zmieniło przez te wszystkie lata? – szepnęła jakiś przekorny chochlik w jego głowie.

Skrzypnęła furтка. Jak przywołana wspomnieniem kryminałów pojawiła się ta oryginalna, nieco ekscentryczna dziewczyna. W komisariacie zobaczył dziwnego maila od niej i nieopatrznie odpisał, gdzie będzie wczesnym popołudniem.

Najwyraźniej nieźle się czuła, uśmiechała już z daleka, a kulą bardziej wymachiwała z ożywieniem, niż się podpierała.

– Stuk-puk, dzień dobry, można? – spytała Jagoda. – Wiem, że widział pan wiadomość ode mnie, bo dostałam odpowiedź, ale czy pan ją przeczytał? A jeśli tak, to co pan o niej sądzi?

– Tak, zrobiłem wydruk i przeczytałem w tramwaju, po drodze tutaj. – Nawrocki pokazał kilka kartek leżących na krzeselku. Wyciągnął z altanki drugie krzeselko, półtoralitrową butlę

mineralnej, którą najpierw opłukał dwa kubki, a potem nalał do nich solidne porcje wody. Jedną podał dziewczynie.

– Dzięki. To opinie czytelników na temat *Smogu*, zamieszczone na fejsbukowej grupie Kochamy kryminały. Co pan o tym sądzi?

– Sporo błędów, jeszcze więcej literówek, a interpunkcja prawie nie istnieje.

– Tak wygląda internet, ludzie wklepują tekst w telefon, lekceważąc ogonki, nie dbając o nic, co spowalnia proces pisania. A treść?

– Pomijając ten bełkot na końcu, to ci ludzie piszą na ogół to samo: czytali w nocy, żałują, że już skończyli, książka roku. Kilka tych samych przymiotników, najczęściej określenie: petarda. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że niektórzy nawet *Smogu* nie czytali.

– Bardzo niewykluczone. Nie mieli czasu. – Uśmiechnęła się.

– To wygląda jak SMS-owe „przekazy dnia”, rozsyłane z rana członkom partii. I to z tezami sformułowanymi jeszcze przed tym, co spotkało Kasprzaka, bo motyw jego śmierci rzadko się tu pojawia.

– Celne skojarzenie.

– Nie bądź taka tajemnicza.

Wyciągnęła smartfona, postukała w ekran i wyświetliła mu fragment strony z nagłówkiem: *Oferujemy niebanalne i skuteczne rozwiązania promocyjne*. Szybko przebiegł wzrokiem podpunkty proponujące przeprowadzanie szeptanki w sieci, generowanie internetowego szumu wokół książek, premiowanie czytelników punktami, co ma ich motywować do częstszych wpisów. *Nasi recenzenci posiadają prawdziwe, bogate konta w sieci, są wiarygodni...*

– Pozytywne i masowe opinie mają na celu pompowanie sprzedaży. Bywa to sugerowane nawet wprost, bo ciągle pojawia się ktoś, kto koniecznie musi zamówić, nawet jeśli normalnie

wypożycza książki w bibliotece – myślał na głos, a Jagoda energicznie kiwała głową.

– Czyli wydawnictwo to zrobiło – dodał.

– Albo autor czy ktoś z jego otoczenia. – Popatrzyła na niego znacząco.

– Ile to kosztuje?

– Parę setek, ale pewnie jest połączone z kilkoma innymi działaniami, więc urośnie do ponad dwóch tysięcy, może nawet więcej. To wybór wpisów, pokopiowałam rano naprędce.

– Nie było negatywnych opinii?

– Nieliczne, pominęłam je. Minął zaledwie tydzień od premiery, przejrzałam tylko jedną grupę, choć największą. Jest tam tego ze dwa razy więcej. W to oczywiście wpasowuje się sporo ludzi, którzy nie uczestniczą w procederze. Przeczytali książkę, spodobała się i dają temu wyraz. Poza tym inne grupy, fora. Na nich nierzadko pojawiają się te same sądy, tych samych osób, ale generalnie pokazuje to skalę przedsięwzięcia.

– Akcję urządziła firma reklamująca się na stronie, którą mi pokazałaś?

– Prawdopodobnie, ale to trzeba by sprawdzić. Po drugie, mogli zaangażować nawet kilka. Ja wiem o jeszcze dwóch oferujących podobne usługi i to bez żenady, bardziej otwarcie i wprost, bo nie publicznie, ale zwracając się bezpośrednio do autorów i wydawnictw. Mam namiary na nich, mógłby pan ich wy badać, kto im to zlecił.

Dziewczyna zbyt zdecydowanie przejęła inicjatywę.

– Skąd masz te kontakty? – spytał dla nabrania oddechu.

– Od pisarzy czy raczej ludzi, którzy napisali książki. Mówiłam panu, oferując w sobotę pomoc, że znam to środowisko. Przez rok byłam nawet redaktorką w wydawnictwie.

– Nie chciałbym cię urazić, ale sądziłem, że do tej funkcji trzeba mieć przygotowanie, wykształcenie.

– W większych wydawnictwach. Ale te małe oszczędzają na wszystkim, więc chętnie wezmą kogoś za niewielkie pieniądze, byle miał maturę z polskiego zdaną nie na amnestii. Mnie wybrali dzięki blogowi, bo nieźle pisałam, a przede wszystkim starannie.

– Wyobrażam sobie, że to ciekawe zajęcie.

– Zabawne. Lubię powtarzać o sobie, że jestem wioskową wiedźmą, ale tylko tam byłam tak postrzegana. Przez autorów właśnie.

– Dlaczego?

– Bo zwykle są bardzo pochyleni nad swoim dziełem. Na ogół tworzą wiekopomne powieści, nie będą pisać „pustych romansów albo kryminałów”, bo takie jest moje widzimisię. Usłyszałam to, gdy zasugerowałam dołożenie wątku miłosnego bądź sensacyjnego dla ubarwienia i zdynamizowania akcji. Dowiedziałam się, że ludzie czytający takie gatunki są krótkowzroczni.

– To by się zgadzało, choć współcześnie wady wzroku częściej wywołują komputery i komórki – odrzekł Nawrocki.

– Pański dowcip też nie spotkałby się z miłym przyjęciem. Zdarzyło mi się usłyszeć, że facet pisał książkę przez trzy lata, co świadczy, iż ma do niej krytyczne podejście, i żebym nie ważyła się dokonywać jakichkolwiek zmian. Inny zarzucił mi, że dążę, aby moje nazwisko znalazło się na okładce. Kolejny, że jestem gówniarą i mam zbyt wysokie mniemanie o sobie. A ja bardzo delikatnie zwróciłam mu uwagę, żeby uważał, opisując w powieści siebie i swoje przeżycia, bo narcyzm i ekshibicjonizm stają się nie do wytrzymania.

– Powiedziałaś, że byłaś tam przez rok. To znaczy, że zrezygnowałaś?

– Muszę dbać o zdrowie. Ale przeczytałam również wywiad z pewną długoletnią redaktorką i doszłam do wniosku, że źle postępuję w niektórych kwestiach. Muszę nabrać doświadczenia i dystansu. Ta pani wskazywała, że językowo trzeba się starać

podążać za autorem, a nie poprawiać tekst, jak się człowiekowi podoba, wyrzucać wyrazy, których się nie lubi, bo robi się z tego adiustacja wypracowania. Generalnie, trzeba uważać na warstwę estetyczną, bo można ją zniszczyć i zostanie goły komunikat. Ale ciągle mam kontakt z dwoma wydawnictwami, od których dostaję propozycje wydawnicze do recenzowania.

– Chodzi o książki niewydane?

– Tak, przysyłane do wydawnictwa przez autorów. Ocenia je po parę osób, czysto pod kątem czytelniczym, czy mogą zainteresować.

Komisarz przypomniał sobie rozważania nad możliwością kradzieży pomysłu na książkę, ewentualnie całego napisanego tekstu.

– Zastanawiam się nad wczesną twórczością Daniela Kasprzaka, jeszcze przed cyklem powieściowym. Na przykład opowiadaniem. Chodziłoby również o jego przyjaciela z tamtych czasów, Macieja Skorusa. Gdzie można coś takiego znaleźć? Wiem, że istniała strona internetowa z takimi próbami literackimi, ale została zlikwidowana.

– Od kilkunastu lat działa Wattpad. To olbrzymi serwis społecznościowy o światowym zasięgu, można tam publikować opowiadania, wiersze, fanfiki – czyli teksty pisane na podstawie ulubionych filmów i książek. Użytkownicy mogą komentować, dawać lajki. Ale do Polski trafił później, więc raczej tam się ich nie znajdzie. Wiem, że Kasprzak zgłaszał swoje opowiadania do konkursów. Mam internetową koleżankę, również blogerkę, która jest wielbicielką Kasprzaka i paru innych. Zbierała antologie konkursowe z ich tekstami. Poproszę ją, żeby zrobiła kopie opowiadań Kasprzaka, a jeśli ma, to także Skorusa. Parę dni to pewnie potrwa. Ciężko żyć ze świadomością, że ma się znajomych, którzy wolą zrobić ksero niż zdjęcia i wysłać to pocztą, nie mailem,

a przynajmniej przez firmę kurierską. Ona twierdzi, że tylko papier ma duszę.

– Ty jesteś innego zdania?

– Dla mnie liczy się tekst, jego jakość. Obojętnie, gdzie się z nim zapoznam. Ale, ale. Przygotowuję dla pana materiał, który może rzucić nowe światło na sprawę Kasprzaka.

– Pisałaś coś o tym w mailu, ale zrozumiałem, że to właśnie opinie fanów z Facebooka są tym materiałem.

– Nie, to była tylko ciekawostka przyrodnicza. Szykuję coś, co poprze bardzo poważną hipotezę śledczą – powiedziała z dumą, a policjant powstrzymał się od głośnego jęku.

Zaproponował Jagodzie, że odprowadzi ją na przystanek, ale zapewniła go, że ten kawałeczek do Bonarki przejdzie bez trudu. Został w takim razie, żeby spakować liście do worków foliowych, zanim rozwieje je wiatr. Aż tak daremna ta robota nie powinna być.

Nie skończył jednak, bo po dwudziestu minutach zadzwoniła Kaśka Marzec.

– Gdzie jesteś, co knocisz? – spytała bez powitania, gdy odebrał.

– Grabię liście na działce.

– Przestań mi natychmiast, jeszcze krzywdę sobie zrobisz.

– Nie przesadzaj, mam wprawę.

– Buksie też się tak wydawało. Pojechał dzisiaj jako przedstawiciel naszej komendy na sadzenie tego lasu w Hucie. Zabrał się za kopanie sztychówką i nadwerżył sobie kolano. Widziałeś łajzę? To prawie tak, jak zwichnąć nadgarstek przy waleniu konia.

– Dzwonisz, żeby mi to powiedzieć? – zniecierpliwiał się Nawrocki.

– No nie, rzecz w tym, że przy sadzeniu tego lasu znaleziono zwłoki i kuśtykający Buksa wykonywał czynności. Zajmij się tym,

to może być Kasprzak. Identyfikacja jest utrudniona, bo facet ma twarz i wnętrza dłoni, łącznie z opuszkami, spalone kwasem.

Wit patrzył oniemiały na niedużego ptaszka, który przysiadł na słupku ogrodzenia z siatki. O zbezczeszczeniu zwłok w taki właśnie sposób przeczytał kilka dni temu w *Smogu*.

ROZDZIAŁ 9

1

– Pan komisarz posiada ważny paszport i wizę wjazdową? Do Nowej Huty mogą bez tego nie wpuścić.

Wit Nawrocki dostał samochód służbowy, ale pechowo się złożyło, że musiał odbierać go w bazie u naczelnego jajcarza komendy, starszego aspiranta Władysława Morytki. Nie żeby mu jakoś szczególnie przeszkadzały nie zawsze śmieszne dowcipy, ale zabierało to więcej czasu.

– Mam honorowe obywatelstwo, nie będzie problemu – odpalił. – Co mi przygotowałeś?

– Nieugięty krążownik szos, opel astra, który pamięta jeszcze nadinspektora Woźniaka.

Komisarz westchnął w duchu. Andrzej Woźniak był komendantem wojewódzkim około połowy poprzedniej dekady.

– Dojadę nim na Kujawy?

– Nawet na te z Bydgoszczą i Ciechocinkiem. Łyka kilometry jak chorowitki Rutinoscorbin. Zalany wysokooktanową dziewięćdziesiątką ósemką, czym chata bogata – szczyrzył się Władek.

– Cieszę się, lubię zabytkowe samochody, które przynosząc dumę producentom, są wciąż na chodzie. Sam taki miałem, tyle że toyotę.

– No i co, sprzedał pan?

– Żadne tam sprzedawanie. Zajechanej na amen urządziłem uroczysty pogrzeb przy rozwiniętych sztandarach, z salwą kompanii honorowej, a teraz rozważam otwarcie sobie żył z żalu i zgrozy.

– Ten cud techniki ukoi pański ból. Profilowane lusterka kierują strumień powietrza na ceramiczne klocki hamulcowe Brembo, żeby je schłodzić, i uruchamia się podwójna turbinka.

– Czyli nie będzie problemu, gdybym musiał kogoś gonić?

– Spoko wodza. Zrywa asfalt na światłach, przy stu pięćdziesięciu dopiero dociska spojler i tylną oś. Proszę tylko uważać, wchodząc w prędkość naddźwiękową, bo folia od szyb odkleja, nie wiedzieć czemu. I niech pan komisarz strzeże się na Igołomskiej; urwać koła, nie urwałem, ale pół godziny szukałem kołpaków.

– Znalazłeś?

– Znalazłem – wszystkich marek, tylko nie swojej...

Jeżdżąc samochodem w dłuższe trasy, natykasz się niekiedy na miejsca, w których lądowali kosmici. Przełom rzeki, dolinka, panorama zamknięta lasem lub górą, sielska wioska, a tu nagle żółto-czerwone, gryzącopomarańczowe czy utrzymane w innym jaskrawym kolorze pudło hipermarketu, hurtowni z blachy falistej lub hali produkcyjnej tudzież cały zespół odpychających klocków i pionowych walców o zastosowaniu przemysłowym.

Innym razem doznajesz wrażenia, że to ty znalazłeś się na Marsie: hałdy, doły, coś na kształt pasów startowych dla pojazdów międzygalaktycznych, fragmenty betonowych konstrukcji bez związku z otoczeniem. Przez taki teren przebiegał się Nawrocki na robotach przy węźle czwartej obwodnicy, za stadionem i halą Hutnika. Sytuacja nie zmieniła się, gdy odbił w lewo przed bryłą ekospalarni złożoną z coraz mniejszych, stojących rzędem,

modułów i widniejącymi w tle strzelistymi masztami mostu Kardynała Macharskiego. Na Igołomskiej zamknięto całą jezdnię w kierunku na Sandomierz, więc ruch odbywał się jednym pasem wydzielonym z przeciwnej. Odetchnął dopiero po skręcie w prawo za bramą do Walcowni, w ulicę Dymarek. Była wprawdzie wąska i niezbyt równa, za to prawie pusta. Z tyłu samochodu coś stukało, ale jechał rzetelnie przez las, a słońce, szatkwane gałęziami pozbawionymi już częściowo liści, blikowało komisarzowi w ciemnych okularach.

Miejsca parkingowe przed oczyszczalnią ścieków zarezerwowano dla pracowników, zresztą było ich niewiele i wszystkie zajęte. Zaparkował więc po drugiej stronie szosy, w pół asfaltowej, pół szutrowej zatoczce. W zielonej gęstwie za nią stała żółta tabliczka ostrzegawcza, że teren należy do kombinatu metalurgicznego i wstęp między drzewa jest wzbroniony.

Jego jednak interesowały tereny za oczyszczalnią; utwardzoną drogą przemysłową szedł pomiędzy jej ogrodzeniem a kanałem, widząc w oddali kilka domków mieszkalnych. Ludzie, którzy porzucili trupa w ambonie myśliwskiej, wygodnie mogli go przewieźć właśnie tędy, nieniepokojeni, a nawet niezauważeni przez nikogo.

Komisarz skonstatował, że przechodzi już przez trzecią strefę smrodu: przed frontem oczyszczalni był najmniej przykry, ale i tak dosyć mocno cuchnęło, dalej, tuż za rogiem, widniały ostrzeżenia o gazie, więc może czuł właśnie ten gaz, a w miejscu, gdzie kanał wyłaniał się spod wału, pod którym był skryty przez jakieś sto metrów – otoczył go najgorszy fetor, nasycony zgnilizną.

Po kolejnych kilkudziesięciu metrach do kanału wpadał z boku rwący strumień z oczyszczalni i stojąca dotychczas woda nabierała rozpędu, sunąc pomiędzy pionowymi betonowymi ścianami, odgrodzonymi siatką rozpiętą na takich słupkach, z których oblażyła żółta farba. Zmieniły się też warunki zapachowe, bo

zawartość kanału wyglądała jak mydliny z prania, jak one promieniowała lekko ciepłem i praniem było ją czuć. Dziewiąta rano, na okolicznych łąkach leżał jeszcze lekki szron, ale temperatura rosła, a liszaje piany na czarnej cieczy połyskiwały lekko w słońcu. Co kilkaset metrów nad kanałem przerzucone były mostki, trzeci z nich prowadził w prawo na rozległą płaszczyznę, gdzie wczoraj sadzono las. Znaleziska dokonano dość późno, kiedy już znaczna część robót została wykonana, więc teren pokrywał jeż szpikulców. Reszta była zajeżdżona i zdeptana, zrazu przez dostawy sadzonek, później przez tabuny ludzi, o czym przekonali się wczoraj technicy. Jeden z mieszkańców słyszał coś dwa dni temu, w nocy, ale myślał, że to właśnie zwożą materiały do sadzenia. Myśliwi nie odwiedzali tego miejsca od dawna, bo codzienny ruch przepłoszył zwierzęta.

Ambona opierała się plecami o drzewo. Za zaoranim polem, w głębi, policjant zauważył kolejną, skrajem zasuwiał na piechotę jakiś ptak. Głuszc?

Wspiął się po drabinie, myśląc, że człowiek, który wniósł tędy zwłoki, musiał być silny fizycznie. Może było ich dwóch. Stojąc w środku, zastanawiał się nad tym, co wczoraj powiedział mu Sujecki, psycholog współpracujący z komendą wojewódzką. Zastrzegł, że profilowanie ma sens przy serii morderstw, kiedy wyznacza się wspólne cechy, powtarzające się schematy. Za to stwierdził, że zakrycie twarzy oznacza często, iż ofiara i zabójca się znali, że zabójcy było wstyd popełnionego czynu. Tutaj jednak najpierw zamaskowano twarz przez wypalenie kwasem. Nie odbyła się jeszcze sekcja, ale patolog zbadał stężenia serotoniny i histaminy u denata. Podczas tortur wydziela się bardzo dużo tych hormonów, ale w tym przypadku ilość była niewielka, co znaczyło, że rany zadano już po śmierci.

Były dwie inne, istotne wątpliwości. Czy spalenie twarzy i linii papilarnych służyło tylko zamaskowaniu tożsamości ofiary? Czy to

nawiązanie do *Smogu*? A jeśli mieli do czynienia z naśladowcą, to czy nie był nim ktoś, kto znał treść powieści wcześniej, wszak do sprzedaży skierowano ją dopiero przed tygodniem.

A po drugie, przecież sprawcy mogli ukryć zwłoki gdziekolwiek, ale zrobili to w miejscu, o którym od kilku tygodni było wiadomo, że zostanie posadzony tutaj las Prawiek, by uhonorować Nagrodę Nobla dla polskiej pisarki. Łatwo było przewidzieć, że wybuchnie skandal, a przynajmniej sprawa nabierze większego rozgłosu niż w przypadku innego schowka. Choć może przede wszystkim chodziło im o zniszczenie wszelkich śladów – tego też mogli być pewni. Nawrockiemu przemknęło przez myśl, że motywacją mogła być złośliwość fanów kryminałów, czyli literatury popularnej, wobec Olgi Tokarczuk, a więc przedstawicielki literatury wysokiej, ale odrzucił ją jako zbyt bliską sekciarskim teoriom, jakie według Jagody czytelnicy snuli na Facebooku.

Wszelkie te dywagacje zyskają rację bytu dopiero, gdy się okaże, że znalezione wczoraj zwłoki należą do Daniela Kasprzaka. Wyniki badania DNA z próbek pobranych pierwszego dnia w jego mieszkaniu będą za kilka dni. Do tego momentu śledztwo w sprawie morderstwa prowadzi komenda wojewódzka, a Wit ma w nim status obserwatora.

Wewnątrz długiego zagajnika ciągnącego się równolegle do kanału natrafił na stary trakt z płyt betonowych, częściowo pokrytych wilgotną ziemią, usłany liśćmi i połamanymi, zeschniętymi gałązkami. Nawrocki postanowił okrążyć tędy pole uprawne i tak dojść do drugiej ambony. Zagajnik się poszerzał, ale podłoże było coraz bardziej grząskie, a na wysokości ramion i głowy gęstniały gałęzie. Nie dałoby się tędy taszczyć ciała, uznał. Wspiął się na brzeg i trafił do drugiej ambony, w której jednak nie znalazł nic podejrzanego. W odróżnieniu od poprzedniej ta nie była zabudowana deskami (a może ktoś je zdemontował), więc nie dałoby się tu niczego ukryć. Przede wszystkim jednak stała bliżej

zabudowań, więc trudniej byłoby o dyskretne podrzucenie zwłok. Komisarz wkrótce natknął się na mężczyznę w swoim wieku, ubranego w coś w rodzaju kufajki, ale o nowocześniejszym kroju.

– Pan pewnie policjant? – zagadnął go tamten.

– Zgadza się, po czym pan poznał? – Nawrocki uznał, że w tej sytuacji nie musi wyjmować legitymacji.

– W biały dzień nikt inny by mi się nie kręcił po gospodarstwie.

– A w nocy?

– Przyjeżdżają tu po ciemku różni tacy – mężczyzna zmełł dwa ostatnie słowa w ustach jak przekleństwo.

– Jacy?

– Kondony potem muszę sprzątać, to jak pan myśli, kto i po co przyjeżdża? Starsi już się nie dymają w samochodach.

Facet niczego podejrzanego nie zauważył, zresztą już wczoraj został z tego odpytany, więc komisarz zszedł do Łubinowej, jak nazywała się ulica wzdłuż kanału, i te razem zaprowadziły go do kolejnego budynku oczyszczalni. Za pobliskim, szerszym niż poprzednie, mostem, w głębi po prawej, rozciągała się baza ciężarówek, lecz to było ze trzy kilometry od miejsca, w którym znaleziono zwłoki. Sprawcy mogli nadjechać także od tej strony, ale tak czy owak na pewno potem podążali obstawioną zakazami ruchu Łubinową, a wyładunek odbył się na łące tuż obok ambony.

Wracając do samochodu, zamknął drugą połowę ogromnego koła, jakie zatoczył dzisiaj na nogach. Minął jakieś roboty komunikacyjne, parę domów w trakcie budowy i ruder w procesie samoistnej dekonstrukcji, a na ostatnim zakręcie przed prostą prowadzącą do opla stała biała kapliczka. Palił się przed nią znicz, który przypomniał Nawrockiemu, że jutro pierwszy listopada, pojutrze urodziny Żółwika, a dzień po nich uroczysta impreza, na której musi się stawić niezawodnie z tortem, który na szczęście udało mu się zamówić w polecanej przez Fraglesa cukierni.

W takie wieczory zastanawiasz się, co cię skłoniło do wybrania obecnej drogi, kiedy popełniłaś tak fatalny błąd, który zaprowadził cię do tego punktu, i czy znalazłoby się jeszcze dla ciebie miejsce na rynku pracy w rodzinnym kraju, w roli przewidującej jak najmniej chodzenia i kontaktów z innymi ludźmi.

Justyna leżała w zapachowej bańce rozgrzanej kurkumy, otulającej budynek za sprawą nepalskiej restauracji na parterze. Na brzuchu miała smartfona, jedną poduszkę podłożyła pod głowę, dwie pod stopy, lekko opuchnięte po całym dniu kelnerowania w kawiarni nieopodal Uniwersytetu Londyńskiego. Pieniądze były dobre, choć napiwki nieregularne, ale dojazdy na Spencer Street i z powrotem zajmowały jej niemal dwie godziny, a studenci ją przygnębiali, przypominając mimowolnie ją samą przed dziesięciu laty, jej ówczesne marzenia i nadzieje. I to, że większość z nich się nie spełniła. „Wy głupie pindy, media wmówiły wam, że zasługujecie na coś lepszego. Nigdy nie wiedziałyście, czego chcecie, a teraz już zupełnie odleciałyście. Dla was żaden facet nie jest dość dobry”. Tak żegnał się z nią Piotrek, kiedy przed dwoma tygodniami kazała mu się wyprowadzić. Była przekonana, że jego syfiarstwo, lenistwo i zapominalstwo nie były dla niej dość dobre. To już lepszy był Speedy, choć mitoman.

Właśnie o Maćku chciał rozmawiać ten policjant, który złapał ją na komórkę w trakcie dyżuru w kawiarni, i umówili się na wieczorny kontakt na Discordzie. Niedawno jednak przysłał SMS-a, że ma „kłopoty techniczne”. Kurde, jeśli gość nie umie zainstalować prostego komunikatora, to może poprosić znajomego albo kogoś z komisariatu, tam na pewno są różni specjaliści. Chociaż dzisiaj Wszystkich Świętych, to mogą mieć wolne.

Spojrzała na Rufusa, który wspiął się na drzewko i zmieniał właśnie kolor szaro-popielatych łąk na ciemnozielone,

a jasnozielone stawały się bardziej jaskrawe. Pochylił głowę, a jego wysoki, ostry hełm celował w nią. Czekala, aż przybierze najpiękniejszą barwę, morsko-niebieską. Rufus był powodem decydującej awantury z Piotrkiem, który znowu nie zrosił ścianek terrarium, żeby zwierzak mógł sobie zlizywać wodę, i wymądrzał się po raz kolejny, że można kameleona nauczyć picia z miski. Maciek dużo chętniej się nim opiekował, tylko przesadzał. Sam kupował liście mięty, bazylii i rukoli, ale za często mu je podsuwał, a kameleona jemeńskiego należy karmić góra dwa razy w tygodniu.

Wreszcie dostała komunikat, że Wit78 chce dołączyć do jej znajomych, przyjęła go i się połączyli.

– Dobry wieczór, z tej strony ponownie Wit Nawrocki, Komenda Miejska Policji w Krakowie – rozległ się dość sympatyczny i inteligentny głos. – Nie mam kamery przy tym komputerze, więc pozostaje nam rozmowa audio.

Nie ma kamery albo nie umie włączyć... To i dobrze, nie musi jej oglądać o tej porze.

– Spoko. Co chce pan wiedzieć o Speedym? Rozstaliśmy się prawie rok temu.

– Jak rozumiem, ksywa Macieja Skorusa, Szybki, przeniosła się za nim z Polski do Anglii? – spytał gliniarz. – Trochę to dziwne, biorąc pod uwagę, że wzięła się od rosyjskojęzycznego skojarzenia z jego nazwiskiem.

– Ale on miał ksywę Speedy nie przez nazwisko, tylko wskutek impulsywności. Generalnie, w zbyt wielu sytuacjach był za szybki, jeśli rozumie pan, co mam na myśli... – A co tam, facetowi, którego nawet nie widzi, może puścić aluzję.

– I to dlatego się rozstaliście?

– Czy ja wiem? Ze względu na łóżko, jeśli o nie pan pyta, mimo wszystko, się spiknęliśmy. I ze względu na wspólne opłacanie czynszu. – Justyna uznała też, że lepiej nie przyznawać się do zbyt

silnych związków z Maćkiem, kto wie, czemu policja się nim interesuje. – Nie spędzaliśmy razem zbyt wiele czasu, ma pan pojęcie, ile tu się pracuje... Serdecznie nudziło mnie jego gadanie o książkach. A dlaczego właściwie pan o niego wypytuje?

– Prowadzę sprawę, która dotyczy znajomych Skorusa z lat studenckich, i mam problem z ustaleniem jego obecnego miejsca pobytu.

– Ja też się nie orientuję, gdzie Speedy teraz się podziewa, a o tamtych czasach wspominał, ale słuchałam tego jednym uchem. Zrozumiałam, że ma o coś żal do kogoś, może do paru osób. Kiedyś odgrażał się, że jeszcze wyrówna rachunki. Chciał jechać do Polski po naszym zerwaniu.

– I pojechał?

– Nie wiem. Maciek miał wiele planów, których nie zrealizował, bo wierzył w jakieś kompletne złudy. Czytał na przykład kryminał, w którym absolwent studiów literackich czy jakichś podobnych, wielbiciel Puszkina, zostaje maklerem w City, więc wymyślił sobie, że on też spróbuje się dorobić na rynku finansowym, bo jest humanistą, ale ma dryg do pieniędzy i dobrze zna język.

– Zamiar się nie powiódł?

– Nie miał tam nawet startu. I tak mu się udało, że nie musiał długo harować przy załadunku w porcie, tylko zaczął się w piekarni, bo trochę umiał z domu i z czasów studenckich. Trzeba mu oddać, że słodkie wypieki naprawdę dobrze mu wychodziły już wcześniej, przed tą pracą.

– Mówi pani coś nazwisko Daniel Kasprzak?

– Zupełnie nic.

– Skorus nigdy go nie wymieniał, opowiadając o urazach z przeszłości?

– Mówiłam panu, miałam to gdzieś. Życie na co dzień jest dostatecznie trudne i nerwowe, żeby na dodatek zadręczać się dawnymi problemami. Zwłaszcza cudzymi. Ale mam pomysł,

z kim jeszcze może pan pogadać, tylko proszę nie mówić, że ode mnie dostał pan namiary, żeby nie miał pretensji, że nasłałam na niego policję.

– W porządku. Co to za człowiek?

– Jacek Wiśniewski. Siedzi tu chyba od otwarcia granic i całkiem nieźle sobie radzi. Sprowadza z Polski książki i sprzedaje je naszym na Wyspach. Nie wszyscy mają do nich taką awersję jak ja. Ale wie pan, po dniu spędzonym na podawaniu żarcia i picia człowiek nie ma już na nic ochoty...

Policjant zignorował jej tłumaczenia.

– Ten Wiśniewski mieszka w Londynie?

– Tak, nawet ma tu taką dziuplę, miniksięgarnię, gdzie przychodzą ludzie, choć przede wszystkim rozprowadza książki wysyłkowo. Speedy pomagał mu, gdy było więcej roboty, ale przyjaźnili się, bo mieli wspólne tematy i hobby. Jacek na pewno słuchał go uważniej. Gdy się rozłączymy, wyślę panu kontakt do niego w wiadomości na Discordzie.

3

Według rankingu TomTom Kraków jest drugim najbardziej zakorkowanym miastem w Polsce, tuż za Łodzią. W ostatnim roku ten wskaźnik wzrósł o pięć procent. Jest tu siedemset trzydzieści samochodów na tysiąc mieszkańców, tyle samo co w Rzymie, a więcej niż w Londynie (czterysta), Paryżu, Kopenhadze, Amsterdamie i Nowym Jorku (po dwieście pięćdziesiąt). To jak ma nie być korków i smogu?

Znacznie lepiej ulice wyglądają w dni wolne od pracy, ale we Wszystkich Świętych i Święto Zmarłych ludzie też wolą stać w sznurach samochodów pod cmentarzami niż jechać autobusem

czy tramwajem. Inna sprawa, że nie ma o co ich obwiniać ani porównywać się do tamtych miast, w których transport miejski jest nieporównanie wydolniejszy.

Z dwunastu krakowskich cmentarzy komunalnych na czterech brakuje miejsca na nowe groby, od dawna nie dokonuje się pochówków na Starym Cmentarzu Podgórskim. Tworzone są więc kolumbaria z niszami na urny. W tym mieście jest za dużo wszystkiego – żywych i nieboszczyków.

Wit Nawrocki snuł te posępne rozważania, czekając na rozmowę z Jackiem Wiśniewskim. Sam był sobie winien, skoro absurdalne zadowolenie z posiadania znowu samochodu skłoniło go do wyjazdu nim „na groby”. Przede wszystkim jednak, jak zawsze, przygłębiły go odwiedziny w miejscach, w których kiedyś był na pogrzebach. Czas leczy nie wszystkie rany.

Laura też stwierdziła, że nie ma nastroju na spotkanie.

Wczoraj Żółwik pomógł mu zainstalować komunikator internetowy. Dzisiaj już poszło łatwiej, sam poradził sobie z uruchomieniem go. W głosie Wiśniewskiego, tak jak i podczas krótkiej wymiany zdań, kiedy umawiali się na późnopołudniowe połączenie, słyszał zaciekawienie i nutki humoru.

– Mieliście ponoć ze Skorusem wspólne pasje? – zagadnął komisarz po powtórnym przedstawieniu siebie i sprawy.

– To zależy – tamten wyraźnie zachichotał. – Maciej mawiał: „Nie przeczytam nic dobrego, jeśli sam sobie nie napiszę”, więc koncentrował się na własnej twórczości. Ja mam szersze zainteresowania literackie.

– Co pan wie o kradzieży pomysłu na książkę czy też kradzieży książki, którą Maciej Skorus zarzucał Danielowi Kasprzakowi? – Nawrocki przeszedł do sedna.

– Maciej utrzymywał, że to on wymyślił heksalogię; zasady konstruowania postaci, umiejscowienie akcji poszczególnych tomów, tytuły, wątki metafizyczne. Choć przypuszczam, a parę razy nawet coś w tym stylu mu się wyspnęło, że nawet jeśli wyjściowe idee były jego, to później wiele rozwiązań rodziło się w rozmowach, takich burzach mózgów. Byli wtedy przyjaciółmi.

– Jak można ukraść coś takiego?

– Kasprzak napisał opowiadanie zatytułowane *1850*, w którym wykorzystał większość pomysłów; opatentował je niejako, a dla faktycznego autora były odtąd „spalone”. Opowiadanie dostało nagrodę, zostało wydrukowane. Maciej popełnił błąd, bo mógł to jakoś inaczej załatwić, negocjować, a on się wściekł; rzucił pisanie, poszedł do innej pracy. A kiedy Kasprzak wydał *Ogień*, który stanowi rozwinięcie opowiadania i zawiera pełne przedstawienie zasad rządzących później cyklem, Skorusa ponownie wyprowadziło to z równowagi i wyemigrował. Taki on już jest.

– Nerwowy, nadpobudliwy?

– Impulsywny. Po trosze to też wampir energetyczny, nakręcał się rozprawianiem o swoich krzywdach i odbierał dobry humor innym.

– Teraz, po latach, chciał się zemścić? – Nawrocki zaryzykował tezę, co do której nie miał wystarczających przesłanek.

– To nie miała być krwawa dintojra. Maciej stwierdził, że w końcu załatwi sprawę na zimno i przyszpili tamtego książką.

– Opisując wypadki z przeszłości, kradzież?

– Nie, nie. Chciał napisać prequel cyklu, powieść pod tytułem *Drewno*, z wykorzystaniem wszelkich pomysłów. Uważał, że wybuchnie wtedy afery głośniejsza niż zwyczajne oskarżenie, ale też będzie miała inny wydźwięk. Czytelnicy zrozumieją, skąd pochodziły niektóre tytuły i pomysły, kiedy dowiedzą się, że drewno w kulturze chińskiej karmi ogień. No i przede wszystkim

zobaczą, że Skorus jest lepszy od Kasprzaka. Jak mówiłem, wierzył w swój talent.

– *Drewno* było lepsze niż części heksalogii?

– Nie przeczytałem go, bo Maciej wyznawał dewizę, że tylko gotową książkę można pokazywać innym, gdyż wtedy wszystko tłumaczy się niejako samo przez się. Ale mimo to czytywałem urywki.

– W tajemnicy?

– No tak. Maciej wielokrotnie wyrzucał bądź poprawiał fragmenty, które mu się nie podobały. Robił to symbolicznie – drukował je, z kartek składał papierowe samoloty i puszczał z mostów, budynków. Taki miał zwyczaj. Coś jak pisarz z filmu *Papierowy bohater* – zanim zaczął pisać nową książkę, ze starej, która się nie sprzedała, posklejał kanapę. Miała twarde okładki, mocno to związał – wyszedł regularny mebel.

– Pomogło?

– Maciejowi raczej pomogło, bo jak utrzymywał, miał już prawie całość. A ja czytywałem niektóre z tych kartek, pomiędzy wydrukowaniem a wyeksponowaniem w powietrze.

– Gdzie chciał wydać tę książkę, w Anglii czy w Polsce?

– W Polsce, oczywiście. Zaplanował, że zwróci się do tej kobiety, która najpierw wydawała Kasprzaka, ale ją porzucił. Nie pamiętam nazwiska. W każdym razie to wydawnictwo Błękitny Młoteczek, ściągam ich książki tutaj.

– Słyszałem, że miał jechać do Polski rok temu, przed świętami.

– Aha, czyli rozmawiał pan z Justyną? Zastanawiałem się właśnie, od kogo ma pan zamiary na mnie.

Wit pominął to milczeniem. Nie będzie kłamał, zaprzeczając.

– Szkoda, że się rozstali. Ani ona, ani Maciej nie rozumieli, że jego sztuka mogłaby dzięki niej zyskać. Przecież zaczynał opowiadaniem o miłości, tak jak oni wszyscy. Miłość jest najważniejsza, choć nie tak, jak chcieliby chrześcijanie czy

niewierzący idealisci. Rzecz nie w gremialnym przytulaniu, spijaniu sobie miodu z ust i czynieniu dobra. – Facet zniecka przybrał ton kaznodziei. – Miłość jest motywacją do działania, a przez to nierzadko motorem postępu, bo albo coś robisz, żeby zaimponować tej drugiej osobie, zdobyć ją lub utrzymać, albo żeby pokazać tej, która odeszła, że jesteś wart więcej, niż cię oceniała. Czy więcej warta. Dawniej, w zmaskulinizowanym świecie, to kobiety dla facetów były motorem postępu, a współcześnie jest to już bodziec dla obu płci.

– Wie pan, gdzie przebywa teraz Skorus? – Komisarz wrócił do meritum.

– Nie mam pojęcia. Chciałem pana właśnie prosić o informacje, jeśli pan się czegoś dowie.

– Kiedy ostatnio miał pan z nim kontakt?

– Gdy wyjeżdżał z Londynu. Aha, rozgadałem się o miłości i nie powiedziałem, że Maciej został tu jeszcze pół roku, żeby zbierać więcej kasy. Wyjechał w czerwcu. Lubilem go, mimo wszystko, bo bywał też uroczym rozmówcą, poza tym uważam, że mam dług wobec pisarzy, skoro z nich żyję. Spał u mnie w księgarni na materacu, żeby było taniej, oszczędzał, a pieniądze miał wyłożyć na promocję książki. Chciał postawić wszystko na jedną kartę.

4

Tort miał trzy piętra. Biały, ale na ściankach delikatnie cieniowany kakaowym pudrem. Wierzch był obłany sosem toffi, który ze wszystkich kondygnacji malowniczo ściekał cienkimi strumyczkami. I wszędzie (wszędzie!) ozdabiały go kunsztowne kwiaty; dalej, róże, astry, chryzantemy. Białe, ciemnoróżowe,

bladofioletowe, jasnobezowe i écru. Cudownie komponowały się z nimi ćwiartki dojrzalej figi i bezowe makaroniki.

Prezent od taty na osiemnastkę. Julia patrzyła jak urzeczona. Czuła, że znowu ma siedem lat.

Błysznął flesz z boku, odwróciła się i zobaczyła zaśmiewającą się bezgłośnie Marikę.

– Sorry, musiałam. Oblukaj, jak wyglądałaś. – Przyjaciółka podsunęła jej smartfona. Na ekranie Julka zobaczyła siebie z nabożnym wyrazem twarzy i dłońmi jedna na drugiej, złączonymi nad piersiami.

– Jak egzaltowana pensjonarka wzruszająca się ciastkiem.

– Skasuj to, Jaworska! – syknęła.

– Ani myśle, fotko będzie mi rozświetlało mroczne dni.

– I wsadzisz ją na fejsa i insta, składając mi życzenia urodzinowe za rok.

– Zluzuj majty, Nawrocka, nie zrobię ci obciachu. Fajnie, że dzisiaj urządziłaś imprezę. Normalnie w listopadową niedzielę zastanawiałabym się, czy warto się ubierać po śniadaniu, czy lepiej wrócić do łóżka.

– Po śniadaniu dobrze jest obejrzeć *Teleexpress* – przycięła Julia. Z Mariką nie można było zbyt długo pozostawać w defensywie. Stuknęła pięścią w jej pięść w geście przywitania, od którego wzięła przezwisko.

– Jak tam goście, schodzą się? Ciocia Tygrys przyjedzie? – spytała przyjaciółka.

– Teściowa? Filip mówi, że chora i nie mogła się zjawić, ale kto ją tam wie. A co z Kamilem, będzie?

– Nawet mi o nim nie przypominaj. Tak się starałam, wyciągałam go sprzed komputera, a jak w końcu sam wylazł z nory, to znalazł sobie laskę. Blondyna w typie wczesna Doda.

– Nieźle to znosisz.

– Bo wiem, na co czekam. Wosk lany w ostatnie andrzejki wywróżył mi, że swoją drugą połówkę znajdę trzydziestego lutego.

– *First things first*. Co powiesz o torcie?

– Zajebioza, czegoś podobnego nigdy nie widziałam. Chciałoby się rzucić na niego gołymi rękami.

– Nie odważę się go pokroić, nie niszczy się dzieł sztuki.

– Pomyśl, że smakuje tak samo, jak wygląda. Chodź, spróbujemy. – Marika wyciągnęła w kierunku tortu palec wskazujący, jakby chciała zeszkrobać sos toffi.

– No coś ty! Nie rusz!

– Żóóóółw!

– To prezent od taty, jeśli się nie odczepisz, to mu poskarżę.

– Jak na gliniarza ma zaskakująco dużo fantazji – powiedziała Marika, ale zrobiła krok w tył. Julia już dawno zauważyła, że czuje wyraźny respekt wobec niego.

Tomasz wynajął na imprezę salę w hotelu położonym obok muzeum Manggha, z prawem korzystania z tarasu i właśnie na taras Julka poszła go szukać, bo menedżerka miała jakiś problem. Dzień był niewiarygodnie ciepły, chyba z piętnaście stopni, jak nie więcej, sporo gości kręciło się tutaj, paląc, gadając i podziwiając widoki. Z różnych punktów tarasu można było uchwycić panoramę rozciągającą się od kopca Kościuszki, przez dwa łuki Wisły, Jubilat, Wawel i Skalkę, z Forum na przeciwnym brzegu rzeki, aż do Podgórze z wieżami kościoła redemptorystów i telewizyjną.

Przechodząc obok komina czy wylotu przewodu wentylacyjnego, usłyszała głosy ojca i ojczyma, a treść sprawiła, że nie ujawniła się, tylko zaczęła podsłuchiwać stojących po drugiej stronie mężczyzn.

– Jestem ci naprawdę wdzięczny, niejako dzięki tobie mam rodzinę – mówił Tomasz, pompatycznie, jak to on. – W każdym

razie przez siebie ukształtowaną.

– Nie przeceniałbym swojej roli – w głosie taty wyczuwalne było zakłopotanie. – Gdyby była tak duża, gdybym ich nie zaniedbywał, być może ciągle bylibyśmy razem.

– Nie, nie. Dobrze to przemyślałem. U Julii widzę to każdego dnia, to oczywiste. A co do Ani, działa zasada kontrastu. Docenia różne rzeczy, choćby to, ile czasu mogę jej poświęcić, bo wie, że mogłoby go być mniej. Inna miałyby pretensje. Nie obraź się. – Wychylając się lekko, zobaczyła, że drugi mąż mamy klepie tatę kordialnie po plecach.

– Nie obrażam, tylko zastanawiam się, dlaczego nagle zebrało ci się na takie wyznania.

– Chciałem wytłumaczyć swoje motywacje. Słyszałem, że w policji niespecjalnie ci się układa, więc proponuję ci pracę. Mówię ci, z twoją inwencją, wyobraźnią, doświadczeniem w kontaktach z ludźmi, odnalazłbyś się na kierowniczym stanowisku w dowolnym z moich biznesów.

– Dziękuję, ale na razie jakoś się trzymam na etacie, dostaję nawet nowe, ciekawe zlecenia. Skąd akurat dzisiaj ta oferta?

– Myślałem o tym już wcześniej, a teraz jakoś ten tort mnie zmobilizował. – Zaśmiał się Tomasz. – Pewnie jeszcze wrócę do tego, ale póki co, chcę, żebyś wiedział, że możesz liczyć na moją pomoc, nawet w poważnym...

Słuchowisko było fascynujące, jednak Julka zauważyła, że żegluję w jej kierunku Wera, wylansowana na look szafiarki. Należało się spodziewać hałaśliwego powitania, więc w obawie przed zdemaskowaniem ruszyła jej naprzeciw.

– Elo, skarbie! Mnóstwa miłości! Szałowe urodzinki. – Werka dorwała ją i obcałowywała, ledwo muskając policzkiem policzek, za to cmokając rozgłośnie. – Dobrze, że choć na osiemnastce można się zabawić, bo rozkminiłam niedawno, że człowiek

przegapia w swoim życiu dwie ekstra okazje do melanżu: własne chrzciny i własną stypę.

Sama tego raczej nie wymyśliła.

Licealna koleżanka porwała ją do balustrady tarasu i zaczęła upozowywać do wspólnego selfie na tle zamku. Cała była jak wystylizowana do instagramowego zdjęcia, od butów po kokardę we włosach,

– A ty nie chcesz zrobić foci? – spytała.

– Przegrałam z moim pokojem w grze pod tytułem „zabiorę ci telefon” – odparła Julia. – Dzisiaj nie miałam za dużo czasu na poszukiwania, ale muszę przyklasnąć godnemu przeciwnikowi, bo to już trzeci raz.

– Po prostu masz trójkąt bermudzki w pokoju. – Nagle obok zmaterializował się Filip i objął ją w pasie.

5

– No i zrobili Żółwiowi z dupy hanukę. Gdzie moja baka?

Dwaj nastolatki, na których komisarz Nawrocki natknął się, wychodząc z kabiny w toalecie, ewidentnie byli gośćmi na osiemnastce jego córki i najprawdopodobniej właśnie przypalali sobie skręta. Kusiło go, żeby dostarczyć im nieprzewidzianych emocji, ale się powstrzymał. Nie będzie wymachiwał blachą na urodzinach, solenizantka pewnie miała o to pretensje.

A to rytualne bicie pasem w pupę, o którym mówili, w wykonaniu jego, Anki i Tomka, przypominało dziecięce zawody, kto wolniej dotrze do mety. Jak przy maksimum ekspresji włożył minimum siły. Choć u paru koleżanek i kolegów Żółwika, którzy dołożyli się do osiemnastu uderzeń, rozmach był chyba autentyczny.

Kiedy patrzył na osiemnastkowy obyczaj, zniechęca opadły go wyrzuty – będące echem dawnych pretensji żony – że zbyt rzadko uczestniczył w dorastaniu i wychowaniu Julii. Nie to, żeby żałował, że nigdy nie dał jej nawet klapsa, Anka też raczej się przed tym powstrzymała, ale za mało wniósł od siebie, a niektóre radości i satysfakcje ominęły go bezpowrotnie.

Kiedy znów podszedł do końca długiego stołu w kształcie litery C, zajmowanego przez „starszych dorosłych”, zaczął wzrokiem o była żonę, która urządziła sobie kolejną wycieczkę do stojącej osobno, kilkanaście metrów dalej, konstrukcji z tortem. Ta sama co dawniej drobna, zgrabna sylwetka, długie, ciemne włosy, błyszczące, brązowe oczy, usta wąskie, ale kuszące. Lubił patrzeć, jak je, zwłaszcza słodczy, bo wtedy była naprawdę sobą – swobodna, bezpretensjonalna i żywiołowa (by nie powiedzieć: łapczywa). Normalnie przybierała zbyt wiele wystudiowanych póz i zachowań, a gdy zagryzała dolną wargę, sprawiała wrażenie, jakby coś kalkulowała albo i knuła.

– Gdzie takie cudo znalazłeś? – spytała, podchwytyjąc jego spojrzenie. – Czuję tu ciasto waniliowe, a na przekładki krem śmietankowy z mascarpone, wiśniową frużelinę i lemon curd.

– Zdziwiłabyś się – po drugiej stronie ulicy. A przynajmniej głównej ulicy; ta cukiernia jest zaraz za Konopnickiej, na Dębnikach.

Zespół na niewielkiej scenie zagrał *Mam chusteczkę haftowaną*, a młodzież, tak jak oni kiedyś, a przed nimi ich rodzice, trzymając się za ręce, utworzyła krąg na parkiecie. W środku, powiewając białymi serwetkami w roli chusteczek, krążyli Julka i jej chłopak, Filip.

– Całkiem nieźle grają, może by ich zarezerwować od razu na wesele – powiedziała żartobliwym tonem Anka. – Chyba że kogoś innego polecacie.

– Po co takie wydatki, zaśpiewam za pół litra i dobre żarcie – podjął Wit, aby nie dać po sobie poznać, że już samo słowo „wesele”, a co dopiero jego perspektywa przyprawiły go o lękowy skurcz serca.

– No nie, tylko nie to. – Siostra Anki, Magda, teatralnie zakryła oczy dłońmi.

– Nie doceniacie mojego talentu.

Mąż Magdy, Rafał, podniósł się z flaszką.

– Kapitan Polewa, cała naprzód! Komu czystą, komu zmieszać? Lepiej się napić, bo palenie powoduje raka i choroby serca.

Widząc, jak dolewa wódki do coli i wrzuca do szklanki kostki lodu, komisarz przypomniał sobie o Laurze, komponującej drinki w Helladzie i nadającej im nazwy. Czuł, że to skojarzenie powinno go dokądś zaprowadzić, jeśli tylko uchwyci je wystarczająco mocno.

– Trzeba wiedzieć, kiedy ze sceny zejść niepokonanym – oznajmił Nawrocki pół godziny później. Mimo protestów współbiesiadników, pożegnał się z nimi, potem z Julią i Filipem. Córnka wolała, aby zabawa odbyła się dzisiaj, a nie w sobotnie Święto Zmarłych, kiedy faktycznie przypadają jej urodziny, i większość gości nastawiła się chyba na wolny poniedziałek, ale jego czekał jutro długi i ważny dzień.

Obok szatni spotkał dziewczynę, która malując usta, używała smartfona w charakterze lusterka. Widok jej zdrowej cery (niewymagającej, tak na marginesie, makijażu) znowu pchnął go w kierunku Laury. Na zdjęciach z wakacji wyglądała młodo i świeżo, ale ostatnie przeżycia odcisnęły na jej twarzy niemijające piętno.

Schodząc od hotelu na bulwar, zastanawiał się nad znaczeniem informacji, jaką dzisiaj przekazano mu od angielskiej policji. Później niż namiary na byłą dziewczynę Skorusa wyspiarze

ustalili, że w cukierni, w której pracował, złożył wypowiedzenie na koniec maja. Trzy dni później przeszedł odprawę paszportową na dworcu St Pancras International, po czym wsiadł do pociągu Eurostar do Paryża. Odtąd ślad po nim ginie. Nie kupił biletu samolotowego na żadną trasę ani z nikim się nie kontaktował.

Nawrocki wdrapywał się po schodach prowadzących do ronda Grunwaldzkiego równoległe z mostem. Na podeście dojrzał w świetle lampy, do góry nogami, jakieś słowa wyryte w kamiennej płycie. Odwrócił się i przeczytał:

Dzień taki szczęśliwy.

Mgła opadła wcześniej, pracowałem w ogrodzie.

Kolibry przystawały nad kwiatem kaprifolium.

Nie było na ziemi rzeczy, którą chciałbym mieć.

Nie znałem nikogo, komu warto byłoby zazdrościć.

Co przydarzyło się złego, zapomniałem.

Nie wstydziłem się myśleć, że byłem, kim jestem.

Nie czułem w ciele żadnego bólu.

Prostując się, widziałem niebieskie morze i żagle.

Czesław Miłosz, *Dar*

Nie podzielał odczuć podmiotu lirycznego. Jutro musi zacząć drugie okrążenie. Przycisnąć Stachurską, przepytać jeszcze raz Antoniaka. I Laura. Co zrobić z Laurą?

Na przejściu dla pieszych poczuł w kieszeni wibrowanie SMS-a. Otworzył go już na przystanku pod ICE. Jagoda prosiła, żeby odwiedził ją dzisiaj lub jutro, bo czuje się gorzej, ale musi przekazać mu ważne materiały.

ROZDZIAŁ 10

1

Komisarz przyszedł do niej o dziewiątej rano, pół godziny wcześniej zapowiedział się telefonicznie. Liczyła, że może wpadnie już wczoraj, lecz później doszła do wniosku, że bez sensu było wysłać mu zaproszenie przed dziesiątą wieczorem w niedzielę.

Jagoda przyjęła go, pólsiedząc, póležąc na wysoko spiętrzonych na tapczanie poduszkach. W oczekiwaniu na wizytę minęły mimowolne drżenia mięśni, które nękały ją w ostatnich dniach, miejscami czuła tylko na skórze drętwienie bądź kłucie.

Mama wprowadziła pana Nawrockiego do pokoju, podziękowała mu za odwiedziny, uśmiechnęła się i powiedziała, że ma nadzieję, iż współpraca córki z policją nie jest niebezpieczna. Nie uzgodniła z nią tego, czasem bywa zbyt spontaniczna...

On na to, że póki Jagoda pozostaje w domu pod jej opieką, na pewno nic jej nie grozi.

– Jak się czujesz? – spytał, gdy zostali sami.

– Po japońsku. – Uśmiechnął się, słysząc ten stary żarcik, który gdzieś napotkała, więc nie musiała mu tłumaczyć jak innym, że oznacza to „jako tako”. – Bywało gorzej, choćby w weekend.

– Słuchaj, nie powinnaś się forsować, to nie jest warte twojego zdrowia. – W jego głosie i spojrzeniu pobrzmiwała troska.

– Nic mi nie będzie. Gdybym nie mogła czytać książek i o książkach, to już w ogóle życie nie miałoby sensu – odparła stanowczo.

Wyłożyła mu swoją teorię o spółce autorskiej i Kasprzaku w roli jej współdziałowca lub tylko awatara. Patrzył na nią uważnie, ale bez wyraźnej reakcji. Pomachała plikiem kartek, które dla niego wydrukowała. Sama już przeszła na elektronikę, ale on niekoniecznie – zdradził się przy okazji kopiowania wypisów z facebookowych dyskusji.

– To są przykłady. Sporo mięsa przemieliłam, trzeba przyznać – dodała z dumą. – Na czytaniejestfajne.pl w dziale „kryminał–akcja–thriller–sensacja” jest w tej chwili czterysta dziewięćdziesiąt osiem podstron. Po trzydzieści książek na każdej daje niemal piętnaście tysięcy. Przerobiłam wszystkie, a do części znalezionych przykładów dosztukowałam informacje wygrzebane w necie.

– Imponujące – skomentował, choć bez spodziewanego entuzjazmu. Może obudzi go krótki, ale reprezentatywny wybór.

– R.D. Wingfield stworzył bardzo ciekawą postać detektywa Jacka Frosta – zaczęła od tego, co w pewien sposób kojarzyło jej się z Nawrockim. – Tytuły oryginalne są zbudowane na dosyć zabawnych grach słów, od nazwiska: *Frost at Christmas*, *Night Frost*, *A Killing Frost*, *A Touch of Frost*, *Winter Frost*. A angielski Mróz to taki niechluj, abnegat, roztargniony niezgula. Raz pomyślał, że powinien zapisywać ważne kwestie na karteczkach, ale uznał, że i tak zapomni, gdzie ma notatki albo że w ogóle je ma.

– Sandałów nie nosił? – Komisarz w mig załapał, co jej chodziło po głowie.

– Nie wiadomo, bo to było w grudniu: zimno i śnieg. – Zachichotała. – W każdym razie, gdy Wingfield zmarł, to James Gurbutt, wydawca z firmy, która publikowała serię, i pisarz Henry Sutton, pod wspólnym pseudonimem James Henry, postanowili opisać początki Frosta jako sierżanta.

Dalej opowiedziała mi o małżeństwie Jamesa A. McGoldritch i Nikoo Kofi Goldritch, którzy jako Jan Coffey tworzyli kryminały, jako May McGoldritch – romanse historyczne, jako Nicole Cody – romanse sensacyjne, a już pod własnym nazwiskiem, bez ściemy, napisali *Marriage of Minds*.

– Bez ściemy, tak sądzisz? – ożywił się.

– A co?

– Nic, nic. Podziwiam i zazdroszczę tego tytułu, *Małżeństwo umysłów*.

– PJ Tracy to matka i córka, Patricia i Traci Lambrecht. Jedna mieszka w Minneapolis, a druga w Los Angeles. Ciekawe, jak taki proces twórczy wygląda... Mildred Gordon, z domu Nixon, i jej mąż Gordon Gordon od lat pięćdziesiątych pisali kryminały, sensacje, scenariusze. Część pod pseudonimem The Gordons.

– Rodzice mieli sporo wyobraźni, gdy nadawali mu imię...

– To jest nic, chodziłam do gimnazjum z dziewczyną, która miała na nazwisko Laska, a na imię dali jej Tania. A wracając do Gordonów, Mildred zmarła w 1979 roku, on zaś rok później ożenił się ponownie – z Mary Dorr – i pod starym pseudonimem opublikował jeszcze dwie powieści, o Johnie Ripleyu. Niezwykle tajemnicza i naznaczona śmiercią jest historia sióstr Woźnickich. Urodziły się pod nazwiskiem Wicher, potem zmieniły je na Woźnicka i pod nim pisały, tłumaczyły, zajmowały się krytyką literacką. Ale pod pseudonimem tworzyły kryminały: Zofia trzy jako Emilia Cassa-Kasicka, a Ludwika jeden jako Emilia Cassa. Co ciekawe, były bliźniaczkami i przyjaźniły się z mamą bliźniaków, Jadwigą Kaczyńską, a Zofia została nawet matką chrzestną Lecha. Potem wyemigrowały do Londynu, gdzie w odstępie trzech lat popełniły samobójstwo, w ten sam sposób – skacząc przez okno.

Zaległa dość ciężka cisza, więc Jagoda przeszła do najpojemniejszego pseudonimu w dziejach – Carolyn Keene. Edward Tratemeyer zatrudnił łącznie dwanaście osób, płacił im po

sto dwadzieścia dolarów, za co rezygnowały z wszelkich praw oraz zobowiązywały się do zachowania poufności. Tworzyli serię o Nancy Drew, a najwięcej tomów napisała Mildred Wirt Benson.

– Przepraszam cię, ale percepcja mi siada – przerwał jej wyliczankę. – To tak, jakbym słuchał książki telefonicznej i to złożonej w dużej mierze z obcych nazwisk. Kiedy będę miał to przed sobą, na papierze, będzie mi łatwiej.

Podala mu plik, zważył go w rękę i powiedział z uznaniem:

– Jeśli zechcesz napisać pracę akademicką, to masz gotowy materiał i źródła.

Kluski z rosółem! Całkiem niezły pomysł!

– Na licencjat wystarczy na pewno, a może i na magisterkę – zgodziła się. – Nie mówiłam panu dotychczas, że jedną z najważniejszych osób, które mnie inspirują, jest Agnieszka Pietrzyk. Niewidoma od dwunastego roku życia, ale ma doktorat z literaturoznawstwa, napisała dwanaście powieści, w tym kryminały. Jeśli się naprawdę kocha książki, to nie ma przeszkód.

– Przekonałeś mnie, zbadam i twój trop, tylko najpierw poczytam ten skrypt.

– Nie trzeba się tego uczyć, po prostu starałam się uwiarygodnić tezę. A jeśli nie znajdzie to zastosowania do sprawy Kasprzaka, może zmobilizuje pana do odkrycia, czy Remigiusz Mróz sam wszystko pisze czy ma ghostwriterów, jak plotkują. Dawniej takich ludzi określało się mianem Murzynów, co bardziej by tu pasowało, lecz teraz to niepolityczne.

– Chyba jestem bezsilny w kwestii polskiego Mroza. Ale czy to ci coś zmienia?

– Nie, nie. Nawet Aleksander Dumas wynajął ponoć ghostwritera do *Trzech muszkieterów*. James Patterson rozwinął wręcz przemysł; pracuje na niego wielu autorów, a on dokleja ich do swojego nazwiska na okładce. Wobec Remka mam ambiwalentne odczucia, ale za samą Chyłkę rezerwuję mu miejsce

w sercu. Mogłabym ją nawet zagrać w serialu zamiast Cieleckiej. Oczywiście, gdybym była zdrowa.

2

Nawrocki siedział na komendzie, czekając na Marzenę Stachurską. Rano poprosił dyżurnego, żeby ją wezwał telefonicznie na Siemiradzkiego w charakterze świadka. Liczył, że nie odmówi, a przede wszystkim, że oficjalna forma zrobi na niej wrażenie. Zastanawiał się nad rozmową z Jagodą; miał nadzieję, że udało mu się nie odebrać jej poczucia istotności tego, co robi. Rzecz nawet nie w tym, że się nad nią litował czy jej współczuł (pewnie obraziłaby się, gdyby to okazał), ale podziwiał pasję i zapał okazywane podczas realizacji pomysłów. Nie za bardzo jednak wiedział, do czego miałyby mu się przydać wykonana przez nią benedyktyńska praca.

Zastanawiał się nad jedną z wariacji na temat jej teorii: czy Kasprzak, który zrazu bazował na pomysłach Skorusa, nie zaczął – gdy się wyczerpały – korzystać z pomocy ghostwritera, niezbędnej, a przynajmniej przydatnej niczym dodatkowa butla z tlenem. To byłaby sytuacja potencjalnie konfliktogenna, choćby w sferze rozliczeń finansowych. Nie było jednak żadnych śladów kontaktów pisarza z kimś takim. A przecież wymagałoby to ożywionej korespondencji lub rozmów, czego nie dałoby się wymazać z urządzeń elektronicznych. Jediną osobą, która mogła odgrywać taką rolę, bo stale była obecna w życiu Kasprzaka, jest Laura.

Dyżurny przyprowadził do jego pokoju Stachurską.

– Dzień dobry – powiedział komisarz, wstając na powitanie.

– Był dobry – rzuciła wojowniczo. Tym razem ubrała się w ciepły jasnoszary żakiet, a wokół szyi kilkakrotnie owinęła

szalik tej samej barwy, ale równie dobrze mogła założyć wojskową panterkę. – Dlaczego mnie pan tu wezwał? Żałuję, że dałam panu numer mojej komórki.

– Bo fatygowanie się do Łagiewnik, by wysłuchiwać pani kłamstw, wydaje mi się perwersją – odparł zimno. – Już lepiej, kiedy pani przychodzi tutaj z nimi. Liczę też, że będąc na komendzie, opamięta się pani.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi – odparła już nieco bardziej defensywnie.

– O niemal wszystkim, o czym pani ostatnio opowiadała, i o tym, co pani przemilczała. Okłamała mnie pani, że koleżanka odprowadziła panią na przystanek. Nie wyjawiała pani, że Kasprzak miał stragan na giełdzie przy Grzegórzeckiej, a musiał handlować także książkami wydawanymi przez panią.

– Nie widziałam związku ze sprawą.

– Musiałaby pani wtedy wyjawić, że знаła Macieja Skorusa, który był współnikiem Kasprzaka.

– Nie pytał pan o niego.

– Bo nie wiedziałem o jego istnieniu, ale on chyba wiąże się bezpośrednio ze sprawą.

– Skoro pan tak uważa...

Tą próbą ironii go poirytowała.

– Przecież nawet opowiadając historię Agathy Christie, pominęła pani podejrzenia, że chciała zemścić się na mężu, który ją zdradzał! Zameldowała się w hotelu pod nazwiskiem jego kochanki. Zdziwiłaby się pani, ale wiele pani łgarstw równie łatwo zweryfikować, jak sprawdzić w internecie biografię najsłynniejszej pisarki kryminałów w dziejach.

Do tej pory stali i szekali na siebie, ale ta wzmianka o Christie odebrała jej sporo animuszu. Opadła na najbliższe krzesło. Wit usiadł za biurkiem, skierowany do niej twarzą, demonstracyjnie włączył dyktafon i położył między nimi.

– Proszę mi opowiedzieć o pani czerwcowym spotkaniu ze Skorusem. – Blefował, ale założył, że tamten dotarł do Polski i nie zwlekał z załatwieniem sprawy ze Stachurską.

– Ale jakie spotkanie... co też pan... skąd pan wie?... – wyjąkała.

– Proszę mnie już nie okłamywać, bo prędzej czy później wyjdzie to na jaw. A jeśli będziemy mieli zwłoki Kasprzaka, to sama usytuuje się pani w gronie podejrzanych.

– Ten na Kujawach to Daniel? Naprawdę? – Zadrżała jej broda. Media informowały o trupie znalezionym podczas sadzenia lasu, ale co dziwne – nie powiązały tego ze zniknięciem pisarza dziesięć dni wcześniej.

– Nie powiedziałem, że chodzi o tamto ciało. Pani coś wie na ten temat?

– Nie, nie... co też pan! Tak tylko skojarzyłam.

– Proszę opowiedzieć o rozmowie ze Skorusem.

– Przyszedł z propozycją wspólnego wydania powieści.

– Jakiej?

– Ma tytuł *Drewno* i jest prequelem do sagi Kasprzaka, rozgrywającym się w epoce wojen napoleońskich. Wszystkie elementy heksalogii zostały tam wykorzystane, począwszy od głównego bohatera, który jest ojcem występującego w takiej roli w *Ogniu* Franciszka Miczyńskiego, po tajemne siły. W tym przypadku żyjące gdzieś w lesie na wschód od Krakowa.

Na wschód, czyli na terenach dzisiejszej Nowej Huty. Na przykład Kujaw. Stachurska chyba jednak nie zwróciła uwagi na tę koincydencję. Inna sprawa, że na wschód od miasta położona jest również Puszcza Niepołomska.

– Jak pani zareagowała?

– On zawsze był pobudliwy. Nie chciałam go prowokować, więc nie mówiłam, że to nieuczciwe, tylko że nie mam pieniędzy na proces. Nawet nie zdążylibyśmy na niego zarobić, zablokowaliby

sądownie sprzedaż książki i tyle. Tak było choćby z *Nocnikiem* Żuławskiego, gdy go Rosati zaskarżyła.

– O ile pamiętam, tam chodziło o zniesławienie.

– Tu chodziłoby o plagiat. To nie ma znaczenia; sąd wydaje takie decyzje dla ochrony interesów powoda. To chyba dobrze, że odmówiłam współdziałania w przestępstwie? A pan mnie traktuje jak współniczkę.

– Współniczkę w czym?

– Tak mi się powiedziało. Nie chciałam robić nic niezgodnego z prawem, a nawet nie fair wobec Daniela i Antonia.

– Jak zareagował Skorus?

– Powiedział, że bardzo się na mnie zawiódł. I poszedł. Nawet mnie to trochę zdziwiło, uspokoił się wyraźnie z wiekiem. Więcej go nie widziałam.

– Zwrócił się do kogoś innego?

– Nie wiem, ale nie przypuszczam, by ktoś przyjął jego propozycję. Może część wydawców to niezyciowi fantaści i dlatego trudnią się tym fachem, ale nie są samobójcami. A patrząc na sprawę czysto pragmatycznie: Skorus pisał tę książkę prawie osiem lat. Tak by nie doszedł do niczego, a wydawca razem z nim. Teraz liczą się ci, którzy są w stanie publikować kilka tytułów rocznie, a co najmniej jeden.

– Kasprzak ukradł pomysły Skorusa?

– Nie mam pojęcia. Byli kumplami, ale każdy pisał na własny rachunek.

– Jego postępowanie wskazuje na niesłabnące i autentyczne pretensje. Mogły go skierować w czerwcu do Kasprzaka?

– Ale nie po to, żeby zabijać. Nie wierzę, nie byłby do tego zdolny, to też artysta.

– To co według pani się stało?

– Może to taka sytuacja jak z *Misery*. Daniel zamknął heksalogię i komuś mogło się to nie spodobać.

Komisarz pamiętał film z genialną rolą kobiety, która uwięziła pisarza i zmuszała go do opisywania dalszych losów ukochanej bohaterki. Nie wiedział tylko, czy Stachurska robi z niego idiotę, czy jest odrealniona, jak część namiętnych czytelników. Niemożliwe dla niej jest zabójstwo z zemsty dokonane przez znanego nerwusa, ale bardzo prawdopodobne, że autora porwała psychofanka rozżalona zakończeniem cyklu książkowego.

– Słyszałem, że to teorie z internetu rodem.

– Trzeba się wsłuchiwać w głos ludu.

– Ale motywacja pokazana w *Misery* tutaj nie miałyby nawet sensu. Formuła tej sagi sprawia, że w tej chwili nie dałoby się jej kontynuować, ewentualnie za kilkanaście, dwadzieścia parę lat, gdy dorośnie następny bohater. Jedyna możliwość to przedstawienie wcześniejszych zdarzeń, co uczynił Skorus.

– Ale Daniel chciał odejść od heksalogii bardzo daleko. Pewnie już by do niej nie wrócił.

– Skąd pani wie?! – nie potrafił powstrzymać okrzyku zdziwienia.

– Traf chciał, że spotkałam go na Rynku kilka dni wcześniej, niż przyszedł do mnie Maciek. – Uśmiechnęła się, widząc jego zaskoczenie, ale szybko zmasała grymas z twarzy, zapewne uwiadamiając sobie, że to kolejna informacja, którą przed nim zataiła. – Normalnie udawaliśmy, że się nie widzimy, a wtedy podszedł do mnie i powiedział coś takiego zabawnego, że zapomniał zabrać z domu topór wojenny, więc jeśli ja jestem równie roztargniona, to może wypilibyśmy razem herbatę. Nie kawę, bo ona podnosi ciśnienie i mogłaby nam przypomnieć o przeszłości.

– I poszłicie na herbatę?

– Tak, do księgarni muzycznej, która ma kilka stolików, w tym jeden absolutnie uroczy, w oknie wystawowym. Ale ostatecznie piliśmy kawę.

– Nie podniosła wam ciśnienia?

– W ogóle nie nawiązywaliśmy do przeszłości. To jak pole minowe. Spytałam go o pisarstwo, stwierdził, że kończy heksalogię, co skłania do różnych innych zmian, między innymi specjalności.

– Co chciał robić?

– Pisać, oczywiście, ale coś innego. Miał naszkicowane dwie fabuły. Spodobała mi się zwłaszcza historia o wycofanym outsiderze, który wymyśla sobie dziewczynę i się w niej zakochuje. A potem spotyka ją w realu.

– Co to miało być, baśń?

– Nie, romans. Bohater nie stworzył sobie dziewczyny, jaką na przykład była ta panienka z komputera, którą widziałam w jakiejś amerykańskiej komedii w pierwszych latach wideo. Spotkał ucieleśnienie swoich marzeń, dziewczynę, która dowiodła mu, że rzeczywistość jest lepsza. To mogła być głębsza powieść, niż pan sugeruje.

– Nic nie sugeruję. A ten drugi pomysł?

– Kobieta wynajmuje prywatnego detektywa, żeby odszukał jej męża. Detektyw znajduje go nieżywego, a potem okazuje się, że to ona go zamordowała i chciała sprawdzić, czy zbrodnię da się wykryć.

– A więc nie chciał zupełnie odejść od kryminałów.

– To miała być raczej komedia kryminalna, pastisz. Nawet cytował mi króciutkie fragmenty: *Stałem przy oknie, obserwując niezamierzone prace archeologiczne na Krakowskiej. Jak Marlowe u Chandlera. To wszystko, co miałem z nim wspólnego. „Czemu wynajęłaś tak marnego detektywa?” – spytałem ją. „Bo policja jest jeszcze słabsza”.*

Stachurska uśmiechnęła się złośliwie i komisarz nie był pewien, czy sama nie wymyśliła na poczekaniu tego dialogu.

Już po jej wyjściu zaświtało mu pytanie, czy nie wymyśliła całej rozmowy z Kasprzakiem, aby odsunąć od siebie podejrzenia.

3

Prokurator Łukasz Szymański siedział w sali konferencyjnej komendy wojewódzkiej i z pobłażaniem obserwował przejawy hebefrenii za drugim końcem stołu. Który z asystentów na wydziale prawa określał tak ich brak koncentracji i gadulstwo podczas ćwiczeń? Nie wiedzieli wtedy nawet, że hebefrenia to choroba psychiczna.

Komisarz Nawrocki z podinspektorem Hadyną plotkowali w najlepsze, bo brakowało patologa i funkcjonariusza prowadzącego sprawę denata z Kujaw. Nie wtrącał się w pogawarki gliniarzy, liczących w sumie blisko sto lat, zresztą z Witkiem, swoim dawnym szkolnym kolegą, umówił się na rozmowę po zebraniu.

– Ty zawsze na posterunku, niezależnie, jakie stronnictwo akurat przy władzy – pokpiwał komisarz z zastępcy komendanta wojewódzkiego, który właśnie dostał awans na inspektora.

– Jestem apolityczny. Tylko Palikota nigdy nie lubiłem, bo kiedyś potwornie się strulem żołądkową gorzką. Ważne, z kim się pije – odciął się tamten. – Nawet nie staram się zrozumieć tego, co się tu od trzydziestu lat dzieje. Jesteś po politologii, to pewnie łatwiej potrafiłbyś to wytłumaczyć.

– Studia skończyłem, ale zawsze śmieszyło mnie postrzeganie polityki w naukowy sposób, uważałem to za aintelektualne. Nie da się analizować w oparciu o doktryny i idee działań ludzi, którzy bywają zakompleksieni, złośliwi, zazdrośni, podejrzliwi, są bajokami, egoistami. Słowem, mają wszystkie typowe ludzkie

wady, które nierzadko motywują ich postępowanie i decyzje bardziej niż założenia programowe. Tacy ludzie obsadzają wszelkie opcje.

– W tym jest równowaga. Dlaczego w takim razie PiS wygrywa tak, jak wcześniej nikt nie wygrał, i to po raz drugi?

– Bo to pierwsza partia, która dała ludziom kielbasę wyborczą do zjedzenia. Przynajmniej na taką skalę i w takiej ilości. *À propos* – Chrosteckiego zdmuchnęły zawirowania wyborcze?

– Przypuszczam, że wątpię. Za długo tolerował tę babę od kwiatków, choć mówiłem mu, żeby to przeciął. Poza tym jest jakiś syf z telefonami; członkowie związku zawodowego, mundurowi i cywilni, mają abonamenty w sieci Gadulec za dziesięć złotych, ale płacą do związku, a nie do operatora. Nie wiadomo, o co biega. Kowalski to administrator, ma posprzątać stajnię, a ja będę nadzorował pracę operacyjną komendy.

Baba od kwiatów to urzędniczka z komendy handlująca w gmachu przy Mogiłskiej storczykami od zaprzyjaźnionego hodowcy. Szymańskiemu zaiskrzyła szatańska myśl, czy lokalnego kolorytu nie odmalował w centrali ten, kto ma dzisiaj z tego korzyść. Zdusił ją jednak, nie jego sprawa.

– Lepiej zlikwidować bajzel samemu, zanim zrobią to inni – odezwał się zamiast tego. – Nie wiecie chyba jeszcze, ale właśnie dzisiaj w Rzeszowie zostało zatrzymanych pięciu wysokich oficerów policji, plus jeden w Białymstoku. Mam przeciek, bo śledztwo prowadzą ludzie od nas. – Chodziło o Małopolski Wydział Zamiejscowy Departamentu do Spraw Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej w Krakowie, ale nie będzie im recytował całej litanii, powinni się domyślić, o jaką jednostkę chodzi. – Zatrzymani to prawdziwe szyszki, naczelnicy lokalnego zarządu i szefowie wydziałów CBŚP, ten z Białego wcześniej w rzeszowskim CBŚP kierował wydziałem zwalczania zorganizowanej przestępczości narkotykowej. Do tego były

dyrektor rzeszowskiej delegatury CBA i były naczelnik tamtejszego wydziału Biura Spraw Wewnętrznych Komendy Głównej Policji.

Policjanci patrzyli w osłupieniu.

– Za co ich zawinęli? – wybąkał Hadyna.

– Chronili sieć agencji towarzyskich prowadzoną przez dwóch Ukraińców. W zamian korzystali z bufetu, barku i pań, w ramach barteru.

– Ale że gość z wewnętrznego był w tym gronie i miał pięciu kumpli? – Hadyna ochłonął i zdziwił się teatralnie. – Przecież oni nawet dostają specjalny dodatek „za niemanie kolegów”.

Szymański pewnie nie opędyłby się od dalszych pytań (a już nic więcej nie wiedział), ale zjawili się właśnie doktor Mariusz Obolewicz i starszy aspirant Andrzej Markowski.

Ten drugi zreferował raport otrzymany z laboratorium techniki kryminalistycznej, który choć dosyć długi, dałoby się streścić w jednym zdaniu: „Wszelkie ślady zostały zatarte przez tłumy przewijające się na miejscu zdarzenia, a identyfikacja na podstawie linii papilarnych jest niemożliwa wskutek braku tychże”. Poza przepytanymi pierwszego dnia mieszkańcami nie znaleziono żadnych nowych świadków. Zresztą i tamci nie widzieli nic podejrzanego.

Na razie się nie wtrącał, wiedział, że jeśli się okaże, iż to ciało zaginionego dwa tygodnie temu pisarza, sprawę przejmie Nawrocki. Była to dla niego szansa powrotu do konkretnego działania, a może i do komendy wojewódzkiej. Miał chłopak pecha, sporo wrogów, ale i cennych sprzymierzeńców w osobach Hadyny i Marcowej.

Obolewicz wiercił się niespokojnie, bo wiedział, że kluczowe jest porównawcze badanie DNA, a jego wyników jeszcze nie miał.

– Na dniach, jestem o tym przekonany, już w najbliższych dniach – powtarzał, odchrząkując, jakby ciężko przechodziło mu to przez gardło. – Mam za to dobre wieści dla pana – zwrócił się

z przymilnym uśmiechem do Nawrockiego. – Właśnie przygotowaliśmy pełny raport z sekcji Romana Doroza, denata, którego znalazł pan w mieszkaniu przy ulicy Mierniczych. Wiem, że wiąże się on z tą sprawą. Dzisiaj go panu prześlę.

– Jakie są przyczyny śmierci? – spytał komisarz.

– Zawał mięśnia sercowego. Niemal na pewno z przyczyn naturalnych, nie doszło do przemocy, ingerencji z zewnątrz. Zawał na tle miażdżycy tętnic wieńcowych. Klasyczne powody.

– A czy impulsem mógł być duży stres?

– Z tego, co wiem, technicy nie znaleźli w mieszkaniu śladu osób trzecich. Denat przebywał sam w mieszkaniu i oglądał telewizję.

– Owszem, ale mieszkanie mógł odwiedzić człowiek, który przeraził go samym widokiem.

– Coś jak duch? – spytał z niedowierzaniem Obolewicz.

– Człowiek, który jednak nie zrobił niczego, co pozostawiłoby świadectwa jego obecności. To oczywiście tylko teoretyczne rozważania – dodał Witek, ale ewidentnie miał jakiś pomysł.

Szymański zanotował w pamięci, żeby go później o to zagadnąć.

– Mógł zadziałać taki mechanizm. W sytuacji stresowej dochodzi do pobudzenia nadnerczy, wydzielających adrenalinę i noradrenalinę. Efektem ich działania jest fibrylacja serca – szybka i nieskoordynowana praca komórek, wzrost ciśnienia tętniczego, rozszerzenie źrenic oraz przyspieszenie oddechu. Wzmocniona akcja serca wymaga zwiększonej ilości tlenu. Gdy to zapotrzebowanie nie jest uzupełniane, dochodzi do jego niedotlenienia. To może spowodować czy przyspieszyć pęknięcie lub krwotok do blaszki miażdżycowej albo narastanie zakrzepu na jej powierzchni. W dziewięćdziesięciu procentach przypadków bezpośrednią przyczyną zawału mięśnia sercowego jest zakrzep, który powstaje w miejscu zwężonym przez blaszki miażdżycowe.

– Jak rozumiem, może pan stwierdzić podwyższony poziom adrenaliny u zmarłego?

– Tak. Roman Doroz miał w organizmie produkty intensywnej działalności nadnerczy. Nie wiemy jednak, czy tę działalność wywołało nagłe przerażenie czyjąś obecnością, jak pan sugeruje, czy przerażenie tym, że właśnie przechodzi zawał, który może go zabić. Z racji wieku i dolegliwości był w grupie ryzyka i najprawdopodobniej znał konsekwencje.

– A może obejrzał programy informacyjne w trzech stacjach i dysonans poznawczy spowodował ten stres – spuentował w swoim stylu inspektor Hadyna.

4

Kilkuletnia dziewczynka dzielnie (w pozycji niemal wyprostowanej) wspinała się na łukowaty mostek wznoszący się nad zwężeniem stawu w kształcie ósemki, mama pchała wózek, tata filmował dziecko smartfonem.

Nawrocki siedział z Jackiem Antoniakiem na ławce przy ścieżce prowadzącej do mostku, po prawej mieli pomnik ślepego harfiarza i podtrzymującego go chłopca. Obie niecki stawu, z porośniętą brzoza wysepką oraz wyłączoną przed zimą fontanną, dawniej nazywaną Wodotryskiem, zamiast wodą wypełnione były żółtymi liśćmi. Nieczynna była również, paryska w stylu, kawiarnia usytuowana nieopodal, w rozwidleniu alejek, więc usiedli tutaj.

Wydawca sam zaczął rozmowę od internetowego szumu na zamówienie, na który uwagę komisarza zwróciła Jagoda. Policjant napisał maile na otrzymane od niej adresy i spanikowane dziewczyny zwróciły się do Antonium.

– Przepraszam, bo poprzednio wprowadziłem pana w błąd – kajał się. – Dla mnie wynagradzanie za czytelniczy zachwyty to jak płacenie za seks. Zostawiam jednak wolną rękę mojemu działowi marketingu, uzgadniamy tylko ogólne założenia. Nie wiedziałem, że w przypadku *Smogu* postanowił skorzystać z tego instrumentu. Zostało to ustalone jeszcze za życia Daniela, ale prawdopodobnie nie z nim, tylko z jego partnerką, bo on raczej nie zgodziłby się na to.

– Sporo osób odczuwa równie dużą przyjemność z płatnego seksu...

– No tak. Doceniam promocję, dzięki niej wypłynąłem. Kiedy zaczynałem, szczyt popularności przeżywała akurat *nasza-klasa.pl*, więc wpadłem na pomysł, żeby na niej reklamować książki. Znaczący pomysł... Tak jak *Nasza Klasa* nie była oryginalnym pomysłem, bo wywodziła się z *classmates.com*, tak i promowanie różnych towarów czy przedsięwzięć też było zaczerpnięte stamtąd. W każdym razie obecnie zależność na tym rynku jest prosta: albo małe wydawnictwo i znany autor, albo nieznany autor i duże wydawnictwo, które może go spopularyzować.

– Większość rozmów na temat książek, jakie odbywam w waszym środowisku, prędzej czy później zbacza od twórczości do handlu.

– Tak to u nas wygląda, prawie jak w mięsny. – Antoniak wydał z siebie coś pomiędzy sapnięciem a śmiechem. – Musisz ludziom dać ze czterysta stron, żeby uznali, że im się opłaca. Książka może wyglądać na grubszą, kiedy zastosuje się papier objętościowy, który puchnie, choć szybciej jednak żółknie. No i musisz dać im towar, na który czekają. W przeciwną stronę działa to rzadziej; kształtowanie gustów przy naszych możliwościach jest trudne, o ile w ogóle realne.

– Sprzedają się książki dobre czy modne?

– Wolalbym nie wygłaszać autorytatywnych sądów. W każdym razie dobrze schodzą autorzy otrzymujący prestiżowe nagrody, od Nobla po Paszport „Polityki”. Młodzież czyta fantasy, dorośli – kryminały i romanse. Do tego książki autobiograficzne, podróżnicze, historia drugiej wojny światowej, Holocaustu, prześladowania w krajach muzułmańskich.

Słońce zachodziło za modernistyczny gmach, wyginający się kilkaset metrów dalej przy zbiegu Dunajewskiego i Garbarskiej. Bliżej mieli globus na szczycie siedziby Wydawnictwa Literackiego oraz budynek LOT-u z charakterystyczną, dwuelementową wieżą – już bez LOT-u, za to ciągle z redakcją Polskiej Agencji Prasowej, gdzie Antoniak udzielał jakiegoś wywiadu. Wit po odprowadzeniu Szymańskiego do prokuratury (trudno nazwać spacerem marsz wskroś wrących na Grzegórkach prac budowlanych) złapał go telefonicznie w PAP-ie i dlatego umówili się w pobliżu. Teraz spytał o spółkę autorską z Kasprzakiem jako awatarem, nie ujawniając, że koncepcja pochodzi od Jagody.

– Hu, hu, hu, przypomniało mi się to stare powiedzenie „bieda trzeba się dzielić” – wydawca zaśmiał się spontanicznie, a grzywka zsunęła mu się na czoło. – Może takie przedsięwzięcia były opłacalne w przeszłości, może nadal są na Zachodzie, ale u nas tort byłby za mały, żeby dla każdego ze spółki wystarczyło po kawałku.

– Pańska firma wygląda na zasobną.

– Tak, ale pana pomysł dotyczy przypadku pojedynczego autora, a nie skali biznesowej. A co do tego bogactwa, to nie branża, gdzie można mieć własny samolot, wyspę u wybrzeży Czarnogóry ani nawet maybacha. Dotyczy to nie tylko autorów, lecz także wydawców. Moja zamożność sprowadza się do domku w szeregówce na obrzeżach Krakowa i daczy w Myślenicach, ale to drugie to po prostu chałupa na Zarabiu, którą odziedziczyłem po dziadkach. Stawiam na kumulację środków w wydawnictwie,

dzięki którym będziemy mogli rozpropagować kolejnych autorów i powieści.

– Chodzi o to, że ci hipotetyczni członkowie spółki z twarzą Kasprzaka byliby anonimowi, więc teraz musieliby startować od zera?

– Dokładnie. Obecnie, gdy reklama jest religią, a sława fetyszem, nie miałyby to sensu. Już lepiej byłoby im pozostać pod tamtym szyldem. W dzisiejszym świecie, gdzie dwudziestoltnie modelki czy piosenkarze wydają autobiografie, w których opisują swoje obfitujące w wydarzenia, emocjonujące, przebogate życie oraz głębokie przemyślenia, nazwiska są brandami i na nich sprzedają się książki.

Nawrocki przypomniał sobie zniecała wykład z terroryzmu współczesnego, gdy profesor Chorośnicki cytował Sirhana Sirhana, który zastrzelił Roberta Kennedy'ego: „W ciągu kilkudziesięciu sekund zyskałem sławę, na jaką Kennedy pracował całe życie”.

– A gdyby ktoś przyznał się do zabójstwa Kasprzaka i do uprzedniego współnictwa przy tworzeniu jego książek? – spytał.

– To faktycznie przyniosłoby mu rozgłos, ale odtąd musiałby pisać w więzieniu i trudno byłoby mu tam czerpać profity z popularności i zwiększonej sprzedaży. To jak zarżnięcie kury, która długo mogła znosić jajka. Dotyczy to także mojego wydawnictwa. Co z tego, że teraz pojemy mięsa i rosółu, skoro nieporównanie dłużej mogliśmy odżywiać się nabiałem?

– A jeśli istnieją jakieś niewydane książki Kasprzaka?

– Jeśli pan je znajdzie, będę bardzo wdzięczny.

– Słyszałem, że coś planował, może już zaczął pisać. Może nawet napisał.

– Ja też słyszałem, od Daniela. Ale dla mnie streszczenie fabuły to jakbyś dostał zamiast chleba mąkę, drożdże i wodę. Nie wiadomo, co wyjdzie po upieczeniu i jak będzie smakowało. W powieści liczy się aura, która ogarnia czytelnika, sprawia, że

bardziej wciąga go akcja; zaczyna żyć życiem bohaterów, cieszyć się z nimi i smucić. Nie da się czytać książki, nie utożsamiając się z bohaterem; może to być mężczyzna, którym chciałbym się stać, bądź kobieta, w której bym się podkochiwał. Dlatego jego opowieści traktowałem z dystansem, czekałem na konkret, gotowy skrypt.

– Coś takiego ponoć ma Maciej Skorus.

– O czym traktuje? – Komisarz odnosił wrażenie, że Antoniak od paru minut delikatnie ironizuje. Ostatnie pytania zadał z uprzejmym zainteresowaniem, jakim sygnalizujemy, że pytamy przez grzeczność, bo w rzeczywistości temat niespecjalnie nas interesuje.

– Słyszałem o czymś w rodzaju prequelu heksalogii Kasprzaka.

– Jeśli go naprawdę napisał, bo on w dawnych czasach też lubił snuć bajdy na temat swoich zamiarów. Nie dopuścilibyśmy do dystrybucji czegoś takiego. Różne rzeczy się dzieją na tym zbójckim rynku, ale w tym przypadku prawo dałoby nam instrumenty do obrony.

5

Fragles zobaczył wczoraj Nawrockiego przez okno, jak lał gdzieś z Szymańskim, ale nie dałby rady zareagować. Zresztą prawie nic dla niego nie miał. I nie był pewien, czy to się zmieniło po późniejszej rozmowie z tym dilerem z komedii rodem, ale wypadło się dzisiaj do Wicia odezwać.

– Serwus. – Odebrał od razu, jakby czekał na jego telefon.

– Cześć, sorki za ciszę na łączach, ale skontuzjowałem się, grając w piłę w ubiegłym tygodniu i mniej mobilny jestem.

– Co się stało? – W głosie komisarza słyszał chyba autentyczną troskę.

– Mięsień na spodzie uda mi pierdyknął. Mam nadzieję, że naciągnięty, a nie urwany. Trzeba by zrobić USG, ale na razie nie mam na to czasu, bo utykam i wszystko robię wolniej.

– Niedawno czytałem w „Kurierze” o najstarszym człowieku świata, który umarł w wieku stu czternastu lat. Nawiasem mówiąc, Niemiec urodzony w Szczecinie. Przeżył wszystkie dzieci. Gdy za życia pytali go o receptę na długowieczność, mówił, że zawsze je masło, nigdy margarynę, zero alkoholu i papierosów, a sportem bardzo się interesował, ale go nie uprawiał.

– Łatwo ci mówić i jemu też, a ja mam skłonności do tycia i jeśli nie będę się ruszał, to zostanę kolejnym spaślakiem, który nie widzi fiuta zza brzucha. Ale z tym cholernym kulasem zostaje mi cymbergaj. Nawet jest klub u nas na Bieżanowie, spotykają się co tydzień w domu kultury przy Aleksandry, a teraz organizują mistrzostwa Polski.

– Ze sportów polecam też leżenie na kanapie, nigdy nie spadłem.

– Cieszę się, że humor ci dopisuje – odparł z goryczą.

– Naprawdę ci współczuję, Fragles. Nie dramatyzuj, tylko idź do lekarza, niech ci coś zaordynuje. Może wystarczy odpoczynek, żeby to zaleczyć. A jeśli mięsień jest jedynie uszkodzony, to trzeba zadbać o niego, żeby się nie urwał.

– Moja żona to samo mówi.

– Jeszcze raz wygrywa demokracja. Idź się zbadać. Zgaduję, że dzwonisz nie tylko po to, żeby się pożalić i posłuchać moich nietaktownych dowcipów.

– Coś tam mam dla ciebie, ale to może być wielkie nic.

– Liczy się strzał na bramkę. Dawaj.

– Tego Kasprzaka nikt nie zna, nikt go nie widział. Tak samo z tą kobitą, Stachurską. Co oczywiście nie znaczy, że nie mieli

innych dostawców. Żeby zamaskować, że tylko nimi się interesuję, pytałem każdego, czy nie sprzedawał znanym ludziom. Wczoraj dołapałem tego pajaca z Zabłocia. On też ani dudu, łajza kozaczyła nawet trochę, pewnie raz chciał się poczuć jak facet. Odpyskował mi, że ze znanych osób sprzedawał „pinka” lasce z greckiej knajpy koło Korony, co mu gyrosa podawała. Wpienił mnie tylko. Potem zatrybiłem, że dupa tego pisarza miała coś wspólnego z Grecją, ale znowu przypomniałem sobie, że to po prostu Greczynka.

– Pół Greczynka, pół Polka. I pracowała w greckiej restauracji przy placu Niepodległości. – Wicio wydawał się poruszony usłyszaną wiadomością.

– To czemu nie powiedział, że Greczynka?

– Na czole nie ma napisane, równie dobrze może uchodzić za dziewczynę z połowy krajów europejskich i za Polkę. Wyślę ci jej zdjęcie, spytaj go jeszcze raz.

– Dobra. Cieszę się, że na coś się jednak przydało użeranie z tym patafianem.

– Jak mogę ci się zrewanżować?

– Należy się złoty pięćdziesiąt. Ale spokojnie, rachunek przyjdzie pocztą.

6

Nie zwracał uwagi na otoczenie, ani w tramwaju, ani wysiadłszy z „pięćdziesiątki” na przystanku w tunelu. Dopiero gdy wydostał się z zabudowań dworca, zauważył, że z kwadransa na kwadrans, po wcześniejszym zapadnięciu zmroku, robiło się coraz chłodniej.

Myśli zapętały mu się wokół Laury i dzisiejszej informacji o kupowaniu przez nią różowej kokainy. To było właściwe skojarzenie z wymyślaniem i mieszaniem przez nią drinków...

A wśród problemów, które odżyły, torowało sobie drogę pytanie o przyczyny śmierci jej męża, Okońskiego. Mężczyzna miał problemy z sercem, więc nie przeprowadzono sekcji i nie wiadomo, czy zawał nie został wywołany przez substancje chemiczne. I jeszcze jedna kwestia, dotycząca październikowej nocy: na stoliku przy łóżku nie było szklanek. Czyżby umyła je, żeby zamaskować, że poza pastylkami 2C-B (lub zamiast nich) do alkoholu dodała Kasprzakowi inny środek?

W ostatnich dniach Laura wymigiwała się od spotkania, a wczoraj i dzisiaj w ogóle nie odbierała telefonu, więc postanowił do niej pójść. Mógł pomachać blachą w recepcji Smoczych Apartamentów i tak wejść, ale nie wiedział, czy ona jest w mieszkaniu, nie chciał też narażać się na afront, gdyby portier chciał sprawdzić, czy może go wpuścić. Zadzwoił domofonem przy bramce na zewnątrz.

– Słucham? – głos, który wyłonił się z chrobotów, niewątpliwie należał do Laury i był nietypowo dla niej odpychający. Gdy w poprzednich dniach spuszczała go po brzytwie, robiła to w miłych słowach i takimże tonem. Choć na razie nie mogła wiedzieć, że to on.

– Tutaj Wit Nawrocki. Wpuść mnie.

– To zły moment. Nie mam ochoty na żadne spotkania. Może to opóźniona reakcja na śmierć Daniela, ale wolę odseparować się od wszystkich, którzy mi o niej przypominają.

– Mam ważną sprawę.

– Znowu chcesz sobie zamoczyć?

Dzięki czytaniu książek miała niewątpliwie bogaty leksykon.

– Nie, teraz nie – zachnął się. – Chcę tylko pogadać.

– Poprzednio też przyszedłeś tylko pogadać, a skończyło się na tym, że mnie zerżnąłeś. I to dwa razy! – W jej głosie brzmiały nutki hysterii. – Nie jestem Ruth Wonderly z *Sokoła maltańskiego*, którą Sam Spade podejrzewał, ale to mu nie przeszkadzało z nią sypiać.

– Nie gramy w filmie, ochłoń – odparował. – Tyle we mnie z Sama Spade’a, co i z Humphreya Bogarta.

– Nawet nie wiesz, że to przede wszystkim książka Dashiella Hammetta! Jak mogłam pójść z kimś takim do łóżka!? – Jej coraz bardziej piskliwy krzyk ustał, kiedy stuknęła odłożona słuchawka.

ROZDZIAŁ 11

1

Prokurator Łukasz Szymański otrzymał raport z sekcji zwłok denata z Kujaw równoległe z policjantami zaangażowanymi w sprawę. Jeszcze nie zaczął na dobre czytać, a już skoczyło mu ciśnienie, bo przebiegając pierwszą kartkę wzrokiem, zauważył informację o zgodności DNA człowieka znalezionego podczas sadzenia lasu z DNA Daniela Kasprzaka, pobranym w jego mieszkaniu po zaginięciu. Ekipa techników wyodrębniła wówczas pięć próbek DNA w apartamencie pisarza przy Rakowickiej, wszystkie były tożsame ze sobą i z próbką pobraną z ciała zamordowanego.

Później przeskoczył na syntetyczny narkotyk nazywany 2C-B, wykryty w dużym stężeniu w organizmie denata. To musi być ta różowa kokaina, o której opowiadał mu Witek, zażywana tamtej nocy przez konkubinę Kasprzaka, Laurę Okońską. Jak pisał Obolewicz w raporcie, nie da się ze stuprocentową precyzją oszacować momentu, w którym denat zażył narkotyk, ale biorąc pod uwagę stopień częściowego wchłonięcia go przez organizm, na pewno nie stało się to tuż przed śmiercią.

Wrócił do początku i czytał raport dokładnie, akapit po akapicie.

Biały mężczyzna, rasy kaukaskiej, wzrost sto osiemdziesiąt centymetrów, waga osiemdziesiąt kilogramów, włosy ciemne. Brak znaków szczególnych, ale twarz, część szyi oraz wnętrza dłoni i palce spalone kwasem nadchlorowym. Oparzenia są bardzo głębokie, co wskazuje na długi kontakt skóry z substancją żrącą, a także metodyczność działania sprawcy.

Czas zgonu określony na siedem do dziesięciu dni przed znalezieniem ciała, czyli mógł umrzeć owej nocy, kiedy zaginął, lub nawet trzy dni później. Stan zwłok byłby podobny, jeśli w tym pierwszym przypadku znajdowały się w niskiej temperaturze. A biorąc pod uwagę, że za dnia na ogół było ciepło, ciało musiało być przechowywane w schłodzonym miejscu.

Przyczyna zgonu: zatrzymanie akcji serca o podłożu niekardiologicznym. Wywołane farmakologicznie bądź przez spowodowanie ostrej niewydolności oddechowej. Nie da się jednak stwierdzić uduszenia, ponieważ głębokie oparzenie szyi kwasem zatarło ślady fizycznego kontaktu. Kość gnykowa nie została złamana, ale nie wyklucza to duszenia.

Obolewicz udowodnił również wcześniejszą tezę, że do oparzenia kwasem doszło już po śmierci ofiary.

Szymański wezwał do prokuratury Nawrockiego oraz Markowskiego i aspiranta Bartosza Gomułkę, którzy dotychczas zajmowali się znaleziskiem na Kujawach. Zamówił też wszystkie materiały dotyczące Okońskiej i jeszcze przed przybyciem tamtej trójki komenda wojewódzka przekazała mu meldunek przysłany wczoraj z Grecji, o który Witek prosił półtora tygodnia temu. Informacje były skąpe; rodzina w Salonikach nie lubiła Kasprzaka i bardzo rzadko go widywała. W ciągu dwóch ostatnich lat – w ogóle. Natomiast dwie czy trzy osoby przepytane przez greckich policjantów na wyspie Naksos, zwykle będącej wakacyjnym celem

Okońskiej i Kasprzaka, opowiadały, że w tym roku niejednokrotnie widziały parę żywo się kłócącą.

Witek wyglądał, jakby brała go grypa, ale wymamrotał, że dostał właśnie dowód na to, iż Laura Okońska kupowała różową kokainę u handlarza narkotyków z Zabłocia. Znali się z restauracji, w której pracowała, a teraz diler rozpoznał ją na zdjęciu.

Wysłał ich więc, aby ją zatrzymali. Kupowanie narkotyków nie musi mieć na celu pozbawienia życia, ale była to ostatnia z łańcucha poszlak czyniących ją główną podejrzaną.

Okońska była ładna, blada, nieco przestraszona, zastrzegła, że nie zgadza się zeznawać przed przybyciem adwokata. Dla kontrastu Dawid Czerwiński z kancelarii ECUB (C to jego ojciec, Waldemar Czerwiński) był różowiutki jak prosiaczek, bardzo pewny siebie, ale podobać mógł się tylko kobietom, które prawidłowo oszacowały wartość jego kilkutyśięcznego, trzyczęściowego, granatowego garnituru w prążki.

W międzyczasie Witek się zmył, tłumacząc, że musiały mu zaszkodzić zmiany temperatur w ciągu doby. Jego obecność nie była niezbędna, jak się okazało – także dla niego, bo Okońska odpowiadała tak samo, jak w notatkach, które mu dzisiaj zostawił. W innej sytuacji prokurator pomyślałby, że przygotował ją do przesłuchania.

Jak refren powtarzała frazę: „Już mówiłam panu komisarzowi”, czasem basował jej adwokat. Szymański mimo to przewałkował jej małżeństwo z Okońskim, związek z Kasprzakiem, noc z niedzieli na poniedziałek, dwudziestego na dwudziestego pierwszego października.

– Jest pani pewna, że to nie wydarzyło się kilka godzin wcześniej? – spytał w którymś momencie.

– Przecież wezwaliśmy pogotowie, a oni na pewno mają zanotowaną godzinę zgłoszenia. – Wzruszyła ramionami.

– Owszem, ale czy nie wezwaliście go, kiedy już dawno było po wszystkim i zdążyliście wywieźć zwłoki? Zrobiliście to dla zyskania choćby częściowego alibi.

– My to znaczy kto?

– Pani i Roman Doroz.

– Przecież prawie go nie znałam, wcześniej tylko z widzenia.

– Nie żyje, więc nie może potwierdzić pani zeznań, ale też nie może obnażyć ich fałszu.

– Z całym szacunkiem, panie prokuratorze, ale czy pan do czegoś dąży? Bo w tej chwili wygląda to na nękanie mojej klientki. – Czerwiński usiłował przybrać groźną postawę, co przy kształcie i kolorze jego twarzy nie mogło się udać.

– *À propos* nękania, Roman Doroz jest kolejną osobą z pani otoczenia, która zmarła na serce.

– Byłam wtedy w szpitalu.

– Skąd pani wie, kiedy umarł?

– Powiedział mi komisarz Nawrocki.

– Zna pani Macieja Skorusa?

– Nie, nigdy go nie spotkałam. Słyszałam o nim tylko.

– Od kogo, komisarza Nawrockiego?

– Nie, od Daniela. Opowiadał kiedyś, że miał takiego kolegę o ksywie Szybki. Ale to było, zanim się poznaliśmy. Nie pamiętam nawet, skąd ten pseudonim, choć Daniel mi tłumaczył, ale niezbyt dobrze go rozumiałam.

– Mówił pani, że Skorus miał do niego żal i go znienawidził?

– Nie, wręcz przeciwnie. Przyjaźnili się i prowadzili razem stragan z książkami na bazarze.

– A jednak Skorus oskarżył pani partnera o kradzież pomysłów na powieść i chciał się zemścić. Miał dobry motyw, żeby go zabić, więc to on mógł być pani współnikiem.

– Nigdy go nie spotkałam.

– Wywiezienie zwłok na Kujawy było pomysłem pani, Doroza czy Skorusa?

– Nigdy nie byłam na Kujawach.

– Jest pani zadeklarowaną bibliofilką, więc sądzę, że to pani wymyśliła, aby ciało umieścić na terenie, gdzie sadzono las poświęcony Oldze Tokarczuk.

Wtedy Okońska się rozplakała.

– To oburzające, panie prokuratorze, złożę na pana skargę! – parsknął adwokat.

– Panie mecenasie, proszę się nie ośmieszać, doskonale zdaje pan sobie sprawę, że zadaję pytania, których wymaga śledztwo, wychodząc od znanych faktów i trzymając się przepisów. – Teraz to Szymański się wkurzył. – A jeśli pan nie potrafi tego ocenić, to proszę złożyć skargę i zrobi to za pana osoba, która będzie ją rozpatrywać na podstawie nagrania.

Osadziło to nieco Czerwińskiego, a poirytowany prokurator odchylił się na oparcie, zakładając ręce na piersiach.

Okońska po chwili odjęła dłonie od nieumalowanej twarzy i przetarła ją papierową chusteczką podaną przez adwokata.

– Dysponujemy zeznaniem osób, które widywały panią i Daniela Kasprzaka na greckiej wyspie Naksos – wznowił przesłuchanie. – Twierdzą, że w tym roku często się kłóciliście.

– Czy ja wiem, czy często? Mieliliśmy drobne kryzysy, jak wszystkie pary. Wiosną Daniel kończył książkę, był podminowany. Jesienią opadło już z niego tamto podekscytowanie, przeszedł trudny okres redagowania skryptu i przygotowywania do druku, a stresował się oczekiwaniem na premierę. Jak przy każdej książce, ale teraz szczególnie, bo zamknął cykl i zależało mu, aby skończyć mocnym akcentem.

– No i akcent był naprawdę mocny – skomentował bezlitośnie prokurator, a Laurze znowu zaczęła się trząść broda. – Denerwował panią?

Skinęła głową.

– Proszę odpowiedzieć.

– Tak, czasami – szepnęła.

– Tak żeby uderzyć?

– Nnie, nie.

– Otruć?

– Czym, arsenikiem? – chlipnęła. – To nie kryminał Agathy Christie.

– W dwudziestym pierwszym wieku tradycyjne trucizny można zastąpić dopalaczami i narkotykami. Na przykład „pink dust”, czyli „różowy pył”, który kupowała pani u pewnego dilerka.

– Kupiłam na własny użytek, to chyba dozwolone.

– Jeśli podała go pani Kasprzakowi, przyczyniając się do jego śmierci...

– Nie podałam; to, co zażywał, sam sobie kupił! – przerwała mu.

– W rozmowie z komisarzem Nawrockim stwierdziła pani, że Kasprzak kupował dla was obojga. Skłamała pani.

– Bałam się tego, co pan teraz robi – że będzie mnie obarczał winą za śmierć Daniela. Kupowaliśmy niezależnie od siebie.

– Jaki w tym sens? Gdy trzeba zrobić zakupy spożywcze, ustalamy z żoną, kto to robi i co jest potrzebne, żeby jedzenie się nie marnowało. Chyba że kupuje się jeszcze dla kogoś trzeciego...

– Panie prokuratorze, chciałby pan zasugerować, że moja klientka handlowała narkotykami, była pośrednikiem? – odezwał się milcząco od dłuższej chwili adwokat.

– Nie, to tylko pańskie słowa – zripostował Szymański. Rzeczywiście, chciał, żeby sama powiedziała coś w tym stylu, bo byłby to kolejny element nacisku. Czerwiński jednak miał pokaźny staż w opiece nad rozrywkową młodzieżą z dobrych domów i na hasło „narkotyki” działał w trybie alarmowym.

Pod pretekstem, że zrobiło się już późno, prokurator odroczył dalsze przesłuchanie do jutra. Może przez ten czas Okońska

skruszeje. Po wysłaniu jej z Gomulką i Markowskim do pomieszczeń dla zatrzymanych komendy przy Mogilskiej oraz odprawieniu protestującego adwokata zlecił badanie porównawcze narkotyku wykrytego u Laury i Kasprzaka.

Ciągle jednak nie rozumiał motywacji bohaterów tej sprawy.

2

Nawrocki minął czterokrotnie już przechrzczone zakłady farmaceutyczne, z nowym biurowcem o fasadzie z niebieskiego szkła, ale nieodmiennie produkujące jeden z przysmaków jego dzieciństwa: Vibovit. Szwendał się pomiędzy willami osiedla Oficerskiego. Niektóre były potężne jak międzywojenne odpowiedniki bloków, inne bardziej stylowe i wymyślne architektonicznie, ale wszystkie nastrojowe. Zwłaszcza teraz, po zmroku, w oprawie ogołoconych z liści gałęzi rozłożystych drzew, oglądane we mgle jak przez zaparowaną szybę. Niczym scenografia do filmu grozy albo ilustracja z tajemniczego kryminału.

Auć. Źle skręcił. To przypomniało mu o Laurze.

Usiłował wyprzeć z głowy wszelkie myśli o tym, w co się wpakował. Wzrok Laury, kiedy po nią przyszli, wydawał mu się pełen wyrzutu, ale to chyba projekcja jego wyobrażeń, równie dobrze mógł być wyzywający. W każdym razie bardzo mało mówiła, a bezpośrednio do niego – nic.

Przeszedł obok odsłoniętych wewnątrz ronda Mogilskiego ruin ceglanego fortu, w którym służyli mieszkający na osiedlu oficerowie. Wsiadł do tramwaju, ale ujechał zaledwie kilkaset metrów, bo przed mostem Kotlarskim doszło do jakiejś awarii. Rozejrzał się po wagonie: dwie książki, jedna gazeta, poza tym

smartfony. Starszy mężczyzna modlił się, obracając w palcach różaniec; Wit widział go już kilka razy, nosił hippisowskie wąsy aż do podbródka. Jakaś para patrzyła sobie w oczy i całowała się co kilkanaście sekund, melancholijna nastolatka gapiła się w okno, za którym jednak nie było widać żadnych szczegółów tonącego w mroku Ogrodu Botanicznego.

Wyciągnął z plecaka notatki od Jagody.

Na Nicci French składają się Nicci (Nicola) Gerard i Sean French – małżeństwo, które stworzyło wspólnie dwadzieścia pięć powieści, głównie thrillerów psychologicznych. Nicci była wcześniej dziennikarką, miała męża i dwoje dzieci. Rozwiodła się, a Frencha poznała w magazynie New Statesman. Sean też był dziennikarzem i dostał nagrodę dla młodych pisarzy. Znamienne, że oboje w tym samym czasie studiowali literaturę na Oxfordzie, ale nigdy się tam nie poznali, nie zauważyli. (Czyli pociągnęło ich do siebie dopiero to, że stali się ludźmi twórczymi, piszącymi!)

Niektóre informacje były opatrzone własnymi komentarzami Jagody.

Eliott Reed – Eric Ambler i Charles Rodda – pięć wspólnych książek w latach pięćdziesiątych (nie wiadomo, dlaczego Ambler występował pod pseudonimem; miał satysfakcjonującą karierę, pisał scenariusze – kilkanaście sfilmowanych – i książki, ale zrezygnował ze zdyskontowania tej sławy. Może chciał się sprawdzić?).

Zespół wybitnych fińskich pisarzy i scenarzystów, którzy publicznie nie chcą ujawniać swoich nazwisk, przybrał szyld J.K. Johansson. Bawią się konwencją, w Finlandii huczy od plotek, wszyscy chcą wiedzieć, kto kryje się pod pseudonimem. A J.K. Johansson do tego stopnia zintegrował się z rolą, że ma już swoją tożsamość i intrygującą osobowość: uwielbia seriale telewizyjne HBO, thrillery, książki o Muminkach Tove Jansson, dobrze napisane sceny erotyczne. Do swoich hobby zalicza jogę, krzyżówki, snowboarding oraz nałogowy stalking niewinnych (czasami niezupełnie) ludzi w sieci.

Jacek Dehnel i Piotr Tarczyński również zadbali o ciekawy życiorys i przyjemne hobby dla Maryli Szymczkovej, za którą się ukrywają. Wdowa po prenumeratrze „Przekroju”, królowa pizzingera, niegdyś pracowała w Piwnicy pod Baranami i była korektorką w „Tygodniku Powszechnym”, obecnie przesiedlona u Noworola i w Nowej Prowincji.

(Tutaj jako ciekawostka, niezupełnie na temat: od niedawna w serwisie czytaniejestfajne.pl figuruje Alex Wirr i jego „Maskarada”. To fejkowa książka – żart, happening, a może po prostu reklama czegoś, na co autor szuka wydawcy).

Jefferson Bass, autor serii „Body Farm”, to w istocie pisarz Jan Jefferson i antropolog sądowy, Nill Bass. Ich pierwszym zespołowym dziełem, jeszcze pod własnymi nazwiskami, był pamiętnik Bassa, ale później przerwali się na tworzone pod wspólnym pseudonimem powieści oparte na naukach kryminalistycznych – głównie antropologii.

David Michaels jest pseudonimem przypisanym do serii „Sprinter Cell”, „End War”, „Ghost Recon” i „H.A.W.X.”. Pod tym pseudonimem pisało co najmniej pięciu ludzi, ujawniono nazwiska Raymonda Bensa i Granta Blackwooda, a w 2013 roku objął to Peter Telep (co ciekawe, serie zaczynały się jako gry wideo, no, ale skoro kręcą filmy na podstawie komiksów, to można i pisać książki z gier...).

Podczas lektury wróciło stare wrażenie z mieszkania Kasprzaka, że coś nie tak jest z jego biblioteczką. Obcując z ludźmi, którzy pisarstwem się bawią, cieszą z jego owoców, przypominając sobie jednocześnie o autorach, którzy gotowi byli wydać zarobione gdzie indziej pieniądze, aby tylko zobaczyć własne książki – uświadomił sobie, co mu nie pasowało.

Chciał jednak jeszcze się upewnić, a może skonfrontować swoje wnioski z kimś o trzeźwej ocenie. Zator chyba został usunięty, bo z naprzeciwną nadjechał inny tramwaj, po kilku minutach ruszyła także ich „pięćdziesiątka”, ale Nawrocki opuścił ją na pierwszym przystanku za rondem Kotlarskim. Przeszedł przez niewielkie osiedle, na którym nie znalazł żadnej ławeczki, minął galerię handlową i usiadł przy bulwarze, tutaj wznoszącym się kilka metrów nad Wisłą. Po lewej miał most ze Smogu, w gęstszej nad

rzeką mgłę wyglądający prawie jak na okładce. Przemknęła mu przez głowę irracjonalna myśl, że w tym mleku będzie niewidoczny, a więc bezpieczniejszy. Za to powietrze w tym miejscu było bardziej zanieczyszczone i zimne.

Zadzwoił do Klaudii Bator, pierwszy raz od pięciu miesięcy. Od sierpnia nie rozmawiali w ogóle, nawet na żywo.

– Kopę lat, panie komisarzu – rozległ się w słuchawce jej niepewny, odrobinę zdziwiony głos.

– Serwus, dzwonię z krótkim biznesem.

– Może pan zająć nawet dużo czasu, nie odzywał się pan dawno...

– I vice versa.

– No, wie pan, różnica wieku i szarzy nie służy inicjatywie – odparła lekko kpiącym tonem.

– Miałem poczucie, że cię zawiodłem – wyrwało mu się niespodziewanie. Owszem, myślał tak od dawna, ale nie chciał się z tym obnażać.

– Moja mama mawia w takich sytuacjach: nie zdziwiał – westchnęła Klaudia. Wiedziała, że chodzi o ostatnią sprawę. – Nic nie był mi pan winien i nic nie mógł pan zrobić. Przecież sam pan dostał po głowie.

– Ale nie tak jak ty. Nie wiem, czy mogłem coś zrobić, ale na pewno nie zrobiłem.

– Nie widziałam żadnych możliwości. Nie mam do pana pretensji. Ale chyba nie zadzwonił pan, żeby to usłyszeć?

– No nie, choć trochę mi ulżyło. Do rzeczy: wiem, że byłaś w pierwszym patrolu, który przyjechał do mieszkania Daniela Kasprzaka. Oglądałaś jego pracownię, w której są też regały z książkami?

– Aha, Wacek mi to zlecił.

– Zauważyłaś najnowszą książkę Kasprzaka, *Smog*?

– Tak, wszystkie książki jego autorstwa stały szeregiem na półce, zamknięte w oszklonej szafce. *Smog* na końcu.

– A nie wydaje ci się to dziwne? Dzień czy dwa wcześniej dostał swoje najnowsze dzieło, świeżutko po wydrukowaniu. Ostatniego wieczora zresztą był w restauracji świętować to wydarzenie. Ale książkę schował głęboko na półkę.

– Wtedy nie przywiązywałam do tego wagi, dopiero w tamtym momencie skojarzyłam, że on był pisarzem. Kiedy jednak przedstawia pan sprawę w taki sposób, to ma sens. Moja twórcza praca ogranicza się do kaligraficznego wypisywania mandatów, ale Izka jak coś wyklei albo namaluje w przedszkolu, trzyma dzieło koło łóżka. – Klaudia parsknęła krótkim śmiechem.

– Dorośli aż tak bardzo się nie różnią, o ile mają czym się pochwalić albo są z czegoś dumni. A dla niego ta książka była takim samym szczytowym wykwitem aktualnych możliwości, jak przedszkolne wytwory twojej córki.

– Jeśli mówimy o dzieciach, to zabawny, ale infantylny wydał mi się ten plakat na ścianie, porównujący pisarzy do kotów – dodała, ale nie zwrócił na to większej uwagi, myśląc o czekającej go trudniejszej przeprawie z Kaśką Marzec. Umówili się z Klaudią wstępnie na spotkanie – dzwonią się w przyszłym tygodniu.

Zastępczyni komendanta miejskiego cierpliwie wysłuchała uzasadnienia, ale kiedy przeszedł do konkluzji, spytała uprzejmie:

– Czy ty nie cierpisz na męską odmianę menopauzy?

– Skąd taki wniosek?

– Bazujesz na przecuciach i wrażeniach, a na domiar złego zachowujesz się jak pod wpływem nagłych uderzeń gorąca. Mam zwrócić się oficjalnie do Komendy Miejskiej w Bolesławcu o zabezpieczenie i przesłanie DNA Macieja Skorusa z domu rodzinnego, w którym nie mieszkał na stałe od matury? I porównamy je z DNA faceta znalezionego na Kujawach?

- Właśnie to przed chwilą powiedziałem.
- Przecież jest wynik.
- Chcę go jeszcze sprawdzić. Wyjaśniałem ci dlaczego.
- To jak podgrzewanie cipy grzałką.

Na takie dictum już nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

– Szymański będzie zachwycony – mruknęła po chwili milczenia.

– Biorę go na siebie. Jutro mu wytłumaczę, że to moja fanaberia.

3

Łukasz Szymański w całej tej absurdalnej sytuacji był skłonny uznać, że kluczowa była znowu obecność sędziego Gerarda Karola. Opinia, że przypomina Jasona Stathama, była już dosyć powszechna w krakowskim świątku prawniczym – taki sam trzydniowy zarost, kanciasta twarz, ogolona, acz bardziej opalona niż u angielskiego aktora, czaszka z okalającymi łysinę śladami po włosach w postaci ciemnych kropek. Sędzia Karol wprawdzie nie niszczył podsądnych i jurystów pięścią, stopą tudzież pistoletem, ale ewidentnie przynosił mu pecha. Już drugi raz w ciągu pół roku.

Jeszcze wczoraj wszystko szło zgodnie z planem. Drugiego dnia po zatrzymaniu Laury Okońskiej przewieźli ją do Zakładu Medycyny Sądowej przy Grzegórzeckiej na identyfikację zwłok Kasprzaka. Biorąc pod uwagę stan ciała, nie miało to większego sensu z punktu widzenia zadeklarowanego celu. Twierdziła już wcześniej, że jej partner nie miał żadnych znaków szczególnych, teraz wzrost i włosy wydały jej się podobne. Szymański jednak liczył przede wszystkim, że kontakt z trupem w kostnicy zrobi na niej odpowiednie wrażenie. I tak się chyba stało, tyle że Okońska

z lekka odkleiła się od rzeczywistości. Gdy wrócili do prokuratury na Mosiężniczą, stwierdziła, że czuje się jak ci marynarze Odyseusza, lecz jej nikt nie przywiązał do masztu i nie zasłonił oczu i uszu. Reszta przesłuchania też nie była zbyt owocna.

Postawił jej jednak zarzuty, wysłał do sądu wniosek o trzymiesięczny areszt z obawy przed ucieczką i mataczeniem. Podkreślił, że jest podejrzana o morderstwo i wyjątkowo okrutne zbezczeszczenie zwłok.

Zbagatelizował rozmowę z Nawrockim, który poinformował go o porównaniu DNA denata z DNA Macieja Skorusa, które starają się ściągnąć z jego domu rodzinnego. Uznał, że dodatkowe badanie niczemu nie zaszkodzi, a może rozwiązać iluzoryczne hipotezy.

Sędzia, protokolantka, trzech policjantów, podejrzana, adwokat, prokurator. Modelowe posiedzenie w sprawie wniosku o zastosowanie tymczasowego aresztowania. Po serii pytań Gerarda Karola do Okońskiej ciągle był przekonany, że wszystko ułoży się rutynowo, ewentualnie sędzia nałoży krótszy, jedno- lub dwumiesięczny areszt.

Wtedy wstał Dawid Czerwiński i poprosił o zgodę na przedstawienie nagrania, które może mieć znaczenie dla postępowania.

– Czemu ma służyć to nagranie? – Zmarszczył brwi Gerard Karol. Nie lubił być zaskakiwany.

– Pokazuje, że prowadzący śledztwo policjant utrzymywał z moją klientką intymne relacje, które ona przerwała, a to wpłynęło na jego zachowanie wobec niej. Nagranie jest krótkie, proszę o poświęcenie pięciu minut.

Sędzia się zgodził, pączek zaniósł mu płytkę tanecznym krokiem, protokolantka włożyła ją do komputera, na którym pisała, a Szymański wstał.

– Wysoki sędzie, nie wiedzieliśmy dotąd o istnieniu tego nagrania. Mecenas Czerwiński i jego klientka dysponują całym zebrany przez nas materiałem dowodowym i tylko na jego podstawie może zapaść postanowienie o zastosowaniu aresztu. Jeśli druga strona przedstawia coś takiego w ostatniej chwili, jest to co najmniej nie fair, a nawet brzydko pachnie manipulacją.

– Proszę o wyjaśnienie – sędzia zwrócił się do Czerwińskiego.

– Ale to właśnie my baliśmy się manipulacji. – Adwokat przybrał poważny, niemal świętoszkowaty wyraz twarzy. – Skądinąd wiadomo, że prokurator Szymański i komisarz Nawrocki są szkolnymi kolegami...

– To oburzające! – Prokurator, który zdążył już usiąść, zerwał się i niemal krzyknął.

– Proszę o spokój – Gerard Karol zachował zimną krew, nawet nie podniósł głosu. Choć jak słyszał Szymański, grając w siatkówkę plażową po sześć, siedem miesięcy w roku, na boisku zachowywał się żywiołowo, skacząc i rzucając się na piasek. – Wysłuchajmy nagrania.

Już po kilku zdaniach, słysząc niemal proszący głos Nawrockiego, prokurator wiedział, że to zwiastun katastrofy. Kiedy z głośnika rozległo się: „Poprzednio też przyszedłeś, żeby tylko pogadać, a skończyło się na tym, że mnie zerznąłeś”, z boku doleciało do niego głucho stęknienie. Obejrzał się, ale to nie komisarz wydał ten dźwięk, tylko aspirant Gomułka. Witek siedział skamieniały, a takiego wyrazu twarzy nie miał nawet w dniu, gdy dyrektorka liceum chciała ich zawiesić w prawach ucznia. Od drugiej klasy mieli angielski dzielony na dwie grupy – zaawansowaną i podstawową. Nauczyciel jednej, po sprawdzeniu obecności i ewentualnym postawieniu ocen, wysyłał zaufaną uczennicę z dziennikiem do klasy, gdzie lekcję miała druga grupa. Przechwycili dziennik i w kiblu usprawiedliwili sobie

nieobecności, ale wychowawczynie zauważyła, że to nie jej długopis, a i wężyk został pociągnięty mniej pewną ręką.

To wspomnienie sprawiło, że częściowo odzyskał panowanie nad sobą.

– Wysoki sędzie, komisarz Wit Nawrocki prowadził sprawę domniemania zaginięcia i śmierci Daniela Kasprzaka. Jeśli wtedy wdał w niedozwolone relacje... nie wiemy też, czy nagranie nie zostało zmontowane... Sprawę o morderstwo lub współudział mamy od przedwczoraj, kiedy na podstawie badania DNA zostały zidentyfikowane zwłoki znalezione podczas sadzenia lasu Prawiek, mającego upamiętnić Nagrodę Nobla przyznaną Oldze Tokarczuk. Taki tytuł nosi jej słynna powieść... – jak uczeń starał się zagadać aferę.

– Dobrze, pojmuję – Gerard Karol przerwał mu, podnosząc dłoń. – Proszę wszystkich o opuszczenie sali, niedługo wezwę państwa na odczytanie postanowienia.

– Nie uwzględniam wniosku o tymczasowy areszt i postanawiam o zastosowaniu dozoru policyjnego – mówił sędzia, kiedy dwadzieścia minut później wrócili na miejsca. – Meldowanie się przez podejrzaną trzy razy w tygodniu na komisariacie policji wydaje się sankcją stosunkowo dotkliwą, a przede wszystkim zabezpieczającą prawidłowy tok dalszego śledztwa.

Szymański zerknął na Czerwińskiego – on nie uważał tego za dotkliwe, bo cały promieniał. Pączuś, kurwa. Okońska nie demonstrowała triumfalizmu ani nawet radości, tylko uważnie wpatrywała się w sędziego. Może jej się podoba. Na Nawrockiego starał się nie patrzeć nawet podczas przerwy, kiedy wyszli na korytarz. Przestał całą przy oknie, odwrócony tyłem do reszty, a Witek dobrze rozumiał, że nie powinien do niego podchodzić.

– Przedstawione nagranie nie wiąże się bezpośrednio ze sprawą, nie jest materiałem dowodowym, więc nie zostanie

dołączone do akt – kontynuował Gerard Karol. – Sąd prześle je jednak do zwierzchników komisarza Wita Nawrockiego, czyli do dowództwa Komendy Miejskiej Policji w Krakowie.

ROZDZIAŁ 12

1

– Ich zwiadowcy pojawiają się w miejscach nietypowych, a przynajmniej niekojarzących się z obszarami działania gangów. Mafia wnuczkowa działa inaczej niż handlarze narkotyków, porywacze, złodzieje. – Wpatrzono w niego twarze były uważne i życzliwe, ale nie przestraszone. Pewnie to i dobrze, bo seniorzy zgromadzeni w sali klubu przy Łużyckiej mają być odtąd ostrożniejsi, w niektórych sytuacjach nawet nieufni, ale nie powinni żyć w ciągłym lęku.

– Wypatrują starszych ludzi w aptekach, na cmentarzach; obserwują, dokąd wracają, czy mają pieniądze, czy są samotni. Z książki telefonicznej wybierają staroświecko brzmiące imiona, bo noszący je ludzie są częściej w zaawansowanym wieku. Później kontaktują się z nimi, stosując chwyt, które wydają się najodpowiedniejsze dla danej osoby. „Można korzystnie kupić dom, samochód, telewizor, tylko potrzeba gotówki, a sprawa jest niecierpiąca zwłoki”. „Babciu, miałem wypadek, ten pan nie wniesie oskarżenia, jeśli zapłacę mu odszkodowanie”. „Tutaj policja kryminalna. Ustaliliśmy, że w banku, w którym przechowuje pan pieniądze, działa wśród pracowników zorganizowana grupa przestępcza. Może pan uratować swoje środki, wypłacając je i przekazując policji. Nasz oficer spotka się

z panem w holu banku, przyjmie pieniądze w depozyt i wystawi pokwitowanie”. „Dzień dobry, tutaj menedżer do spraw operacji zagranicznych banku X. Oszuści próbowali dokonać przelewu zgromadzonych na pańskim koncie środków do Szwajcarii, ale ich zamiar nie powiódł się w pełni, bo nie mieli wszystkich danych. Zaraz zadzwoni ktoś z policji i powie, co robić, aby zabezpieczyć pieniądze”. Później człowiek podający się za policjanta prosi o dane do logowania, ale czasem robi to już przestępca, który zadzwonił jako pierwszy. Nie należy ufać takim telefonom, nawet jeśli numer wydaje się znajomy. Oszuści wykorzystują niekiedy technikę spoofingu, który polega na komputerowej zmianie numeru dzwoniącego – ręcznie wprowadzają numer, który ma się wyświetlić odbiorcy.

– Co wtedy robić? Dlaczego mam podejrzewać kłamstwo, skoro wyświetla mi się numer, który znam? – pytanie zadała pani z mnóstwem siwych loczków nad czołem. Siedziała w pierwszym rzędzie, więc prawdopodobnie zawczasu nastawiła się na udział w dyskusji.

– Należy zachować spokój i nie reagować odruchowo, spontanicznie. – Komisarz Nawrocki uśmiechnął się do niej. – Poprosić o czas, ale nie do namysłu, bo to z kolei może wzbudzić ich podejrzenia. „Mam garnek na gazie, pranie, które muszę rozwiesić, gościa, którego nie mogę zlekceważyć, gdyż byłoby to niegrzeczne. Proszę zadzwonić znowu za piętnaście, trzydzieści minut”. I wtedy dzwonimy do banku, który jakoby się do nas zwrócił. Jeśli okaże się, że to oszuści, bank spowoduje interwencję odpowiednich organów. Mogą państwo też sami zgłosić sprawę policji, a ona poinstruuje, co robić dalej, jak zastawić pułapkę na oszustów. Samo uniknięcie straty przez każdego z państwa jest ważne, ale to nie wszystko. Współpraca niedoszłych ofiar niejednokrotnie pomogła nam złapać przestępców, co uratowało wielu innych potencjalnych poszkodowanych.

Jego życie zatoczyło krótkie, ciasne koło. Tak ciasne, że dusiło, ściskając szyję... W ciągu niespełna dwóch miesięcy od policyjnych akcji edukacyjno-promocyjnych dla młodzieży wrócił do podobnych akcji, ale skierowanych do seniorów. Przynajmniej jeszcze go nie zwolnili i robi coś pożytecznego.

Zasadniczym problemem w walce z oszustami jest fakt, że słowo „okazja” stało się w polskich dziejach hasłem bojowym. Wykształtowane bardzo dawno, umocniło się w peerelu, mobilizuje ludzi niezależnie od wieku, środowiska, płci i stopnia zamożności. Dlatego należy działać na wyobraźnię.

– Wymienione przeze mnie metody oszustw nie są domeną tylko mafii wnuczkowej, ale skupiając się na niej, warto przytoczyć rekordowe wyłudzenia: dziewięćset siedemdziesiąt tysięcy złotych w Gdańsku, siedemset tysięcy w Warszawie, pięćset sześćdziesiąt tysięcy w Krakowie. Odebrane państwu środki są przeznaczone na luksusy i zbytki. Gości w domu poprzedniego króla mafii wnuczkowej, Arkadiusza Ł. – „Hossa” – witano ze złotą tacą, na której stały kieliszki i butelka szampana Dom Perignon Rose Vintage za osiem tysięcy złotych sztuka. „Hossa” udało się nam pojmać i osadzić w więzieniu, ale jest już nowy król, Karol M. – „Owal” – z warszawskiej Pragi.

Podczas prelekcji korzystał na równi z materiałów policyjnych, co z książki *Powiedz im, co masz, a zabiorą ci wszystko*, którą przeczytał w miniony weekend.

Przy takim audytorium należało się liczyć z większym krytycyzmem niż w przypadku młodzieży, choć może po prostu młodszy bywali bardziej inercyjni niż starzy, a seniorzy nigdy nie pozbyli się poczucia frajdy z rozpętania małej draki. O proszę:

– Tak pan mówisz, że trzeba wam pomagać, ale najlepiej byście zrobili coś sami, bo ja mam emeryturę mniejszą, żeby na was forsy starczyło. – Szczupły mężczyzna około siedemdziesiątki dla dodania sobie animuszu wstał z krzeselka w czwartym rzędzie.

Przypominał mu nieco nieżyjącego ojca, który jednak był niższy (co Wit po nim odziedziczył). – No sam pan powiedz, co wyście takiego zrobili, żeby ukrócić to złodziejstwo i chuligaństwo, które u nas w Krakowie jest?

Na taką ewentualność komisarz wypisał sobie na karteczce ciąg danych.

– W latach 2014–19 liczba przestępstw stwierdzonych spadła o 32,8 procent – z 26 813 do 18 017, a wykrywalność wyniosła 58 procent – o 10 procent więcej niż w 2014 roku. Przestępstw kryminalnych zdarzyło się w ostatnim roku 2156 – mniej niż w poprzednim. Tak zwanych przestępstw społecznie dokuczliwych – kradzieży samochodów, uszkodzeń mienia, kradzieży rzeczy, rozbojów, bójek, pobić, uszczerbków na zdrowiu – było 6817, o 720 mniej niż rok wcześniej. Przestępstw gospodarczych i wyłudzeń przy użyciu komputera – o 92 mniej. W 2018 roku mieliśmy ponad tysiąc interwencji dziennie, a na przyjazd policji trzeba było czekać niewiele ponad jedenaście minut.

– Nie mydlj mi pan oczu cyferkami, bo ja nie jestem ślepy i widzę, co się dzieje dookoła – odparował mężczyzna.

– Mam nadzieję, że jeszcze przekonamy pana o zaangażowaniu i skuteczności swoich działań, ale już dzisiaj 81,3 procent mieszkańców twierdzi, że Kraków jest bezpiecznym miastem, a 70,4 procent ma zaufanie do policji.

Tamten tylko machnął ręką, siadając.

– No dobrze, nie musi pan wierzyć służbom, ale może dadzą panu do myślenia naukowcy – nie poddawał się Wit. – Uniwersytet Pedagogiczny i Akademia Górniczo-Hutnicza przeprowadziły niedawno badania nad indeksem strachu. Wyniki są zadziwiające, bo mieszkańcy Wzgórz Krzesławickich i Borku Fałęckiego uważają swoje dzielnice za niebezpieczne, a według policyjnych statystyk właśnie tam jest najmniej przestępstw. Natomiast bezpiecznie

czują się mieszkańcy Podgórza, Prądnika Czerwonego i Krowodrzy. Tymczasem w 2018 roku na Wzgórzach było 281 przestępstw, a na Krowodrzy 983. Czy to nie tak, że postrzegamy rzeczywistość przez pryzmat dawnych doświadczeń, wyobrażeń, stereotypów? – Policjant rozłożył dłonie, patrząc wprost na skrzywionego sceptycznie mężczyznę.

2

Jagoda siedziała na korytarzu, w pobliżu emitującego przyjemne ciepło kaloryfera, i doszła do wniosku, że jest to jej najlepsza jesień od czasów szkoły podstawowej, na długo przed wykryciem choroby. Potem zawsze listopadowe załamanie pogody dodatkowo ją przygnębiało i potęgowało objawy SM. Ciemno, zimno i nawet jeśli do domu niedaleko (bo w nim spędzała większość czasu), to smutno. A zajmowanie się sprawą Daniela Kasprzaka dodawało jej energii i poprawiało samopoczucie. Była za to wdzięczna panu komisarzowi i miała nadzieję, że wreszcie będzie mogła mu pomóc. Zadzwoiła do niego rano, a kiedy wyjawiał, że ma pogadankę z seniorami przy Łużyckiej, natychmiast stwierdziła, że pojedzie tam, bo to tylko trzy przystanki. I rozłączyła się, odbierając mu możliwość zaprotestowania.

Spotkanie trochę się przeciągnęło, ale po dwunastej wreszcie z sali zaczęli się wysypywać ludzie; kilka osób przed drzwiami otoczyło Nawrockiego, którego po raz pierwszy widziała w mundurze – granatowym, z chabrowymi lamówkami i srebrnymi obszyciami. Na pagonach i trzymanej pod pachą czapce miał – usytuowane poniżej orzelka – trzy gwiazdki. Biała koszula i granatowy krawat.

– Szykowny strój – pochwaliła, gdy podszedł do niej. – Ale czy nie powinien być jaśniejszy?

– Mieliśmy niebieskie mundury, ale od wiosny wprowadzają granatowe, na wzór międzywojennych. Dostałem swój jako jeden z pierwszych, już latem, kiedy skierowano mnie do akcji edukacyjnych.

Na to nie było dobrej odpowiedzi; rozumiała, że znowu został odsunięty od swojej zasadniczej pracy. Należący do centrum kultury klub znajdował się na piętrze czworobocznego kilkudziesięcioletniego pawilonu. Wyjście z niego wiodło na zewnętrzny balkon, kręte schody i olbrzymie podwórko. Nieopodal była też jedna z filii Biblioteki Kraków, którą parę razy nawiedziła. Za to na zewnątrz pawilonu, wśród rozmaitych sklepów i zakładów usługowych, prosperowała pizzeria. Usiedli przy oknie, zamówili po herbacie z cytryną.

– Stary Kraków, jak stara Praga, najpiękniejszy jest wtedy, gdy mgła mu pomaga – zacytowała Jagoda. – Ta fraszka Jana Sztaudyngera sprawdza się też w przypadku postpeerelowskich osiedli.

Nawrocki uśmiechnął się tylko uprzejmie. Mundur przyciągał wzrok, obsługa lokalu i klienci zerkali na niego ciekawie.

– Nie wiem, czy wiesz, że nie prowadzę już śledztwa – odezwał się. – Nie mam możliwości działania ani nawet konkretnych informacji.

– Ale nie zostało zamknięte? Czytałam, że oskarżono partnerkę pisarza.

– Nie jestem pewien, czy jest winna, a jeśli tak, to jakich czynów, jednak mam wrażenie, że się obroni. Chyba jej nie doceniałem.

– Ta Laura wygląda na rasową femme fatale. Jak markiza de Merteuil, która wszystkich facetów wciągała nosem. Żałuję, że jej nie poznałam.

– Może wyszło ci to na dobre – mruknął Nawrocki.

Kluski z rosółem! Dotarło do niej, że popełniła faux pas. Artykuł, który czytała, nie zawierał żadnych nazwisk poza Kasprzakiem, ale była w nim wzmianka, że jeden ze śledczych prawdopodobnie utrzymywał dwuznaczne relacje z podejrzaną. To wystarczyło jednak, by pobudzić falę dociekań i spekulacji w necie, a jeszcze bardziej sprzedaż powieści – ludzie pisali wczoraj na fejsie i w dyskusji na czytaniejestfajne.pl, że *Smog* pokończył się w większości księgarni wysyłkowych, które odpowiadają na maile, że trzeba poczekać kilkanaście dni na dodruk.

– Przynajmniej nie jest pan bohaterem kryminałów Jo Nesbø, Harrym Hole'em – powiedziała pocieszająco. – W każdym tomie jakieś nieszczęścia spotykają jego i bliskich, doznaje uszczerbków na zdrowiu, a to kula w brzuch, a to ucięty kawałek palca. No i strasznie pije, co też mu dobrze nie robi.

– Bo ja wiem? Trudno znieść takie nieustanne tortury na trzeźwo.

– W każdym razie ta seria to obecnie niekwestionowany numer jeden na świecie.

– Zapamiętam. Mówiłaś rano, że masz dla mnie coś do poczytania?

– Tak, koleżanka przysłała mi kopie nagrodzonych opowiadań Kasprzaka i Skorusa z antologii, które zdobyła w przeszłości. Dublety są w oryginale. – Jagoda sięgnęła do plecaka i położyła na stole stosik papierów kilkunastocentymetrowej grubości. – W dobie, kiedy klient ma możliwość śledzenia przesyłek, odbiór paczki wiąże się z emocjami: ta dwa dni leżała w miejscu nadania i nie ruszyła się z miejsca. A potem przez trzy dni była w transporcie, choć została wysłana z Buska Zdroju, oddalonego o osiemdziesiąt parę kilometrów od Krakowa.

– Półtorej godziny jazdy w niesprzyjających warunkach – przytaknął komisarz, przesuwając w palcach plik.

– Na koniec mama znalazła po południu w skrzynce wystawione awizo, choć cały dzień byłam w mieszkaniu i jestem pewna, że listonosz nawet nie zadzwonił. Na jeden z tych zbiorów chciałam zwrócić pańską uwagę. – Postukała palcem w brudnożółtą okładkę książeczki wydanej przez Miejską Bibliotekę w Ełku, a Nawrocki posłusznie wziął ją w dłonie. – Kasprzak i Skorus byli tam *ex aequo* na pierwszym miejscu i dlatego koleżanka ma też opowiadanie tego drugiego, którym się specjalnie nie interesowała. Potem jeszcze raz stanęli razem na podium, choć wtedy Kasprzak był pierwszy, a Skorus drugi – te teksty są w kserówkach. W Ełku było też paru innych, którzy się później wybili, nawet ten wydawca Antoniak został wyróżniony, wszystkich można znaleźć na zdjęciach z uroczystości wręczenia nagród. Historia opisana przez Skorusa jest niesamowita; o facecie, który przywiózł z Ekwadoru indiański narkotyk, który na kilkadziesiąt minut, a nawet i ponad godzinę, zatrzymuje akcję serca. Stwierdzono zgon bohatera, a on potem wstał, otrzepał się i poszedł hodować nasturcje.

Komisarz patrzył na nią nieruchomo, rozszerzonymi oczami.

– Żartuję, żartuję. Nie mogłam się powstrzymać. – Podniosła ręce w obronnym geście. – W tym opowiadaniu, nawiasem mówiąc, od nazwy narkotyku nosi egzotyczny tytuł *Guayancamila*, bohater zostaje odwieziony do kostnicy i z niej ucieka. Podejrzani są ludzie zajmujący się transportem, zimny chirurg, pracownicy zakładu pogrzebowego, uważa się, że zwłoki zaginęły lub zostały ukradzione. Tymczasem facet żyje i działa mu się łatwiej, *incognito*. Zostało to fajnie skonstruowane, skondensowane na dwudziestu pięciu stronach, bo taki był limit długości wyznaczony przez organizatorów konkursu, a terytorialnie akcja jest rozpięta pomiędzy Krakowem a Vilcabamba w Ekwadorze. Niepotrzebnie

opowiadam panu fabułę, i tak pan to przecież przeczyta. Za dużo gadam, to u mnie kompulsywne.

– Nie szkodzi, streszczenie dało mi pewien pogląd. I jak rozumiem, uważasz, że ma to związek ze sprawą Daniela Kasprzaka, bo to jego zwłoki zginęły z mieszkania?

– W tym roku jestem pod dużym wpływem Michaela Connelly’ego. Ponoć tylko jego kryminały oraz Eda McBaina są akceptowane, a wręcz lubiane w Stanach przez policjantów, ze względu na swoją autentyczność i wierność realiom. Bohater Connelly’ego, Harry Bosch, w każdej części serii mawia, że nie wierzy w zbiegi okoliczności. Jego drugie sztandarowe powiedzenie to: „Liczą się wszyscy albo nie liczy się nikt”. Ale najlepsza historia jest z jego imieniem, bo naprawdę brzmi ono Hieronymus, jak u malarza. Imię nadała mu mama, która znowu...

3

Trochę bez sensu przesiadł się przy Dworcowej na „trójkę”, ale w „dwudziestce czwórce” nie mógł już wytrzymać. To był ten przegubowy tramwaj z obniżonym pomostem i schodkami, w których zawsze najbardziej grzali. Gorąco jak cholera, lustrzane odbicie lata, kiedy z kolei klimatyzacja była ustawiona na mrożenie. Kto tym kieruje? Chyba człowiek, nie komputer, bo maszyna miałaby więcej wyobraźni.

Był podminowany i rozkojarzony, sprawa Kasprzaka, z którą jakoś doszedł do ładu (chowając do szafy na trzecią półkę za najstarszymi, nieużywanymi ubraniami), znowu nim zawładnęła.

Żeby się uspokoić i skoncentrować, oszacował stan czytelnictwa w wagonie (sześć smarftonów, jedna książka i jedna gazeta, reszty nie widział, bo już zaczynały się popołudniowe godziny szczytu),

a potem odtworzył w pamięci artykuł o linii numer trzy czytany niedawno na portalu poświęconym dawnemu Krakowowi. Był to pierwszy tramwaj do Podgórze, uruchomiony ponad osiemdziesiąt lat temu, w czasie wojny, jeszcze pod zaborem austriackim, a niedługo po połączeniu obu miast. Tamta linia numer trzy nie kursowała do Nowego Bieżanowa jak teraz, ale za mostem skręcała w prawo i kończyła bieg w Rynku Podgórskim. Właśnie wjechali na jego ówczesną trasę w przeciwnym kierunku, wiodącą przez most Krakusa, zwany „trzecim” (za to był pierwszym w mieście, na którym ułożono szyny), i bez zmian aż do Dworca Towarowego, tylko wydłużono ją do Krowodrzy Górki.

Wysiadł przy Politechnice i w zapadającym z wolna zmroku przeszedł Szlakiem aż do Siemiradzkiego. Ciśnienie obniżone przez spacer szybko podnieśli mu na komendzie. Sierżant na dyżurce usiłował ukryć uśmiech, za to Grabek zaprodukował się teatralnym, kordialnym przywitaniem:

– Miło cię widzieć, Romeo! Czy ty nie krwawisz, Romeo?

– Gdy mnie pytają, czy wolę seks czy święta, zawsze odpowiadam, że seks. Ale jednak Boże Narodzenie zdarza się częściej – włączył się Buksa. – Zazdroszczę ci, Wiciu, że odkryłeś sekret, jak świętować w dzień powszedni.

– Może powinienesz z dyrektorem Bagateli się spiknąć – burknął komisarz Marcin Godlewski, zastępca naczelnika Wydziału Kadr, który przyplątał się do pokoju „papieży”. I bez tej aluzji do niedawnego skandalu z oskarżeniem o molestowanie i mobbing w teatrze, Nawrocki wiedział, że tamten otwarcie go nie znosi.

– Mnie też dawniej wszystko kojarzyło się z seksem. Jakoś tak w wieku pokwitania – rozległ się od drzwi głos zastępczyni komendanta miejskiego. – Ale odkąd ustabilizowałam swoje życie erotyczne, jestem mniej monotematyczna. Po koleżeńsku polecam panom to rozwiązanie. Jeśli człowiek w pewnym wieku zaczyna prowadzić własne życie seksualne, to zajmuje się nim, a przestaje

go interesować życie seksualne innych oraz stojące za nim intencje i motywy. Zwłaszcza wymyślone.

Dla Wita młodsza inspektor nie zarezerwowała bynajmniej cieplejszych słów.

– Jak ci się chciało ruchać, mogłeś to zrobić ze mną, miałabym chociaż przyjemność, a mam porotę – zrugła go, gdy już zamknęli się w jej gabinecie.

Nie rozmawiali po tamtym feralnym dniu, komisarz dostał tylko pismo o skierowaniu do akcji edukacyjnych i planie spotkań.

– Sądziłem, że mam wszystko pod kontrolą – bąknął.

– Goście, którym tak się wydawało, dzisiaj podsuwają alkomaty rowerzystom przy Kopernika albo z dymomierzem i analizatorem spalin tworzą front walki ze smogiem przy ruchliwych skrzyżowaniach. Niesmak jest, Witek. Taki niesmak, że ja pierdołę.

Uchwyciwszy lukę w irytacji szefowej, opowiedział jej o indiańskim preparacie zatrzymującym na pewien czas funkcje organizmu, o udawanej śmierci. Położył na jej biurku antologię konkursową.

Po spotkaniu z Jagodą był w domu: przebrał się, przeczytał dokładnie opowiadanie, pogrzebał w internecie. Jagoda nie zawsze trafiała w sedno, ale natłok przekazywanych przez nią faktów i anegdot uruchamiał różne czujniki, inspirował.

– Akcja rozgrywa się częściowo w Vilcabamba w Ekwadorze, gdzie istnieje kolonia amerykańskich rentierów, mieszkają tam nawet Polacy – tłumaczył. – Jednocześnie tubylcy żyją znacznie ponad średnią, jakby zażywali jakieś specyfiki bądź stosowali nieznanne rytuały. Wygooglałem to sobie właśnie. Ale kilkanaście lat temu, gdy Skorus pisał ten tekst, w sieci było nieporównanie mniej informacji. A tu jest mnóstwo rozmaitych szczegółów.

– Co sugerujesz? Że istnieje narkotyk zatrzymujący na zawołanie akcję serca? Coś jak środek nasenny?

– Niekoniecznie, choć skoro zdarzają się przypadki śmierci klinicznej, to teoretycznie powinno być możliwe sztuczne jej wywołanie, w sposób kontrolowany i odwracalny. Przede wszystkim jednak wskazuje to, że Skorus mógł być zamieszany w jakąś nielegalną działalność. To wszystko nie może być tylko owocem bogatej wyobraźni. Zresztą przed miesiącem mieliśmy realną zapaść i zniknięcie ciała.

– Przeceniasz rolę doświadczenia. Tematy, bohaterowie, zajmujące historie są wszędzie. – Styl bycia i odżywki, którymi Katarzyna Marzec uwielbiała bulwersować audytorium, zmyliły niejednego, ale komisarz wiedział, że szefowa ma analityczny umysł, a wśród emocji i burz potrafi być chłodna jak nos zdrowego psa. – W marcu zmarła moja osiemdziesięciosiedmioletnia sąsiadka, pani Irena. Była aktywna i ekscentryczna do końca swoich dni; piła tylko czarną, parzoną kawę, namiętnie paliła cienkie, mentolowe papierosy, których zapach unosił się po korytarzu, zawsze miała pomalowane paznokcie i nie wychodziła z domu bez czerwonej szminki na ustach. Była wdową po oficerze Wojska Polskiego, jeszcze dziesięć lat temu chwaliła się na korytarzu swoimi randkami i witalnością. Potrafiła mieszać z błotem akwizytorów, listonosza, polityków, a nawet księży. Ale nigdy nie traciła przy tym manier damy. Robiłam jej czasem zakupy, a w zamian częstowała mnie cudownymi opowieściami oraz radami w stylu: „Nowo poznanego mężczyznę najpierw przetestuj w samochodzie. Po pierwsze, powinien go mieć, po drugie, jeśli prowadzi go szybko, pewnie i przy tym bezpiecznie – spokojnie możesz z nim zgrzeszyć. Najlepiej w samochodzie”. Z rozmów z nią mogłaby powstać kopa takich opowiadań albo i książka. Szkoda, że już nikt ich nie napisze, bo bardzo za nią tęsknię.

– Jasne, ale jedno nie wyklucza drugiego. Poza tym Kasprzak nie miał żadnych tego rodzaju pamiątek z początków swojej

kariery pisarskiej, antologii konkursowych itepe. Zastanawiam się, czy ktoś ich nie zabrał, zacierając ślady.

– Witek, wierzę, że rozwiążesz jeszcze sporo spraw, złapiesz paru żłobów, ale wątpię, czy uda ci się z tą, a na pewno nie ze Skorusem. Przyszedł wynik porównawczego badania DNA z materiałem dostarczonym z Bolesławca i okazuje się, że to on był denatem z Kujaw.

– Czemu nie powiedziałaś mi od razu!?

– Trochę cię wypuszczałam, żeby sprawdzić, czy nie straciłeś ognia po tych wszystkich przejściach. Badanie DNA i identyfikacja Skorusa to przecież twoja zasługa. Dlatego udało mi się przekonać komendanta, żeby nie nadawał biegu sprawie dyscyplinarnej o to pieprzenie się z Okońską.

– Dzięki – wyjąkał Nawrocki. Fakt, że miał podejrzenia, iż znalezione przy sadzeniu lasu zwłoki mogą nie należeć do Kasprzaka, nie wykluczały zaskoczenia, gdy jego przecucia się potwierdziły. I trudno mu było zebrać myśli. – Jak Laura wyjaśnia, że w mieszkaniu było DNA Skorusa?

– Nie wie. To nie jej mieszkanie, tylko Kasprzaka. Nie przebywała w nim bez przerwy, wyjeżdżając do Grecji, opuściła je przed Kasprzakiem. Zresztą w tym czasie stało puste i nie wiadomo, co się w nim działo. A Skorusa nie zna.

– To nie powód, żeby nie oskarżyć jej o współudział w zamordowaniu go. Miała ten sam narkotyk w organizmie.

– Z badania porównawczego różowej kokainy znalezionej u niej i u denata wynika, że się troszkę różniła. To ta sama substancja, ale nie taka sama. Nie da się jej o to zahaczyć. Chcieliśmy też pobrać inne próbki DNA z mieszkania, żeby sprawdzić, czy wszystkie należą do Skorusa, jednak okazało się, że zostało wyczyszczone, a Okońska powiedziała, że zrobiła to wkrótce po powrocie ze szpitala, bo ślady nieżyjącego Kasprzaka przyprawiały ją

o depresję. Jego ciuchy oddała do PCK, zamówiła dezynfekcję lokalu. Szymański przedwczoraj sam zdjął jej sankcję.

O tym Wit nie wiedział, prokurator nie odzywał się do niego od posiedzenia w sądzie.

– Akurat przyjechała rodzina Kasprzaka, ale okazało się, że to nie jego zwłoki, więc nie będzie orzeczenia o śmierci i nie mogą nic zrobić w sprawie spadku. Były jaja – dodała Kaśka z nutą satysfakcji. – Okońska im powiedziała, że skoro Kasprzak w myśl przepisów może żyć, to ona na razie ma prawo pozostać w Smoczych Apartamentach. Miała jakieś rachunki za mieszkanie, które zapłaciła przelewem ze swojego konta.

– To znaczy, że poszukiwania mordercy Skorusa mogą być tożsame z poszukiwaniami zaginionego Kasprzaka.

– To nie twój problem i lepiej, żeby tak pozostało. Sprawę prowadzą Gomułka i Markowski pod kierownictwem podkomisarza Sulimy. Przekażę im twoje przypuszczenia i kopię tego opowiadania. – Postukała krwistoczerwonym paznokciem w antologię.

Sulima na pewno przyjmie je z entuzjazmem i wdzięcznością, pomyślał zgryźliwie Nawrocki, ale głośno powiedział:

– Jest tam zdjęcie wszystkich laureatów na scenie. Niezbyt dobrej jakości, więc trudno stwierdzić, czy Kasprzak i Skorus mieli podobne rysy, skądinąd wiem, że nie za bardzo, ale ich budowa ciała i wzrost były zbliżone, a włosy jednakowo ciemne. Nie widząc twarzy, trudno było ich rozróżnić.

4

Nie był to bardziej mglisty listopad niż poprzednie, lecz Nawrocki miał wrażenie, że zawsze gdy wychodzi smog, coś się dzieje

w sprawie Kasprzaka. Dzisiaj mgła zgęstniała, wygładzała kontury, za to śmierdziała spalinami. Powietrze miało charakterystyczny dla chłodnej pory roku, przynajmniej tutaj, metaliczny posmak.

Rondo, które miało łączyć Wita Stwosza z odnogą Rakowickiej, nadal było zamknięte. Można chociaż zaparkować, pomyślał, patrząc na dwa stojące tu samochody. Ciekawe, czy obsługa Strefy Płatnego Parkowania tym też się interesuje. Po niedawnej zmianie przepisów kierowcy, którzy przez aplikację w telefonie zapłacili za postój w strefie A (najdroższej), ale postawili samochód w B lub C, bo w tej pierwszej nie mogli znaleźć miejsca albo przez pomyłkę – dostają mandaty. Za to, że zasilili kasę miasta wyższą kwotą, niż mu się należała, muszą uiścić półtorej stówki kary, eufemistycznie nazywanej „opłatą dodatkową”. Poza telewizją polską wyśmiały już tę nedorzecznosc TV czeska, słowacka i austriacka.

Nie skojarzyłoby mu się to ze sprawą Kasprzaka, gdyby nie była równie absurdalna i nie sposób było dojść z nią do ładu (w przypadku strefy, jak się okazywało, nie wystarczyło nie wystawiać mandatów, potrzebna była ponowna korekta przepisów, a do niej specjalna uchwała).

Zadzwoił domofonem przy bramce, ale Laura nie odzywała się, więc poszedł na recepcję.

– Dobry wieczór, policja. – Błysnął blachą. Nie przedstawiał się na wszelki wypadek, choć było mu już wszystko jedno, czy informacje o jego wizycie dotrą do wierchuszki i czy poniesie za to konsekwencje. – Szukam pani Laury Okońskiej.

Ochroniarz zadzwonił, ale też nikt nie odpowiadał.

– Nie zauważył pan, czy wychodziła z mieszkania? – spytał komisarz.

– Mnie się nie opowiadała i nie widziałem. Za to widzę na monitoringu, że samochód przypisany do ich miejsca parkingowego ciągle stoi.

– Zobaczą sam. – Nie czekając na zgodę, poszedł do windy. Samochód Kasprzaka stał na podziemnym parkingu nieprzerwanie od dwudziestego pierwszego października.

Na dzwonek do drzwi nie było reakcji, nie słyszał żadnych odgłosów z mieszkania. Po sąsiedzku otworzył mu dwudziestoparoletni mężczyzna w garniturze, o którym już na pierwszy rzut oka Wit dowiedział się, że dopiero wrócił do domu i nie będzie miał nic do powiedzenia. Jego partnerka natomiast jeszcze pracowała.

Mężczyzna w kolejnym mieszkaniu był starszy i mniej formalnie ubrany, w koszulkę polo i spodenki do kolan. Na pytanie o Laurę uśmiechnął się porozumiewawczo i odparł, że widział ją dzisiaj.

– Akurat przyjechałem z firmy. Ciągnęła walizkę na kółkach, na ramieniu miała taką sportową torbę podróżną. A na ukos przewieszoną torebkę, tak że jej wybuliło cycki. – Przy tym ostatnim słowie, jak zmaterializowana komenda, za plecami faceta pojawiła się kobieta w jego wieku. – Nie wezwała żadnej taksówki, ani nic, więc jej zaproponowałem, że ją podwiozę.

Kobieta zmierzyła go nieprzyjaznym spojrzeniem i prychnęła, jednak się nie stropił.

– Odmówiła. Idzie tylko na dworzec i ma blisko. Oni zawsze byli wielcy państwo „ą-ę”, nie dali się zaprosić na grilla ani nawet na drinka. Co on ci to raz powiedział, Hanka? Ten pisarz? – odwrócił się do towarzyszki.

– Że ludzki żywioł odrywa jego uwagę od celów. Aspołeczne typy – prychnęła ponownie. – Zresztą rzadko ich się widywało, nawet na korytarzu.

Oblesny uśmiezek ostatniego rozmówcy przypomniał mu zdjęcie Laury w kostiumie kąpielowym, gdzie wyglądała ponętnie i młodo. Jej obecny wygląd kładł na karb traumatycznych przeżyć, ale teraz nawiedziła go myśl, czy po prostu zdjęcie nie było sporo

starsze. Wprawdzie daty modyfikacji pochodziły z kwietnia oraz przełomu września i października, ale nie oznacza to, że wtedy zostało wykonane.

Jednak po wyjściu z przejścia podziemnego, skręcając w Topolową, a potem w Zygmunta Augusta, nie zastanawiał się już nawet, dokąd mogła wyjechać Laura i co to oznacza dla śledztwa, ale czy on zachowuje jeszcze jakikolwiek pierwiastek zdrowego rozsądku w swoim postępowaniu.

Mam wrażenie, jakby ktoś ułożył fabułę, w której przyszło mi występować z ograniczoną własną wolą – dumał niewesoło.

Z naprzeciwka, wzdłuż ogrodzenia Parku Strzeleckiego, szło trzech mężczyzn ze Wschodu, mówili po rosyjsku lub ukraińsku. Jeden trzymał w uniesionej dłoni smartfona, gadał do niego, a pozostali dwaj rzęli jak konie. Widząc go, ustąpili miejsca na chodniku, a ten pierwszy odwrócił w jego kierunku ekran telefonu z mającą jasną postacią.

– Ułymbnjsia do diewoczki – zaśmiał się.

Komisarz obrócił się bokiem, aby go ominąć, a on podsunął mu smartfona przed twarz.

– No, ułymbnjsia – powtórzył prosząco. Wit mimowolnie zerknął na ekran, z którego patrzyła na niego dziewczyna z długimi blond włosami, w niebieskiej kurtce. Czyżby za plecami miała skrzyżowanie Rakowickiej z Topolową, które przed chwilą mijali?! W tym momencie poczuł potworny ból nosa, poleciał do tyłu. Następne uderzenie, rozbłysk w oczach i głębiej, w czaszce, a potem ciemność.

– No jak tam po reprezentacji? Bo ja tego nie rozumiem; mieli już awans, więc temu blondynkowi, który zadebiutował, powinien dać pograć dłużej, najlepiej od początku – Wacek zagadnął chłopaków, którzy zaczynali równoległe służbę. Jej na ogół nie wciągał w takie pogaduszki przy zmianie obsad patroli.

– Najbardziej udany debiut tego meczu to mojej nowej panny w knajpie. Prawie bezbłędna, zarówno w ofensywie, jak i w defensywie – zaśmiał się młodszy aspirant Jakub Maternia, najdowcipniejszy gliniarz na drugim komisariacie. – Nie wiedziałem, że tak się troszczysz o stan kadry.

– Z braku laku, dla mnie to okres przejściowy między formułą a skokami – odparł jej partner.

– A ty, Klaudia, wolisz skoki, piłkę czy wyścigi? – spytał ją Kuba, akcentując ostatnie słowo. Mieli regularny polew z tego, że Koziański nie pozwalał jej prowadzić radiowozu.

– Wyścigi?! Goście jeżdżą wkoło po kilkadziesiąt okrążeń, nikt nigdy nikogo nie wyprzedza, chyba że szybciej wyjedzie z postoju. Ludzie siedzą na trybunach i przed telewizorami, czekają, aż ktoś się rozwali.

Wyszła, nie czekając na odpowiedź, a za jej plecami komentowali jeszcze zastrzelenie przez policjantów w Koninie dwudziestolatka, który miał przy sobie metamfetaminę.

W wozie Wacek początkowo dąsał się za krytykę swojego hobby. Mieli przepatrzyć tyły dworca autobusowego i okolice starego tunelu. Od Białego Domku nie dało się na wprost przeciąć ulicy, bo przedzielała ją podwójna ciągła, więc Wacek wyjechał w Lubicz, ale na skrzyżowaniu nie skierował się w Rakowicką, tylko nawinął, a potem skręcił w pierwszą w prawo. Widząc tego faceta leżącego w poprzek chodnika na wysokości Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego, słabo otulonego rzadkimi tutaj i mocno prześwietlonymi przez latarnie kłaczkami mgielnej waty, Klaudia uznała oczywiście, że to pijaczek. Gdy się zbliżyli, zobaczyła, że

jego odwrócona w drugą stronę głowa spoczywa w ciemniej plamie krwi. Zrazu pomyślała, że to paradoksalne lustrzane odbicie statystyk, bo do przestępstw dochodzi najczęściej w promieniu pięćdziesięciu metrów od sklepów monopolowych, a ten ucierpiał w niewiele większej odległości od komisariatu. W drugim tempie dotarło do niej, że w tej zupełnie nieruchomej sylwetce jest coś znajomego. Wysiadła z radiowozu, obeszła ciało i zszokowało ją rozpoznanie zakrwawionej twarzy komisarza Nawrockiego, z którym właśnie wczoraj umówiła się na piątkowe wyjście na piwo.

Rysiek chyba wyczuwał mój nastrój. Zwykle zaraz po wyjściu z domu skakał do smyczy, próbując ją złapać zębami tuż przy ręce i wyrwać (choć prawdopodobnie było to zaproszenie do zabawy), potem przez pięć, dziesięć minut ciągnął mnie tak, jak jego kuzyni sanki na Alasce. Dzisiaj od startu powoli i dokładnie obwąchiwał słupki i kępki trawy, oznaczając wybrane krótkim strumieniem.

A ja niewesoło obracałem w myślach przedwczorajszy wieczór u Kamili. Zostałem oddelegowany na weekendowe targi dizajnu odbywające się w katowickim Spodku, o czym ona oczywiście wiedziała jako jedna z pierwszych. Ponowiła ofertę zaopiekowania się psem. Kiedy jednak w niedzielę po powrocie zjawiłem się u niej, aby go odebrać, przyjęła mnie w czymś, co nazwałbym szlafrokiem, gdyby nie było cieńsze od firanki i sięgało dalej niż tuż za pośladki. Odkrywało znaczną część piersi, a po tym, jak kilka razy ustawiła się w świetle ściennych kinkietów, miałem powody przypuszczać, że nie założyła w ogóle nic pod spód. Ciekłem od niej szybciej niż ciągnięty na smyczy pies. Kamila od dwóch dni nie zauważała mojej obecności w firmie, a ja nawet nie potrafiłem sprecyzować powodów swojego postępowania.

Czy jestem już kompletnie pokręcony? – rozmyślałem. Przestraszyłem się?! Czego? Zaangażowania? Przecież Kamili o nic takiego raczej nie chodziło. Chyba nie zacząłem bać się kobiet?

Miałem dość zdrowego rozsądku, żeby nie obwiniać Marzeny i naszego rozstania za wszelkie swoje lęki i uczucia. Zawsze uważałem się za szarego i nieciekawego. Sądziłem, że tak też jestem postrzegany przez płeć odmienną, ale w pełni mi to odpowiadało, bo miałem swoją miłość.

Przecież we mnie nic się nie zmieniło! Nadal w lustrze widziałem ciemne włosy, twarz wyrazistą, lecz nie urodziwą. Ciągle miałem też dosyć wysoką i niezbyt zgrabną posturę oraz także poczucie humoru. Najlepsze riposty i żarty przychodziły mi do głowy „na schodach”. Od pewnego czasu jednak spotykałem się z innym traktowaniem.

– Wierzę, że przynajmniej ty spędziłeś miło weekend – powiedziałem do psa, a ten szarpnęła i ruszył ścieżką pomiędzy sadem jabłkowym a łąką. Już dawno

zauważyłem, że Rysio na ogół nie rozpoznaje słów, tylko reaguje na nagłą bądź pytającą intonację, myśląc, że pan go pogania. Za to na „czekaj!” przystawał, aby można było wyciągnąć spod brzucha smycz, którą przekroczył jedną lub dwiema łapami. Natomiast gdy słyszał „spacer” albo „kupa” (odkąd powiedziałem: „musisz wyjść przed nocą, żebyś zrobił kupę”), dopadał mnie błyskawicznie i patrzył z bliska, z postawionymi uszami i przekrzywionym w lewo łbem.

ROZDZIAŁ 13

1

Święta Moniko! Patronko moja i matek nieposłusznych dzieci!! – Przycupnęła na skraju rzędu, przeżywając lekki szok na widok kilku wypindrzonych licealitek i ich nażelowanych kolegów, szukających kosza na śmieci na widowni, by wyrzucić opakowania po zeżartych chipsach. Ludzie młodszy od niej o pięć, sześć lat, o obyciu młodej jałówki, nieprzystający do ceremonii rozdania prestiżowych nagród książkowych. Teraz jeszcze zbliżyła się odwalona disko-laska z komorą między tipsami. Klika, popycha kolankiem i wyszczekuje „sooorry”.

– Chyba przepraszam? – grzecznie zwróciła się do niej zdębiała Monika.

– No, sorry to przepraszam. – Lafirynda, odwrócona tyłkiem do niej, przesunęła się na szpilkach w kierunku swojego miejsca.

Tak to jest, jak się robi imprezę w Sali Audytoryjnej ICE, która może pomieścić ponad tysiąc dziewięćset osób, i wpuszcza kogo popadnie, aby ją wypełnić. Monia wstała, rozejrzała się po sali.

– Przepraszam, czy mogę prosić panią o pomoc? – Podszedł do niej zaaferowany szpakowaty mężczyzna w smokingu. Ona była ubrana w czarną ołówkową spódnicę i białą bluzkę, a na lewej piersi miała dużą owalną plakietkę z imieniem – łatwo było

wywnioskować, że jest hostessą. – Nie rozumiem zapisu na zaproszeniu.

Mężczyzna miał miejsce w sektorze gości honorowych, usytuowanym w pierwszych rzędach, które jednak były demontowane, aby powiększyć scenę do trzystu czterdziestu metrów kwadratowych (wyglądała wtedy jak jezioro wśród wzgórz – widziała to kiedyś, pracując tutaj na festiwalu tańca latynoskiego). Dlatego te rzędy nie były uwzględnione w ciągłej numeracji, co mogło zmylić. Zaprowadziła go do właściwego miejsca.

– Powinienem się zorientować, jestem trochę rozproszony przez opóźnienie i różne tragicomiczne przejścia – sumitował się. – Leciałem z Okęcia samolotem, do którego przesiadały się kobiety podróżujące z Pekinu przez Dubaj. Wyszadź je jednak, bo mają przejść kwarantannę, w efekcie samolot godzinę stał na płycie, a i tak najprawdopodobniej była to nadinterpretacja załogi.

Coraz więcej słyszało się takich opowieści. O dzieciach ludzi wracających z Chin, skierowanych do szpitala Żeromskiego na obserwację, bo miały objawy przypominające zapalenie płuc. O Chińczyku z gorączką w Olkuszu, ze względu na którego zamknięto oddział, a personel poubierano w kombinezony i maseczki, jak w filmie o epidemii. Tych maseczek nie można było już znaleźć w aptekach ani w hurtowniach. Dzisiaj przed wyjściem oglądała w telewizji, jak ewakuowani z Chin Polacy wylądowali wojskowym samolotem we Wrocławiu i od razu przewieziono ich do szpitala MSWiA na obserwację.

Wróciła na wcześniejsze stanowisko. Do rozpoczęcia ceremonii wręczenia nagrody dla najbardziej ekscytującej serii kryminalnej XXI wieku zostało jeszcze parę minut. Kamery dwóch różnych telewizji nakierowano już na scenę. Nad nią, na ekranie o wielkości dwanaście metrów na sześć, od pewnego czasu wyświetlano sylwetki dziesięciu nominowanych autorów, a także

okładki ich powieści. Monika słyszała, jak dziunie komentują urodę i małżeński potencjał pisarzy.

– Temu Mrozowi mogłabym robić kanapki do roboty.

– Wygląda jak prymus. Poza tym on chyba przyszedł z tą blondynką, która obok niego siedzi, z tą Bondą.

– Najprzystojniejszy jest Kuźmiński, ma w sobie coś dzikiego.

– Nie ma do niego lotów, skoro on wszędzie z żoną. Wszystko z nią robi, nawet książki razem piszą.

Przerzuciły się więc na Chmielarza. Zwalczyła złośliwą chęć poinformowania dam bez matury, że on też jest żonaty – kiedy podsunęła mu tacę z powitalnym szampanem, sięgając po kieliszek, błysnął obrączką.

Jasne dotychczas światła nieco przygaszono, wiśniowoczerwone i ciemnoniebieskie pasma błędziły po sali, wywołując nastroj tajemniczości, ale i podniecenia.

Na scenę wyszła Agnieszka Więdłocha. Wcześniej nie zdradzono, kto będzie prowadził galę (bo skoro kryminały, to muszą być i sekrety), więc dla Moniki było to zaskoczenie, ale bardzo miłe. Lubiła ją z filmów i uważała, że subtelną urodą i klasą pasuje do takiej imprezy bardziej niż ci wszyscy opatrzeni i oklepiani telewizyjni prezenterzy. I prezenterki. Nie zgrywa dwudziestoletniej laski jak serialowe celebrytki, a jednocześnie nie brakuje jej ikry, energii i entuzjazmu.

– Dobry wieczór państwu – przywitała się Aga. – Zapewne zetknęliście się z pojęciem palindromu, czyli wyrażenia, które brzmi tak samo czytane od lewej do prawej i od prawej do lewej strony. Na przykład ze zdaniem: „Kobyły mi myły bok”.

Była ubrana w ażurową, koronkową suknię, z białą górą, granatowymi rękawami i sięgającą kostek spódnicą, a łobuzerski uśmiech, jaki pojawił się w tym momencie na jej twarzy, lekko kontrastował z tą stylizacją.

– A czy zauważyliście państwo, że dzisiejsza data też jest palindromem? Zero dwa, zero dwa, dwa zero dwa zero – wyrecytowała prowadząca wśród śmiechów tych, którzy byli tego świadomi już wcześniej, i pomruków zdziwienia innych, którzy dopiero teraz to dostrzegli. – To na dodatek palindrom uniwersalny, zarówno dla nas, jak i dla Amerykanów stosujących odmienny sposób zapisu dat. Ostatni raz taki palindrom zdarzył się blisko dziewięćset dziewięć lat temu – jedenastego listopada tysiąc sto jedenastego roku. Następnego palindromu raczej już nie doczekamy, nadejdzie dopiero dwunastego grudnia dwa tysiące sto dwudziestego pierwszego roku. Tym bardziej przeżyjmy resztę tego niezwykłego dnia pięknie!

Zerwały się oklaski.

– W moich latach szkolnych, kiedy dzień nosił ten sam numerek co miesiąc, na przykład ósmego sierpnia czy drugiego lutego, mawiało się „imieniny miesiąca”, ale dzisiejsza niedziela to imieniny tysiąclecia. Najlepsza okazja do rozstrzygnięcia plebiscytu na najbardziej ekscytującą polską serię kryminalną dwudziestego pierwszego wieku!

Kolejny uśmiech i następna seria braw.

– Ale najpierw wystąpi mój krajan z Łodzi, taki ziomal w tłumaczeniu na języki, no i partner z planu filmowego. Nie wypada mi uprawiać tutaj prywaty, więc nie powiem, gdzie zagraliśmy wspólnie ponad dwa lata temu. Ale mogę chyba nadmieniść, że film nakręcono według uroczej książki *Kochanowo i okolice* Przemka Jurka, którą gorąco polecam. A jeśli komuś się spodoba, to i tytuł filmu znajdzie. Piotrek Rogucki jest w nim perkusistą, ale na scenie centrum kongresowego tradycyjnie zaśpiewa!

Rogucki zawiesił w ubiegłym roku działalność Comy, nagrał z Karasiem album, który w przyszłym tygodniu będzie miał premierę. Zaczęli prezentować utwory promocyjne, a Monika

wyłączyła się na chwilę, zastanawiając, co jeszcze przydałoby się jej na siedmiodniowej wycieczce do północnych Włoch. W czwartek mieli lecieć z Mateuszem do Mediolanu, a potem nad jeziora Como i Garda. Poznali się na socjologii, lecz ona była dwa lata niżej i jeszcze nie skończyła studiów, a on od roku pracował w firmie HR. Dobrze zarabiał i miał gest, a w kwestii wydatków – niekonwencjonalne podejście do matematyki. Stwierdził, że skoro bilety kolejowe do Balic podrożały właśnie z dziewięciu na dwanaście złotych, to zamiast wykładać w sumie czterdzieści osiem w obie strony, bardziej opłaca się pojechać samochodem i zostawić go na parkingu. Nie przyjmował argumentu, że cena parkingu ciągle wynosi siedemdziesiąt złotych za tydzień, a do tego dojdzie koszt benzyny.

Mati był tak optymistyczny, że zwykle brał pod uwagę tylko kolorową stronę rzeczywistości. Ona martwiła się, że właśnie odkryto pierwszy przypadek wirusa w Niemczech, trzy we Francji, a w Chinach jest ich już cztery tysiące, w tym sto śmiertelnych, i pewna Chinka pochwaliła się na fejsie, że oszukała kontrolerów na lotnisku, bo chciała koniecznie dostać się do Francji, więc wzięła silne leki na chwilowe zabicie gorączki. On wyciągnął przedwczoraj newsa, że Światowa Organizacja Zdrowia postanowiła nie ogłaszać globalnego alarmu, uznając, iż COVID-19 nie będzie się już rozprzestrzeniał, a środki zapobiegawcze są wystarczające.

„To polowanie, to na wilki trwa obława
Śmiertelny bieg, skrwawiony śnieg, nadziei brak
Charkoczą wściekle psy, a my nie mamy prawa
Granicy przejść czerwonych, rozwieszonych flag”

– wywrzeszczał na koniec Rogucki w piosence, którą zaanonsował jako wykonaną po raz pierwszy piętnaście lat temu właśnie w Krakowie, gdzie zresztą studiował w szkole teatralnej.

– Mam dla państwa – i dla Piotrka! – anegdotkę *à propos* – wróciła na scenę Agnieszka Więdłocha. – Jerker Eriksson i Håkan Axlander Sundquist spotkali się przy okazji nagrywania płyty. Ten pierwszy to dźwiękowiec, drugi muzyk; Jerker wyprodukował elektropunkową płytę Håkana. Doszli do wniosku, że mają też inne wspólne pasje i teraz piszą kryminały pod pseudonimem Erik Axl Sund. Tę i wiele innych ciekawostek wyszperała konsultantka naszej ceremonii, Jagoda Kulig, czyli blogerka książkowa z „Baba Jaga patrzy”.

Wskazała dłonią promieniejącą dziewczynę w pierwszym rzędzie. Monika poznała ją przed imprezą; była jakby nieco pokrzywiona, chodziła o kuli, ale kręciła się wśród pisarzy jak dziecko na warsztatach w fabryce czekolady przy Sarego.

W obsłudze było więcej niebanalnych, żeby nie powiedzieć dziwnych postaci. Na przykład ta hostessa, na którą zwróciła uwagę już na odprawie, a teraz widziała ją na balkonie po lewej stronie. Szczupła blondynka z końskim ogonem i intensywnie niebieskimi oczami, ale twarzą nie oszukasz – ewidentnie należała do trzydziestoparolatki. Monika chciałaby mieć taką figurę za dziesięć lat, choć miała nadzieję, że w tym wieku nie będzie musiała zarabiać jako hosia.

2

Starsza aspirant Klaudia Bator wcale nie czuła się dobrze w stroju hostessy. Niby był dopasowany, ale niektóre mięśnie miała większe, niż przewidział projektant. A może po prostu odwykła od damskich ciuchów?

Przeskanowała wzrokiem kolejny fragment widowni. W piątek było zebranie na komendzie wojewódzkiej, dostała zdjęcia Daniela

Kasprzaka i Laury Okońskiej, także z wariacjami komputerowymi na temat rozmaitych fryzur, koloru włosów, zarostu, okularów. Niektóre wyglądały jak efekty tej aplikacji z Instagrama „jak będziesz wyglądał za X lat”. Uczyła się tego przez niemal cały weekend.

Wprawdzie pisarz i jego partnerka nie wiedzieli, że prokurator wystawił decyzję o ich zatrzymaniu, ale trudno było się spodziewać, że któreś z nich wyjdzie na scenę odebrać ewentualną nagrodę. Liczyli natomiast, że się pojawią, aby choć obserwować z bliska ten triumf. W drugiej połowie listopada i grudniu sprawą zaczęły grzać się media (może dlatego, że uspokoiła się wreszcie po wyborach scena polityczna). Pojawiło się dużo faktów, więc musiały mieć przecieki, jednak swoim zwyczajem dołożyły mnóstwo spekulacji, niektóre zupełnie od czapy, inne zaś całkiem prawdopodobne. Na przykład że Kasprzak, aby zwiększyć sprzedaż powieści, upozorował własną śmierć, wykorzystując do tego ciało swojego przyjaciela z lat studenckich, Macieja Skorusa, którego wcześniej zabił – w pojedynkę bądź z pomocą Okońskiej. Ewentualnie ona sama to zrobiła. Do pieca dołożyły rodziny Kasprzaka i Skorusa oraz przyjaciele tego drugiego z Londynu. Nawet jeśli motywacje przypisywane pisarzowi były zmyślone, to efekt został zrealizowany – sprzedaż *Smogu*, znakomita już jesienią, zimą jeszcze wzrosła. Nawet Klaudia kupiła i przeczytała książkę. Ujdzie, wykazuje facet dużo inwencji, ale ona przeżyła w maju wydarzenia, których nie byłby w stanie nawet sobie wyobrazić.

Szukali go za pośrednictwem greckiej policji, która dość dokładnie sprawdziła Naksos, gdzie para bywała często w przeszłości. Tam jednak było ponad dwa tysiące wysp i nawet jeśli tylko jedna dziesiąta zamieszkałych, to aby się na nie dostać, nie potrzebowali dokumentów, a Okońska nie miałaby problemów z urządzeniem się i adaptacją do otoczenia. Pojawiła się również

koncepcja, że na lewych paszportach wylecieli do Vilcabamba. Zwrócili się do Ekwadorczyków, jednak tamto miejsce jeszcze trudniej było spenetrować. Bogaci ludzie osiadają w nim, żeby mieć spokój, a miejscowi chętnie im go zapewniają, bo to się oplaca. Gdyby chcieli, nietrudno byłoby im namierzyć wśród emerytów parę trzydziestolatków. W każdym razie na pewno Okońska wcześniej przygotowała zejście „do podziemia”, gdyż na koniec października zrezygnowała z pracy w biurze podróży.

Prowadząca opowiadała o zasadach głosowania.

– W grudniu można było robić to SMS-em, ale tylko raz z danego numeru, oraz poprzez formularz na specjalnie utworzonej dla plebiscytu stronie internetowej. Ona z kolei dopuszczała tylko jeden głos z danego adresu IP. Możliwości sztucznego budowania poparcia zostały więc bardzo ograniczone. Nikt nie narzucał kandydatów, głosowało się na serie, a nie autorów, pod dwoma warunkami, aby cykl miał przynajmniej trzy części i choć jedna z nich została wydana w dwudziestym pierwszym wieku. Tak powstała ogłoszona pierwszego stycznia dziesiątka nominowanych: *Cztery żywioły Saszy Załuskiej* Katarzyny Bondy, *Jakub Mortka* Wojciecha Chmielarza, *Milicjanci z Poznania* Ryszarda Ćwirleja, trylogia Anny Kańtoch, *Saga rodu Miczyńskich* Daniela Kasprzaka, *Eberhard Mock* Marka Krajewskiego, *Anna Serafin i Sebastian Strzygoń* Małgorzaty i Michała Kuźmińskich, *Joanna Chyłka* oraz *Komisarz Forst* Remigiusza Mroza, *Lipowo* Katarzyny Puzyńskiej.

W akcji policyjnej uczestniczyło czternaścioro funkcjonariuszy. Nie dostali sektorów wyłącznie dla siebie, lecz po kilka osób przypadało na ćwiartkę sali, żeby oczy za bardzo się nie przyzwyczajały do konkretnej, ograniczonej powierzchni, nie „rozleniwiały” i nie prześlizgiwały po niej. Taki był pomysł podkomisarza Artura Sulimy, który dowodził całym przedsięwzięciem.

Widownia otaczała scenę z trzech stron, Klaudii przypadła, rozcięta wzdłuż, połowa trybuny głównej, jeden boczny balkon na poziomie pierwszym i dwa na poziomie drugim. Na szczęście, poza przerywnikami muzycznymi, światła były dosyć jasne.

– Zbliżamy się do rozstrzygnięć; przypomnę, że w styczniu każdy mógł zagłosować ponownie, ale tylko na kogoś z nominowanej dziesiątki. Tak powstała finałowa piątka, którą teraz podam... – Agnieszka Więdłocha zrobiła teatralną pauzę. – Ale oczywiście nie według największej liczby głosów – to się okaże dopiero na końcu... Również nie w kolejności alfabetycznej, jak zrobiłam w przypadku dziesiątki... Do finału dostał się Marek Krajewski, ojciec – a nawet ojciec chrzestny – współczesnego polskiego kryminału miejskiego, a jednocześnie kryminału retro. Remigiusz Mróz jako jedyny miał w dziesiątce dwie serie kryminalne, a do piątki przeszła ta o prokurator Magdalenie... O pardon. – Agnieszka Więdłocha uśmiechnęła się szelmowsko. – O prokurator Joannie Chyłce, rzecz jasna. Mróz to także król rodzimych box office'ów, ale w ostatnich miesiącach prymat odebrał mu Daniel Kasprzak. Z tego, co wiem, nieobecny dzisiaj na sali, ale osiągalny w czołowej piątce.

Przez scenę przeszedł pomruk. Złowróźbny? Aprobujący? Mimo wszystko czytelnicy chyba nie zniechęcili autora *Smogu*. Policja otrzymała informacje, że może wygrać plebiscyt.

– Kraków jest silnie reprezentowany, bo do finału zakwalifikowała się również małżeńska para autorska, Małgorzata i Michał Kuźmińscy. Specjalnie dla ich cyklu ukuto określenie etnokryminały, gdyż tworzą nowy, oryginalny nurt w popularnym gatunku. *And last but not least*, może nieco zaskakująco, lecz nie dla mnie! Anna Kańtoch, wcześniej znana jako autorka fantastyki, zabłysnęła trylogią kryminalną. *Łaska*, *Wiara* i *Pokuta* nie są uznawane za klasyczną serię, nie łączy ich wspólny bohater, ale

czytelnicy bardzo chętnie głosowali na nią, wpisując „trylogia Anny Kańtoch” lub po prostu tytuły książek.

Klaudia od pewnego czasu obserwowała kobietę w szesnastym rzędzie. Włosy miodowozłote, okulary, ale to wszystko da się osiągnąć sztucznie, natomiast sylwetką, kształtem ust i podbródka bardzo przypominała Ochońską. Kobieta już dwukrotnie wychodziła z sali – być może do toalety, aby poprawić charakterystykę.

Hostessy miały małe czarne torebki przewieszane na ukoś przez ramię. Wyciągnęła ze swojej smartfona i napisała SMS-a do Sulimy, podając numer rzędu i miejsce kobiety. Ustalili, że tak się będą komunikować, bo to mniej zwraca uwagę niż zestawy słuchawkowe i gadanie do mankieta.

Wkrótce dostała odpowiedź: *Daj se spokój, to już załatwione.*

Sucho i antypatycznie, gość nawet w krótkich wiadomościach tekstowych jest sobą. Ale jak załatwione?!

– A teraz zapraszam na scenę pana Tomasza Derenia, właściciela firmy Exhibition, która zorganizowała plebiscyt i trwającą galę! – obwieściła Wiedłocha.

– Dzisiaj cały świat mamy w telefonie, na wyciągnięcie ręki, ale nierzadko postrzegamy go jako coś nierzeczywistego. Tymczasem zawartą w dobrych powieściach fikcję przeżywamy dużo mocniej, realniej, nawet namacalnie. Miewacie tak państwo? – spytał retorycznie mężczyzna, który stanął za mikrofonem. – Na pewno tak jest z książkami znakomitych autorów nominowanych w naszym plebiscycie. Nie potrafię sobie poradzić z dylematem, czy najpierw powinienem podać jego zwycięzcę, czy zdobywców nagród rozlosowanych przez komputer wśród głosujących...

Odpowiedziały mu śmiechy, oklaski, okrzyki.

– No dobrze, nie będę dłużej droczył się z państwem, ogłoszę zwycięzcę, bo on jest jeden, a laureatów nagród – kilkudziesięciu.

Dereń zachowywał się swobodnie, jakby miał pokaźny staż w roli konferansjera.

– Zwycięzcą został Daniel Kasprzak i jego heksalogia!! W drugiej rundzie otrzymała dwieście czterdzieści tysięcy głosów!

Drugie zdanie utonęło w powodzi braw, gdzieniegdzie odzywały się gwizdy i buczenie.

– Zapraszam do nas Jacka Antoniaka, prezesa wydawnictwa Antonium, które publikuje *Sagę rodu Miczyńskich!*

Przy nieustającej owacji Antoniak pojawił się na scenie, przyjął gratulacje oraz złotą statuetkę od Derenia i Więdłochy, a gdy ci usunęli się w cień, stanął za mikrofonem.

– Bardzo dziękuję... – zaczął.

W tym momencie podszedł do niego Sulima flankowany przez Markowskiego i Gomułkę, a mikrofon wychwycił, jak podkomisarz mówi:

– Jest pan zatrzymany pod zarzutem zamordowania Daniela Kasprzaka, Macieja Skorusa i Laury Okońskiej.

Klaudia z jednakowym osłupieniem, co reszta widowni, obserwowała, jak Gumi zakłada wydawcy bransoletki, ten w odruchu przestrawu odrzuca głowę w tył, a ciemna grzywka spada mu na czoło i oczy.

3

To był bodaj najbardziej ponury dzień tej zimy w Krakowie. Kombinacja mgły, smogu i wilgoci we wszechobecnej oprawie szarości tworzyła nastrój dla samobójców. Trochę lepiej świat zaczął wyglądać po zapadnięciu zmroku, bo oświetlały go lampy.

Jak w *Daytime*, otwierającym płytę Jane, kiedy Bernd Pulst dramatycznym głosem śpiewa:

„Dzień nie jest moim czasem
Nie mogę zobaczyć nocy
Noc to właściwy czas
Bo ślepe są moje oczy”

Komisarz Wit Nawrocki przy każdym przymknięciu powiek widział ciała wydobyte niedawno z białego szlamu. Bez trudu rozpoznał włosy znalezionej najpierw kobiety i tę czarną sukienkę czy też tunikę, którą miała na sobie, gdy przyszedł do niej do Smoczych Apartamentów. Niżej był mężczyzna w bardziej zaawansowanym stanie rozkładu, spoczywający tu może nawet od pół roku.

Pomyślał o filmie *Szarada*, o którym wspomniała w pewnym momencie. Wygadała się czy usiłowała dać do zrozumienia, że coś się wydarzyło latem? Manipulacja czy desperacja?

Stał na pustej, cichej uliczce Zarabia, gdzie wyszedł już po raz drugi. Wcześniej dał sygnał o odkryciu zwłok i konieczności zatrzymania Antoniaka, teraz chciał spokojnie posłuchać raportu o efektach akcji w ICE. Miejsce było nieco oddalone od terenów wypoczynkowo-turystycznych nad Rabą, odsunięte też od właściwych Mysłenic. Sytuacja atmosferyczna lepsza niż w Krakowie, choć oni też mieli problemy ze smogiem. Ale teraz, w niedzielny wieczór, na pewno tu było zimniej.

Wrócił do posiadłości Jacka Antoniaka, wcześniej należącej do jego dziadków. Ogrodzenie z siatki obrastał od wewnątrz hodowany przez kilkadziesiąt lat żywopłot, więc z uliczki nic nie było widać.

Z przodu stał nieduży dom mieszkalny, z tyłu komórka czy graciarnia, a dalej stary silos, jak nazywali to technicy, a co komisarz uważał za rezerwuar na gnojówkę. W każdym razie było to betonowe pomieszczenie zatopione w ziemi, dawniej znajdujące się częściowo pod, częściowo zaś obok rozebranej obory i budynku gospodarczego, których ślady pozostały na powierzchni. Stąd

wniosek, że mógł służyć jako zbiornik na przefermentowany moczwierzęcy, wylewany później na pole. Rodzina Antoniaaka prowadziła tu gospodarstwo rolne.

Teraz murowany zbiornik miał na wierzchu metalową klapę przykrytą porąbanymi gałęziami i szczapkami drzewa, którymi pewnie palono w kominku. Wypełniony był gaszonym wapnem, w którym zatopiono zwłoki. W komórce obok znaleźli jeszcze parę worków z wapnem, taczki, łopaty. Dokoła był rozległy sad; Antoniak mógł udawać, że potrzebuje wapna do bielienia drzew albo do drobnych prac remontowo-murarskich, jeśli kupował worki po trochu w różnych miejscach.

Piknęła komórka. Dostał od Szymańskiego SMS-a wzywającego go do domu. Prokurator nadzorował rewizję, wcześniej wystawił nakaz i zakwalifikował ją jako czynność niecierpiącą zwłoki, więc niewymagającą obecności właściciela posesji.

Wszedł do środka, zdjął kaptur kurtki, pomacał nawykowo bliznę na potylicy. W listopadzie uderzył o kant podmurówki ogrodzenia Parku Strzeleckiego, wyłączyło mu prąd. Wstrząs mózgu, w szpitalu na dwa dni wprowadzili go w stan śpiączki farmakologicznej, ale na szczęście nie było poważnych następstw neurologicznych. Parę dni nieco bełkotliwej wymowy i sporadycznych wymiotów. Obawiano się o zaniki pamięci, ale niestety nie zapomniał tego, co by chciał. Została kilkunastocentymetrowa blizna i język na głowie, bo po tym, jak wygolili mu z tyłu fragment pod opatrunek i szycie, poprosił, żeby to samo zrobili z resztą czaszki, dla wyrównania.

Technicy zeszli do usytuowanej pod domem piwnicy, z której pobierali próbki dla porównania, czy był w niej przechowywany Maciej Skorus. W szafce w rogu pomieszczenia znaleźli litrową, oryginalną butelkę po siedemdziesięcioprocentowym kwasie nadchlorowym. Antoniak nie działał zbyt logicznie i rozsądnie. Po

co to w ogóle jeszcze przechowywał, skoro mogło posłużyć już tylko jako dowód dla organów ścigania? Nigdzie natomiast nie było rzeczy Laury, a przecież ze Smoczych Apartamentów wyszła ze sporym bagażem. Trzeba będzie sprawdzić kominek i obejrzeć sad przy dziennym świetle, bo albo to spalił, albo zakopał. No, chyba że gdzieś indziej wyrzucił bądź oddał.

Tym razem telefon, zerknął na wyświetlacz. „Szwagier”. Wyszedł z domu. Nie był pewien, jak przebiegnie ta rozmowa, wołał więc, żeby Szymański jej nie słyszał, nawet jeśli ich relacje znacząco się poprawiły.

– Serwus – odezwał się ostrożnie.

– Cześć, jesteś zadowolony? – Tomek Dereń, mąż jego byłej żony, miał wesoły głos, ale pytanie brzmiało trochę jak sarkazm i wyrzut.

– Tak, oczywiście. Kwestia raczej w tym, czy ty nie jesteś niezadowolony.

Bardzo ogólnie i pobieżnie wprowadził go wcześniej w plan policji, ale ten plan był wtedy zupełnie inny, na kogoś innego nakierowany i zakładający aresztowanie na widowni lub poza salą. O zmianach nie powiadomili nawet funkcjonariuszy biorących udział w akcji, poza Sulimą, a co dopiero organizatora gali.

– Skąd w ogóle taka wątpliwość?! Mówiłem, że mam u ciebie dług i chętnie coś zrobię, aby się odwdzięczyć. Zrobiłem, a tu się okazało, że jeszcze na tym zyskałem.

– Finansowo?

– Nie wydałem fortuny. Robię wspólne eventy z ICE, także z hotelem przy rondzie. Wynajem sali policzyli mi jako krótkotrwały – do czterech godzin, a to jest połowa stawki. Do tego rabat. Dwie dychy. Przy noclegach, które dałem pisarzom na dwie doby, hotel też poszedł mi na rękę. Nie ma bezpośredniego zwrotu z inwestycji, ale akcja była głośna przez dwa miesiące,

w pozytywnym kontekście. Pod koniec zainteresowała się nawet telewizja, a przy tym obrocie wydarzeń relacji będzie więcej. I dłuższe. Mówię ci, zrobię z tego cykliczną imprezę, oczywiście już na inny temat, bo nie da się co roku wybierać najlepszej serii stulecia. To będzie najbardziej prestiżowy plebiscyt na powieść gatunkową roku, niemającą aspiracji do literatury wysokiej! Dołożę inne kategorie plus autorów zagranicznych.

– Pokazówka na scenie w tym nie zaszkodzi?

– Skandal jest najlepszą dźwignią reklamy – zaśmiał się Dereń. – Nie moja firma go wywołała, nikt nas o niego nie obwinia i nie łączy z nim w sensie negatywnym. Winnymi są Antoniak, Kasprzak. Zresztą, to jak w tym powiedzeniu – nieważne, co, byle po nazwisku. A mój brand ciągle jest widoczny. Mówię ci, gdyby coś takiego się nie zdarzyło, trzeba by to było wymyślić.

ROZDZIAŁ 14

1

Grant leżał na wysokim szpitalnym łóżku i wpatrywał się w sufit z nienawiścią. Znał na pamięć każde najdrobniejsze spękanie i chropowatość na jego jasnej powierzchni. (...) Zapytał Karliczkę, czyby nie można trochę przesunąć łóżka, bo zyskałby do eksploracji nowy kawałek sufitu. Ale okazało się, że to popsułoby symetrię pokoju, w szpitalu zaś symetria szła tuż, tuż za czystością, a o parę długości przed dobrocią.

(...)

– Na tym świecie rodzi się o wiele za dużo ludzi i pisze się też o wiele za dużo. Maszyny drukarskie bez przerwy wyrzucają z siebie miliony i miliony słów. To potworne!

(...)

Nieźle by było, pomyślał sobie Grant, odwracając się z niechęcią od barwnego stosu [książek], gdyby tak wszystkie maszyny drukarskie zostały zatrzymane na okres życia jednej generacji, ot, takie literackie moratorium. Wtedy nie przysyłano by ogromnej kupy nowości człowiekowi leżącemu nieruchomo na wznak i nie wymagano, żeby te banialuki czytał.

Jagoda chichotała nad laptopem, wpisując cytaty z *Córki czasu* Josephine Tey. Trochę ludzi z wydawniczego półświatka mogłoby

sobie to wziąć do serca. Panna Elizabeth Macintosh, bo takie było jej prawdziwe nazwisko, twardo stąpała po ziemi, jak to nauczycielka gimnastyki i fizjoterapeutka (co zresztą w pierwszej połowie XX wieku też było dla kobiety zajęciem rzadkim i niebanalnym). Zaśmiała się znowu, zaczynając ciekawostki o autorce od tego, że pierwszą powieść zadedykowała swojej maszynie do pisania, gdyż to ona faktycznie ją napisała.

Dobrze, że mama tego nie widzi, bo przestraszyłaby się, że odbija jej od ostatnich emocji i wzruszeń. Choć pewnie udałoby się ją zagadać, że recenzuje powieść wybraną w 1990 roku w Anglii kryminałem wszech czasów, a pięć lat później w Stanach ulokowaną na czwartym miejscu. I w obu przypadkach wybierali zawodowcy, pisarze!

Wyśle linka panu Nawrockiemu, ma poczucie humoru, więc nie powinien się obrazić, ale docenić aluzję. Inspektor Alan Grant, który w *Córce czasu* prowadzi śledztwo w sprawie sprzed kilkuset lat, leży w szpitalu ze złamaną nogą. No, jej komisarz miał poważniejsze problemy. Nie zamieniłaby się z nim. Gdy poszła w listopadzie odwiedzić go do Rydygiera, był tak blady, że zlewał się z pościelą i opatrunkami. Nawet mówić za bardzo nie mógł. Ona za to tokowała po swojemu, tym razem pokrywając słowami własne przerażenie. Poruszając temat Kasprzaka, który rozwiął się w powietrzu, rzuciła z głupia frant, że ciekawi ją, czy odebrałby nagrodę, gdyby wygrał plebiscyt któregoś z portali internetowych na kryminał roku. A pewnie byłby faworytem za 2019.

Dzisiaj komisarz wpadł do niej z rana i dziękował za inspirację. On chyba ma coś wspólnego z tą firmą Exhibition. Głupio jej było zapytać, ale to raczej nie przypadek, że zatrudnili ją na umowę o dzieło jako konsultantkę przy organizacji plebiscytu i gali. Pieniądze zarobiła uczciwie, bo wniosła trochę pomysłów i sporo pracy. Zwłaszcza przy zliczaniu na bieżąco głosów w grudniu, gdy przy braku pierwotnej listy nominowanych głosujący wpisywali

bardzo różne nazwy tych samych serii kryminalnych, a czasem po prostu tytuły książek.

Ale też dostała cudowną premię, że mogła być w ICE i poznać swoich ulubionych autorów!

Zachichotała znowu i zerknęła po raz sto siedemdziesiąty dziewiąty na leżący na tapczanie zbindowany plik kartek, z widoczną za przezroczystą, plastikową okładką stroną tytułową:

Maciej Skorus

DREWNO

Jedyny egzemplarz papierowy! Pan komisarz powiedział, że oryginał zapisany w znalezionym na dacy Antoniaka laptopie Skorusa przekaze rodzinie właściciela. Choć nie ma szans, żeby mogli to opublikować.

Będzie jedną z niewielu czytelniczek. Może jedyną!? Czy coś lepszego może człowieka spotkać?

Ostatnio była tak podekscytowana nową książką, gdy miała się ukazać *Cari Mora* Thomasa Harrisa. Wcześniej poznała wszystkie jego powieści, serię z Lecterem czytała po kilka razy. A tu wracał po kilkunastu latach przerwy, z pierwszą premierą w jej czytelniczym życiu. No jasne, *Drewno* może być rozczarowaniem, zreflektowała się nieco. *Cari Mora* też nie wszystkim się podobała. Ale jej i owszem, choć odniosła wrażenie, że Harris, malując filmowe obrazy, pisał ją z myślą o ekranizacji.

Komisarz Nawrocki stwierdził, że skrypt *Drewna* jest dowodem wdzięczności, ale i zaufania. *Top secret!* Nie będzie mogła nikomu go pokazać, z nikim podzielić się wrażeniami. Będzie ciężko. Już teraz czuła, jak coś ją skręca. Ale dotrzyma słowa. Inna sprawa, że to zaufanie było rygorystycznie limitowane, bo dzisiaj usłyszała tylko o fragmencie śledztwa.

– Ja akurat wierzę w zbiegi okoliczności, ale postanowiłem pójść za przykładem swojego starszego kolegi z Los Angeles,

Harry'ego Boscha, i chwilowo uznać, że ich nie ma – powiedział pan komisarz.

– Nie wiem, czy starszego, jest niższy stopniem – odparła.

– W samych książkach rozwiązał więcej poważnych spraw niż ja w ciągu osiemnastoletniej kariery w policji, więc oddaję mu palmę pierwszeństwa.

Wyraźnie był w dobrym humorze.

– Po pierwsze, skoro DNA z kilku próbek zebranych w Smoczych Apartamentach należało do Skorusa, to on musiał tam mieszkać w ostatnim okresie. Nie dałoby się tego podłożyć, zastąpić wszędzie, nie sposób wytypować wszystkich punktów, gdzie technicy pobiorą próbki. Była tylko jedna droga: dezynfekcja po wyprowadzeniu się Kasprzaka, a potem stosunkowo długi pobyt osoby, która zostawiła ślady, czyli Skorusa.

– A gdzie wtedy był Kasprzak?

– Najprawdopodobniej już go nie było... – Wit Nawrocki zawiesił głos. Raczej nie poruszał z nią otwarcie motywów zabójstw, śmierci, co było trochę śmieszne, zważywszy nie tylko na jej odczytanie, lecz także internetową dostępność wszelkiej makabry, nawet dla dzieciaków.

– To Skorus schował do szafki autorski, nowiutki egzemplarz *Smogu*, bo go drażnił. To Skorus musiał powiesić na ścianie gabinetu grafikę o kotach, aby patrzeć na nią podczas pisania – wyliczał pan komisarz. – Kasprzak był na to zbyt sztywny, miał inne poczucie humoru. To wskazuje, że Skorus musiał tam mieszkać co najmniej kilka tygodni, może przez większość lata. Dlatego Laura nie miała w smartfonie żadnego wspólnego zdjęcia z Kasprzakiem z ostatniego roku. To ze Skorusiem była w Grecji na przełomie września i października, a oni jednak różnili się wyglądem. Dlatego jesienne zdjęcia udawały te zrobione w 2018 lub nawet 2017 roku.

Już miała wrócić do recenzji, którą dzisiaj chciała powiesić na blogu, ale zrobiła błąd, zaglądając do paru serwisów informacyjnych, a one na dobrą chwilę odebrały jej chęć do jakiegokolwiek pracy.

Odkryto właśnie, że wirus COVID-19 utrzymuje się w organizmie człowieka przez czternaście dni. Wśród osób ewakuowanych z Pekinu i izolowanych we Wrocławiu nie znaleziono go, ale w Chinach było już ponad dwadzieścia tysięcy zakażeń i czterysta ofiar. Chińczycy dopiero po czterech tygodniach ogłosili, że wirus przenosi się z człowieka na człowieka. Ktoś ze Światowej Organizacji Zdrowia skomentował to uszczypliwie: „To i tak postępek, bo w 2002 roku po trzech miesiącach przyznali, że istnieje SARS-2”.

Jak to powiedział kiedyś pewien wykładowca u nich na studiach? „Republika ludowa ma tyle wspólnego z republiką, co krzesło elektryczne z krzesłem”?

2

Gdyby istniała jeszcze kara śmierci, to gość by się kwalifikował, myślała młodsza inspektor Katarzyna Marzec, patrząc na monitor przekazujący obraz i dźwięk z sali przesłuchań komendy wojewódzkiej, w której Szymański w asyście Sulimy wyciskał z Antoniaaka kolejne zeznania. Za trzy zabójstwa, jedno ze szczególnym okrucieństwem, zbezczeszczenie zwłok i usiłowanie zamordowania policjanta sąd na pewno dałby mu czapę.

– Pruje się jak stara sukienka na ściegach – powiedziała do siedzącego obok Witka Nawrockiego. Nie chcieli dawać go na pierwszą linię, żeby nie odżyła sprawa Okońskiej. – Niby inteligentny gość, wcześniej działał racjonalnie, precyzyjnie

i z premedytacją, a teraz jest kompletnie roztrzęsiony i rozkojarzony – właściwie to myślała na głos.

– Zawsze był czuły na punkcie własnego wizerunku – zaznaczył komisarz. – Gdy dostał drobne wyróżnienie w konkursie literackim, pojechał aż do Ełku, żeby tam wejść na scenę i je odebrać. A przede wszystkim był niebywale wrażliwy na publicznie wyrażane opinie. Zrezygnował z pisania, bo go krytykowano na portalu internetowym, gdzie umieszczał swoje teksty.

– Dlatego tak naciskałeś, żeby go zdjąć podczas gali; licząc, że pokazówka go upokorzy i rozłoży psychicznie. – Popatrzyła na Witka z podziwem.

– Uhm.

W styczniu zastanawiali się już nad zaangażowaniem zespołu poszukiwań celowych. Wiciu to rozwiązał taniej, bez „łowców głów”, na miejscu, wyznaczając cele śledztwa i dając rozpęd akcji. Cieszyła się, że zamknie ryje hejterom. Splendor spadał też na nią i na komendę miejską.

Prokurator już na wstępie przyspilił Jacka Antoniaka kwestią jego romansu z Laurą Okońską przed dziesięciu laty, na co naprowadził go Witek. We wszelkich wcześniejszych rozmowach i zeznaniach oboje twierdzili, że się nie znają i nigdy się nie spotkali.

Wydawca na razie przyznał się tylko do zamordowania Okońskiej, na którą zrzucał winę za dwa wcześniejsze zabójstwa. Według niego nie uciekła po nich w listopadzie do Grecji, bo czekała, aż przygotuje dla niej kasę ze sprzedaży książki. Zaczęła jednak go szantażować, więc się jej pozbył. Zwłoki w zbiorniku z wapnem nie zostały jeszcze formalnie zidentyfikowane, nie przeprowadzono sekcji, ale Antoniak przyznawał, że jedno należą do Okońskiej, a drugie do Kasprzaka.

I to Laura miała sama wykończyć pisarza, który zaczął podejrzewać ją o uśmiercenie męża, Okońskiego. Kiedy w połowie czerwca za pomocą alkoholu i różowej kokainy spowodowała zgon Kasprzaka, zwróciła się do wydawcy, swojej byłej wielkiej miłości, o pomoc, a on ukrył zwłoki na daczce na Zarabiu. Wkrótce pojawił się Skorus, chcący wyrównać rachunki z Kasprzakiem. Antoniak zaproponował mu mistyfikację – będzie udawał Kasprzaka do czasu premiery *Smogu*, a Antonium w zamian wyda *Drewno* i przedstawi go jako pomysłodawcę heksalogii. Skorus zawsze zazdrościł byłemu przyjacielowi, więc chętnie wszedł w jego buty. Antoniak wymyślił pozorną śmierć Kasprzaka, aby nakręcić sprzedaż *Smogu*, lecz Laura poszła krok dalej, a on znowu musiał pomagać jej w sprzątaniu ciała. Musiał być dosyć silny, bo częściowo niósł, częściowo ciągnął zwłoki Skorusa do windy, którą zwiózł je do czekającego na podziemnym parkingu samochodu.

– Trochę za bardzo wygląda to na książkową intrygę – mruknął komisarz. – Sądzę, że Antoniak miał większy udział, a przede wszystkim, że działał z pełną premedytacją.

– Już podrzucenie denata w miejscu sadzenia lasu poświęconego noblistce wskazuje, że chciał nadać sprawie rozgłos, by śledztwo mocniej koncentrowało się na Okońskiej. Także później, gdy już ją usunie – zauważyła zastępczyni komendanta miejskiego.

– Być może. Ale niewykluczone, że jego ambicje fabularne dały o sobie znać. Nie oceniam tych ludzi według utartych zasad, bywają przesunięci względem rzeczywistości. To odrealnienie chyba zmieniło Antoniaka z wydawcy w bohatera powieści kryminalnych, przy czym wciąż uważał się jednak za ich autora.

– Różne narkotyki odkryte w paździeniku w organizmach Okońskiej i Skorusa wskazują, że to niekoniecznie ona go wykończyła. Może Antoniak – podsunęła. Witkowi byłoby pewnie łatwiej, gdyby Laura okazała się nieco mniej perfidną suką.

– Nie, nie. Kokaina pochodziła po prostu z różnych zakupów, z różnych partii, ale raczej to wyłącznie ona się nią zajmowała. No i prawdopodobnie część dosypała Skorusowi już podczas kolacji, dlatego Obolewicz w trakcie sekcji stwierdził, że denat zażył narkotyk kilka godzin przed zgonem.

– W kwestii śmierci Skorusa jest chyba najwięcej otwartych pytań: czy to czyn z premedytacją; czy zamierzona inscenizacja, o której Skorus wiedział, ale wymknęła się spod kontroli; czy przedstawienie było z nim uzgodnione, lecz Antoniak i Okońska lub sama Okońska oszukali go, bo od początku mieli inny plan na drugi akt. A jeśli to miało być tylko przedstawienie, to jak chcieli uzyskać stwierdzenie śmierci przez Doroza – wyliczała. – No i pozostaje napad na ciebie, do którego Antoniak się nie przyznaje i nie chce powiedzieć, komu go zlecił.

– Niektórych rzeczy być może się nie dowiemy. – Wzruszył ramionami Nawrocki. – To nie staroświecki kryminał, gdzie wszystkie wątki zostają rozwiązane w długim monologu detektywa.

– Dzięki temu każdy może wybrać wygodniejsze dla siebie wyjaśnienie, które lżej mu będzie znieść... – zawiesiła głos, a on popatrzył na nią uważnie.

Jeśli chciał coś odpowiedzieć, to przeszkodziło mu wejście Adama Hadyny.

– Cześć pracy. Jak tam nasz ptaszek, śpiewa? – spytał.

Pokiwali głowami.

– Wydawało się, że to ta dwójka przyjedzie z zagranicy, a oni leżeli w silosie z wapnem. Miałeś nosa, Wiciu, że w ostatniej chwili zmieniłeś kierunek śledztwa. Biel z przestępczości gospodarczej ma do ciebie romans. Nie wiem dokładnie, o co chodzi, wpadnij do niego.

Zastępca komendanta wojewódzkiego zakaszłał.

– Nie trzeba było do tych Chin jeździć – burknął.

Zajebisty żart. Czy on jest zupełnie pozbawiony empatii?

– Widzę, że pan nadinspektor jest na bieżąco z serwisami informacyjnymi – rzuciła kąśliwie.

– Tak, ale muszę z tego zrezygnować. Przeczytałem właśnie, że powstała wódka, która smakuje jak różowe wino i dobrze wygląda na Instagramie. Dokąd zmierzamy?

3

Z okna autobusu przystającego przed światłami w Alejach zobaczył połowę złotej kuli, umieszczoną na postumencie ustawionym na trójkątnych nóżkach przed Muzeum Narodowym. To musi być Kapsuła Czasu, o której czytał jeszcze przy okazji targów książki. Schowali wtedy do niej prace literackie i plastyczne przedstawiające wizje świata w przyszłości. Za sto lat mają zobaczyć, czy się sprawdziły. Już mniejsza, jakie wizje snuli ci ludzie, ale czy w ogóle będzie miał kto otworzyć kapsułę? – pomyślał gorzko Wit Nawrocki. W dzisiejszym „Kurierze Krakowskim” znalazł artykuł o „smogu śmierci”: unoszącym się nad Wuhan dymie z krematoriów, w których przez dwadzieścia cztery godziny na dobę palone są zwłoki ofiar koronawirusa.

Za to tutaj powietrze było czystutkie, bo od przedwczoraj wiał wiatr, z dnia na dzień coraz bardziej porywisty. Plac Łagiewnicki, inaczej niż w październiku, wyglądał jak wyczyszczony z ludzi i liści.

Marzena Stachurska otworzyła drzwi z plaketką Błękitnego Młoteczka, a na widok komisarza cofnęła się jak przed duchem, choć przecież wiedziała, że przeżył tamten napad, media o tym informowały. Nic nie mówiąc, poszła do tego samego co

poprzednio pomieszczenia, w którym panował taki sam bałagan. Nie usiadła, ale raczej osunęła się na krzesło.

Był już pewny. Wiedział też, że ona wie, iż on wie. Choć idąc tu, dopuszczał jeszcze inne wyjaśnienia. Zabawna sytuacja, można byłoby załatwić wszystko praktycznie bez słów.

Robert Biel, podkomisarz z Wydziału do Walki z Przestępczością Gospodarczą komendy wojewódzkiej, opowiedział mu o grupie handlującej ukraińskimi prawami jazdy. Internetowe ogłoszenie z numerem telefonu – należało zadzwonić, wpłacić dwa tysiące osiemset złotych przelewem na konto, a dane ze zdjęciem przesłać mailem. Dokument przychodził zwrotnie pocztą; polska drogówka nie mogła go zakwestionować, bo nie ma połączenia z ukraińskim rejestrzem.

Na początku stycznia złapali mieszkających w Krakowie trzech mężczyzn i jedną kobietę z Ukrainy. Identyfikowali połączenia ze znalezionym u nich telefonem, którego numer był w ogłoszeniu. Potem sprawdzali, czy osoba, która się do nich zwróciła, ma samochód i ewentualnie polskie prawo jazdy, bo mogła je wymienić na podstawie ukraińskiego dokumentu. Ich uwagę, choć bardziej jako ciekawostka, zwróciła Stachurska, która wprowadziła firmę wydawniczą. Kiedy wybuchła afera z publicznym aresztowaniem znanego wydawcy i oskarżeniem go o morderstwo, Biel uznał, że powinien podzielić się tą historyjką z Nawrockim.

– Widziałam, że macie Jacka. Ja mu nie pomagałam – odezwała się wreszcie Stachurska.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Była pani jednak przekonana, że zaraz o coś panią oskarżę.

– Tak, strasznie panikowałam, ale nie chciałam...

– Wystarczy. – Podniósł rękę, przerywając jej. – Przyszedłem spytać o coś innego, odwołując się do pani wiedzy na temat działania rynku wydawniczego. Jakie korzyści finansowe mógł

odnieć Antoniaka po usunięciu Kasprzaka, nie mając dostępu do jego konta?

Patrzyła na niego oszołomiona, pewnie bardziej tym, o czym nie chce rozmawiać, niż tym, o co pyta. Zamrugwała oczami.

– Ale... ale przecież to oczywiste. Już pan udowodnił, jak jest bystry – powiedziała, zacinając się. – Przecież to on wykonuje rozliczenia. Może zaniżać wpływy od dystrybutorów, zawyżać koszty, pozorować sprzedaż po cenach promocyjnych, gdy w rzeczywistości odbywa się po cenach okładkowych. W efekcie był w stanie zatrzymywać gros zysków dla siebie. Nawet gdyby ktoś miał wgląd w konto Daniela, to widniejące tam kwoty wydałyby mu się okazałe, bo sprzedaż jest olbrzymia. Nikt nie byłby w stanie tego skontrolować, nawet rodzina; nie poznaliby, że raporty są sfabrykowane. Jest tyle sposobów, żeby ukryć zyski w tym biznesie...

– Nie potrzebował do tego udziału kogoś z firmy, na przykład działu księgowości?

– Nie, raczej nie. Być może korzysta nawet z zewnętrznej firmy księgowej. Mógł przejąć to zadanie pod jakimś pretekstem i wykonywać samodzielnie. Kiedy zaczynał z Antonium, pewnie sam robił rozliczenia, więc to potrafi.

– Rozumiem.

– Zarobek zwiększyłaby sprzedaż praw do serialu. Heksalogia ma cechy, które mogą zainteresować tak diametralnie różnych inwestorów, jak Netflix i TVP. Od paru tygodni mówiło się w środowisku, że cztery, pięć platform kręci się koło niego. Licytując się i starając go przekonać, mogli nawet zatrudnić Antoniaka jako konsultanta czy współproducenta serialu z pensją dorównującą cenie praw, którą oficjalnie, w myśl umowy, miał się podzielić z Kasprzakiem.

Komisarz Nawrocki pokiwał głową.

– Ciągłe chyba może handlować tymi prawami – dodała. – Tylko gdzie będzie prowadził negocjacje, w sali widzeń?

Szedł do pętli tramwajowej w Łagiewnikach. Resztę dnia miał wolną, normalnie pewnie wróciliby do domu na nogach, to tylko cztery, pięć kilosów. Ten wiatr jednak zatykał oddech, a momentami wręcz osadzał w miejscu.

Dlaczego odpuścił Stachurskiej? Przecież nie jest policjantem po to, by szerzyć chrześcijańskie miłosierdzie ani nie gustuje w nadstawianiu drugiego policzka. Paradoks polegał na tym, że listopadowe pobicie mu pomogło. Zwierzchnicy potraktowali poważniej i samą sprawę, i jego pomysły na jej rozwiązanie. Przez współczucie przymknęli oko na relacje Nawrockiego z Laurą; nagranie gdzieś się zawieruszyło, a do biura spraw wewnętrznych nie dotarł nawet lekki śwąd. Trudno mu było również uważać tamto zajście za poważny zamach, bo napastnicy po pierwszym ciosie i upadku komisarza uciekli, a największą krzywdę zrobiło mu obmurowanie ogrodzenia.

A poza wszystkim, gdyby nie rozmowy ze Stachurską (tak samo jak z Jagodą i paroma innymi osobami), może nie starałby się zgłębić tego środowiska, zrozumieć mechanizmów i motywacji w nim panujących. Być może w sobotę, denerwując się, czy na gali pojawi się Kasprzak, nie zaczęłby czytać jego opowiadań, nie powtórzyłyby sobie tekstu Skorusa, a potem nie sięgnęłyby w tej samej antologii po *Zapach placka z wiśniami*, za który Antoniak dostał wyróżnienie? I nie przykułoby jego uwagi padające na drugiej stronie imię „Marzena”?

Antoniak nie mógł się spodziewać, że to go zdemaskuje; rozmaite elementy, fakty, cechy zaczerpnął od różnych znajomych, z którymi był luźno związany, może nawet zazdrościł im, co legło u podłoża późniejszych zachowań. Sporo pozmieniał, przede wszystkim miejsce zamieszkania obojga bohaterów. Stworzył psa,

który roznieca zainteresowanie kobiet swoim nowym właścicielem. Ale clou jego opowiadania stanowiło coś, czego wymyślić nie mógł i nikt by mu tego nie podpowiedział. I tylko Kasprzak mógł to zrozumieć, ale on najwyraźniej nie gustował w przechowywaniu pamiątek, powracaniu do przeszłości, a pewnie nawet nie przeczytał przed laty opowiadania kolegi znacznie słabiej niż on docenianego. Szkoda, bo to mogło go ocalić.

Ciągnięty przez psa rozmyślałem nad wymianą dywanu i wykładziny, przykrywających betonową wylewkę w mieszkaniu, na parkiet lub inny gładki rodzaj podłogi Rico od początku gubił sierść, a przed nadejściem lata było jej tak wiele, że pani Maria kpiąco zaoferowała mi udziernianie z niej swetra na drutach. Trudno było to pozbierać odkurzaczem, posprzątać powbijane głęboko kłaki, co rusz znajdowałem je na swoim ubraniu, a nawet w ustach. Dzięki firmie mogłbym dostać rabat na panele podłogowe, a facet poznany na targach w Katowicach przekonywał, że łatwo położę je sam, wzorując się na filmiku z YouTube'a.

Coś będą musiał zrobić też z wiejskim domem po dziadkach znajdującym się poza Miasteczkciem. Od ich śmierci minął rok, przeprowadziłem postępowanie spadkowe, zabezpieczyłem drzwi i okna, parę razy byłem tam wywietrzyć i posprzątać kurze, ale wkrótce muszę się zdecydować, czy go sprzedam, czy spróbuję zaadaptować na coś w rodzaju daczki.

Nie zauważyłem, że pierwszy raz poszliśmy właśnie w tamtym kierunku, a raczej ku usytuowanym bliżej, dwupiętrowym, kilkurodzinnym domom osiedla wybudowanego niedawno pośrodku pustki. „Jakie miasto, tacy deweloperzy i takie apartamentowce” – mawiała z przekąsem Marzena.

Nagle Rico przywarł płasko do ziemi, wyciągając przed siebie łapy i kładąc na nich łeb. Rozejrzałem się zdezorientowany: dotychczas zachowywał się w ten sposób, gdy spotykaliśmy na drodze lub mijaliśmy kręcąc się za płotem suchkę. Tutaj zza zakrętu wyszła kobieta. Nawet nie zdążyłem przyjrzeć się jej, kiedy pies skoczył tak raptownie, że wyrwał mi smycz i rzucił się na nią. Zszokowany, nie byłem w stanie zareagować, ale szybko pojąłem, że to nie atak. Rysiek wprawdzie uderzał ją przednimi łapami w piersi, aż się chwiała, ale przy tym lizał ją po twarzy, pischczał, merdając tak zamaszycie, że wydawało się, jakby to ogon wymachiwał psem, a nie odwrotnie.

– Teraz to pański pies? – spytała, kiedy Rico opadł na cztery łapy i zaczął biegać wokół niej jak oszalały, co jakiś czas poszczekując.

– Chyba to raczej ja jestem jego człowiekiem. – Przedstawiłem się, wyciągnąłem do niej rękę.

– Róża.

– Ładne imię, adekwatne.

Spojrzała na mnie z namysłem.

– Przez niemal półtora roku byłam jego człowiekiem. Ja i hm... mój były mąż. Niestety, po rozwodzie nie mogłam się nim opiekować. Studiuję i pracuję. Wracam do domu późno, zwariowałby sam od rana. Dzisiaj udało mi się wyrwać dwie godziny wcześniej i dzięki temu wyszłam na spacer.

– Szczęśliwy zbieg okoliczności – stwierdziłem, patrząc na jej wzruszenie.

Spacerowaliśmy we trójkę jeszcze przez dwie godziny. Na koniec zaproponowałem, że mogłaby w weekendy wyprowadzać Rico, a na urlopie nawet wziąć go do siebie.

– Prędzej nadejdzie uwiąd starczy i miazdźcyca niż mój urlop. Zresztą nie jestem pewna, czy dobrze zrobiłoby to Rysiowi i mnie. Już raz go porzuciłam. O jeden raz za dużo – ucięła.

Dopiero, gdy zobaczyłem ją siedzącą na betonowym słupku, zorientowałem się nie tylko, iż bezwiednie poszedłem tą samą trasą, co wczoraj. Uświadomiłem sobie również, że poprzedniego wieczoru Marzena nie zdominowała moich rozmyślań po raz pierwszy od dnia, kiedy powiedziała: „nie ma co dalej brnąć w tę pomyłkę”, i wyprowadziła się w ciągu niespełna dwóch godzin, bo ciuchy miała już spakowane, a że nigdy nie chciała brać ślubu, więc formalności administracyjno-prawne ograniczyliśmy do podziału kosztów ostatniego czynszu i rachunków za media.

Wspominałem za to Różę, naszą długą rozmowę, uczestniczące w niej linie jej brwi, ust i ciemnoniebieskich oczu.

– Niespodzianka – powiedziałem, kiedy już odzyskała równowagę po równie entuzjastycznym jak poprzednio przywitaniu Rico.

– Zmieniłam zdanie, żeby zamanifestować swoją kobiecość.

– Do twarzy ci z tym – odparłem, na co ona schyliła się do leżącego u jej stóp plecaczka, ekstatycznie obwąchiwanego przez psa. Wyjęła duże, plastikowe pudełko z czerwonym logo cukierni Pokusa, najlepszej w Miasteczku.

– Mam placek z wiśniami. Wiem, że Rysio go uwielbia, ale może i ty polubisz. – Patrzyła na mnie spokojnie; nie zalotnie, nie wyzywająco, bez stresu oczekiwania,

nadziei. Czuję słodki zapach ciasta i kwaskowy aromat owoców.

Kiedy kilka dni później kolejny wspólny spacer skończyliśmy w domu dziadków, kiedy wypuściliśmy Rico, aby poszalał sobie w rozległym sadzie, kiedy już po wszystkim leżeliśmy na kołdrze, a ja wodziłem palcem po pieprzykach przypominających swoim układem konstelację Lwa, chciałem powiedzieć, że dziewczyna z gwiazdozbiorem na brzuchu zabrała mnie do gwiazd, ale wydało mi się to zbyt pretensjonalne. Zamiast tego spytałem, co zrobiłaby tamtego dnia z plackiem, gdybyśmy nie poszli tą samą drogą.

– Zawsze jestem gotowa zjeść cały, bo szczęśliwie smakujące mi słodczyce idą w biust, a nie w biodra – odpowiedziała ze śmiechem.

KONIEC

OD AUTORA

1

Dziękuję Karolinie Karpińskiej i Danielowi Libusze, że wybili mi z głowy pierwotny pomysł na zawiązanie akcji. Dzięki temu nowy, ostatecznie wykorzystany przeze mnie, jest nie tylko zgodny z realiami, lecz także lepszy. Tej pierwszej zawdzięczam ponadto mnóstwo pożytecznych (a nierzadko również inspirujących) informacji o działalności Pogotowia Ratunkowego i numeru alarmowego 112. Daniel dorzucił sporo cennych wskazówek ze sfery szeroko pojętego bezpieczeństwa.

Jak zwykle kwestie prawne skonsultował Karol Gondro, komputerowe (zwłaszcza sposoby wymazania zapisów z monitoringu) – Maciej Kusina, a Tomasz Fleszar ogarnął całość.

Dziękuję ludziom zaangażowanym w proces wydawniczy, zwłaszcza wymienionym na stronie redakcyjnej *Smogu*.

Poza Agnieszką Więdłochą i Piotrem Roguckim wszystkie inne postaci w tej książce są wymyślone. Stykają się jednak z różnymi elementami rzeczywistości.

Sugestie doświadczonej redaktorki pochodzą z wywiadu z Marianną Sokołowską opublikowanego w listopadzie 2017 roku na stronie *dwutygodnik.com*, pt. *Skromna pani z wydawnictwa*. Niektóre wykorzystane w *Smogu* ciekawostki i anegdotki

o pisarzach wyszperała Kasia Kulik i umieściła na swoim blogu *Niebieska papużka*. Część aktualnych informacji z różnych sfer życia (ze szczególnym uhonorowaniem kulturalnych) zaczerpnąłem z „Dziennika Polskiego”, który jest pierwowzorem czytanego przez komisarza Nawrockiego „Kuriera Krakowskiego”. Historyjka o podrabianym zegarku marki Patek pochodzi z facebookowego profilu poświęconego Podgórzcu.

Serwis czytaniejestfajne.pl nieprzypadkowo przypomina lubimyczytac.pl – w zasobach obydwu czytelnicy umieścili mnóstwo tytułów i autorów, które bardzo przydały się Jagodzie i mnie. Forum Klubu Miłośników Powieści Milicyjnej MO-rd (<http://www.klubmord.fora.pl>) niestety już wygasło, ale wciąż można czerpać z niego wiedzę na temat kryminałów epoki PRL. Natomiast scenka z teatru, jaką Maria Kolber-Korpala opisała dawno temu na forum studentów politologii, zainspirowała pomysł urządzenia ceremonii rozdania nagród dla najbardziej ekscytującej serii kryminalnej XXI wieku. Z tamtego forum pochodzi też kilka innych bon motów. Niezwykle urozmaicone menu na trudne wieczory, gradację bólu (choć u niej najgorszy był inny) oraz historię pani Ireny zawdzięczam natomiast Ance Kulig-Kuciel i jej znajomym, a opis możliwości kilkunastoletniego opla – ekipie Przemka Płaczka.

Mam nadzieję, że nie obrazi się Pani, z której facebookowego profilu skopiowałem kilka lat temu anegdotki z jej pracy redaktorskiej (to ta, która usłyszała, że autor nie będzie pisał „pustych romansów albo kryminałów”, bo takie jest jej widzimisie, a od innego – że dąży, aby jej nazwisko znalazło się na okładce, czy – że jest gówniarą i ma zbyt wysokie mniemanie o sobie). Przystępując do pisania *Smogu*, zorientowałem się, że nie zanotowałem jej danych. Żał mi było zrezygnować z tych historii, bo Jagoda musiała mieć podobne przeżycia. Jeśli Pani Redaktor

(była bodaj również blogerką książkową) rozpozna tu swoje doświadczenia, bardzo proszę o kontakt.

Kapsuła Czasu powstała w opisanych w książce okolicznościach, ale przed Muzeum Narodowym stanęła dopiero w czerwcu 2020 roku. Wydział do Walki z Przestępczością Przeciwko Życiu i Zdrowiu (PPŻiZ) Komendy Miejskiej w Krakowie istnieje w rzeczywistości, ale jego przydomek – „papieże” – wymyśliłem. Podobnie jak pub Mary Ann przy Stradomiu. Za to bar Sami Am Am przy Wawrzyńca był jak najbardziej prawdziwy (tak jak i smak ogórka kiszzonego w ich kebabie), jednak został zlikwidowany. Cukiernię, która upiekła tort na urodziny Julii, przeniesiono z Dębnik na Kazimierz.

2

Bohaterowie *Smogu*, mówiąc o książkach i filmach, nie mają na podorędziu katalogów internetowych, nie mogą wyskoczyć do biblioteki, aby coś sprawdzić, a tym bardziej spytać mojego brata, Tomka. Dlatego w niektórych przypadkach niedokładnie pamiętają tytuły czy motywy literackie. Zresztą przecież w rozmowach nie zawsze przytaczamy pełny tytuł, imię i nazwisko autora czy dokładny cytat.

Książka Giovanniego Arpino, na podstawie której nakręcono najpierw włoski film, a później nieporównanie sławniejszą wersję amerykańską – *Zapach kobiety*, to *Il buio e il miele* (*Ciemność i miód*).

Zarówno Laura, jak i ja myśleliśmy początkowo, że czytane przed laty opowiadanie o kobiecie w wannie napisał Stephen King. Prowadzący podcast Strefa Mroku Rafał Jasiński bardzo szybko

ustalił jednak, że była to *Wanna Rogera Laymona*, zamieszczona w tomie *Gorętsza krew. Antologia horroru erotycznego*.

Książkę, na podstawie której nakręcono *Ciemną stronę miasta*, napisał Joe Connelly. W Polsce ukazała się pod tym samym tytułem, co film, a w oryginale brzmi on: *Bringing out the Dead*.

Felieton Tomasza Beksińskiego, o którym wspomina komisarz Nawrocki, w rzeczywistości nosił tytuł *Fin de siècle* – autor wymienił w nim „rzeczy, dla których warto było żyć”. Tekst ukazał się w pierwszym numerze miesięcznika „Tylko Rock” z roku 2000.

I to właśnie Beksiński przetłumaczył cytowany fragment *Dead Man's Dream* Procol Harum.

Komisarz Nawrocki niedokładnie pamięta trylogię o Mistrzu Marcina Świetlickiego – chodziło tam o przeciwstawienie kompaktów winylom. Te drugie mają zapach, a nawet duszę.

Powieść rozgrywająca się częściowo na krakowskim Kazimierzu, zahaczająca również o giełdę przy Grzegórzeckiej, to *Tracę ciepło* Łukasza Orbitowskiego.

Piosenka Wojciecha Młynarskiego cytowana przez Antonia jako *Najpiękniejszy list miłosny*, a historia o ofiarowaniu Niderlandów pochodzi oczywiście z *Potopu* Henryka Sienkiewicza.

Justyna opowiada o książce *Makler* Michaela Ridpatha, która zainspirowała Macieja Skorusa do starania się o pracę w londyńskim City.

Wiersz Czesława Miłosza *Dar*, na który natknął się komisarz, został odsłonięty 3 października 2019 roku na schodach przy moście Grunwaldzkim, nazwanych wówczas imieniem laureata Nagrody Nobla.

Powieści R.D. Wingfielda przywoływane przez Jagodę ukazały się w Polsce pod tytułami: *Frost i Boże Narodzenie* oraz *Frost i grudniowe ofiary* (to dwa różne wydania *Frost at Christmas*), *Frost i ciemna noc (Night Frost)*, *Frost i mordercze zadanie (A*

Killing Frost), *Frost i zastraszone miasto (A Touch of Frost)*, *Frost i sroga zima (Winter Frost)*.

Nawrocki myśli oczywiście o Kathy Bates, nagrodzonej Oscarem za rolę w kongenialnej ekranizacji *Misery* Stephen Kinga. Natomiast Stachurska oglądała w pierwszych latach wideo film *Dziewczyna z komputera*, z Kelly LeBrock w roli Lisy, dziewczyny idealnej, stworzonej przez dwóch wyalienowanych nastolatków.

Pomnik, obok którego Nawrocki z Antoniakiem siedzieli na Plantach, upamiętnia Bohdana Zaleskiego, jednego z pierwszych poetów romantycznych, przez współczesnych mu nazywanego patriarchą poezji polskiej, do którego utworów muzykę pisali m.in. Fryderyk Chopin i Oskar Kolberg, a Adam Mickiewicz poświęcił mu wiersz.

Laura wymieniła nazwisko bohaterki *Sokoła maltańskiego*, Ruth Wonderly, które pada na początku książki. Szybko jednak okazuje się zmyślone, a w rzeczywistości ta klasyczna femme fatale nazywa się Brigid O'Shaughnessy.

Autorką książki, z której korzystał komisarz Nawrocki w trakcie prelekcji dla seniorów, jest Hanna Dobrowolska, a jej pełny tytuł brzmi: *Wnuczkowa mafia. Powiedz im, co masz, a zabiorą ci wszystko*.

Markiza Isabelle de Merteuil, którą Jagoda porównuje do Laury Okońskiej, jest bohaterką powieści *Niebezpieczne związki* Pierre'a Choderlosa de Laclos. Została ona kilka razy zaadaptowana dla filmu, ale scenariusz najsłynniejszej ekranizacji, Stephen Frearsa z 1988 roku, oparto nie tyle na książce, co na jej wersji teatralnej.

Piosenka, którą Piotr Rogucki zaśpiewał w ICE, to oczywiście *Polowanie na wilki* Włodzimierza Wysokiego. Po raz pierwszy wykonał je wraz z Joanną Lewandowską w 2005 roku, podczas spektaklu *Ósmy grzech*, zorganizowanego na 25-lecie śmierci rosyjskiego barda w ramach 41. Studenckiego Festiwalu Piosenki.

Opowiadanie *Zapach placka z wiśniami* – o treści nieco odbiegającej od zamieszczonej w książce – otrzymało wyróżnienie w XIX Konkursie Literackim Gniewińskie Pióro 2020. Występujący w nim Rico również jest stuprocentowo prawdziwy; mieszka w Łańcucie i nieodmiennie gubi sierść w ilościach przemysłowych.

3

Jagoda nie zdecydowała jeszcze, czy pracę licencjacką na kierunku Zarządzanie Kulturą Współczesną na Uniwersytecie Jagiellońskim poświęci pseudonimom literackim oraz spółkom autorskim, kryjącym się pod wspólnym szyldem. Skłania się jednak ku temu pomysłowi, wszak temat jest ciekawy, czuje się z nim silnie związana emocjonalnie, a przede wszystkim zgromadziła już większość materiału. Poza informacjami podanymi w książce, na wydruku wręczonym komisarzowi znaleźli się również:

- Marion Chesney pod własnym nazwiskiem wydająca romanse, a jako M.C. Beaton – kryminały i sensacje; Poza tym miała sześć innych pseudonimów;

- E.C. (Edwin Charles) Tubb – pisarz fantastyki, science fiction i fantasy – w ciągu pięćdziesięciu lat kariery używał pięćdziesięciu ośmiu pseudonimów; niektóre były w dyspozycji wydawców, wykorzystywane też przez innych autorów: Volsted Gridban dzielony z Johnem Russelem Fearnem, Gill Hunt z Johnem Brunnerem i Dennisem Hughesem, King Lang z George'em Hayesem i Johnem W. Jennisonem, Roy Sheldon z H.J. Campbellem;

- Edith Pargeter, która pisywała pod własnym nazwiskiem, ale sławę uzyskiwała pod pseudonimem Ellis Peters – firmowała nim kryminały o braciszku zakonnym, Cadfaelu, ale i trzynaście innych

powieści; używała również pseudonimów Peter Benedict, Jolyan Carr, John Redfern;

– Eleanor Hibbert, która jako Victoria Holt pisała romantyczne kryminały, jako Philippa Carr – angielską sagę rodzinną, a jako Jean Plaidy – powieści o rodzinie królewskiej;

– Evelyn E. Smith pod własnym nazwiskiem publikująca science fiction i kryminały, a pod pseudonimem Delphine C. Lyons – powieści gotyckie i *nonfiction*.

– Iain (Menzies) Banks, który pisał literaturę piękną pod nazwiskiem Iain Banks, a przy *science fiction* dodawał między imieniem i nazwiskiem inicjał M.;

– Jack Cort – pseudonim do dzisiaj nieodkryty – przedstawiają go jako „tajemniczego pisarza pierwszej połowy XX wieku”;

– Lena Oskarsson uchodząca za pseudonim szwedzkiej psycholożki, ale podejrzewa się, że to Polka;

– Waclaw Niewisz – nie wiadomo, kim był ani czy to pseudonim; pozostała po nim jedna książka: *Oskarżenie z za grobu*; nie istnieje już wydawnictwo Wielki Sen, które wypuściło ją w ramach serii „Polski Kryminał Retro”;

– Zofia Małopolska – pseudonim emerytowanej nauczycielki języka polskiego z krakowskiego liceum, która napisała uroczy kryminał *Morderstwo za najbliższym rogiem*, o duecie detektywistycznym złożonym z policjanta i jego byłej szkolnej profesorki.

4

Jagoda na pewno dołoży do tego przykłady znanych osób z różnych dziedzin, piszących „na boku” kryminały:

– Stefan Kisielewski w latach pięćdziesiątych XX wieku planował cykl dwunastu powieści kryminalnych o plagach nękających obywateli Polski Ludowej (pijaństwie, chuligaństwie, erotomanii, obłądnie), nieistniejących według państwowej propagandy; ostatecznie stworzył cztery takie utwory: *Miałem tylko jedno życie*, *Kobiety i telefon*, *Przygoda w Warszawie*, *Zbrodnia w Dzielnicy Północnej*;

– Mikołaj Kozakiewicz poza licznymi poradnikami seksuologicznymi i pedagogicznymi napisał dwa kryminały: *Vesta nie zna litości* i *Tajemniczy obiektyw*;

– Jerzy Putrament napisał *Strachy w Biesalu*, Bohdan Arct – *Skradzionego człowieka*, Józef Hen – *Twarz pokerzysty*, Aleksander Ścibor-Rylski – *Złote koło* (tom z serii „Ewa wzywa 07”), Jerzy Urban – *Morderstwo stołowe*, Janusz Głowacki – *Dzień słodkiej śmierci*.

5

I wreszcie, znajdzie się tam kolejna część uzasadnienia teorii Jagody, że Daniel Kasprzak mógł być awatarem/szyldem dwóch lub więcej autorów:

– Patrick Lynch to wspólny pseudonim Philipa Singтона i Gary’ego Humphreysa. Napisał tak sześć thrillerów, a *Nosiciele* (oryg. *Carriers*) zostali zaadaptowani na film telewizyjny. Współpracowali również przy spektaklu teatralnym *Lip Service*.

– Kenneth Cameron był autorem sztuk teatralnych, powieści szpiegowskich i historycznych, a jego syn Kristian pisał powieści historyczne i fantasy jako Miles Cameron. Natomiast wspólnie, pod pseudonimem Gordon Kent, stworzyli serię thrillerów wojskowych z bohaterem Alanem Craikiem.

– John Case to para małżeńska Jima i Carolyn Hougan. Pod tym samym pseudonimem co kryminały piszą też o inteligencji finansowej – poradniki dla menedżerów i finansistów amatorów.

– Eliot Reed to Eric Ambler i Charles Rodda.

– Lynn Ericsson jest prosperującą od 1980 roku spółką Molly Swanton i Carli Peltonen, które napisały ponad pięćdziesiąt książek.

– Jerzyna Słomczyńska ma stopień naukowy doktora inżyniera Politechniki Warszawskiej, a jej mąż Kazimierz Słomczyński (bratanek Macieja – Joe Alexa) – profesora socjologii. Wydali dwa kryminały pod angielskim pseudonimem, ale podwójnym, małżeńskim: Jocelyn Brent i Kester Brent.

– Ilona Andrews to małżeństwo: Ilona i Andrew Gordon, piszący przede wszystkim powieści z gatunku *urban fantasy*. Ich styl jest połączeniem cech charakterystycznych dla fantasy, horroru oraz magii. Ilona, która wyemigrowała z Rosji, a męża poznała, studiując biochemię w USA, na co dzień zwraca się do niego per „Gordon”.

– Jan Kraśko tłumaczył Iana Fleminga i Johna Grishama, jest autorem sensacyjnych książek, m.in. *Tunel*, *Atomowy ring*, natomiast Elżbieta Zawadowska-Kittel była doktorem językoznawstwa i wykładowcą w Lingwistycznej Szkole Wyższej w Warszawie (pełniła również na uczelni funkcje dziekana i rektora) oraz współscenarzystką *Trójkąta Bermudzkiego*, a także przetłumaczyła z języka angielskiego wiele książek. Wspólnie, jako Jonathan Trench, napisali w latach 1982–1988 pięć kryminałów.

– Piotr Sopoćko i Teresa Markowska byli dramaturgami, autorami sztuk teatralnych, a jako Piotr Terence napisali *Pensjonat Idylla*.

– Gertruda R. Sławek to Jerzy Bojarski i Roman Jarosiński, którzy napisali: *W matni*, *Lzy Boga Słońca*, *Portret bez twarzy*.

– Jerzy Daniel to Jerzy Salecki wraz z Danielem Kuczyńskim, autorzy powieści sensacyjnej *Tydzień dla szpiega*.

– Pod pseudonimem Adrian Kazbał ukrywało się trzech, bardzo znanych skądinąd, autorów: Kazimierz Koźniewski, Zbigniew Safjan i Aleksander Minkowski.

– Krystyna Świątecka i Wiesław Godziemski jako Krystyn Ziemiński napisali wspólnie trzynaście kryminałów.

– Klub 76 to troje przyjaciół, których łączy rok urodzenia i fascynacja Islandią: Agnieszka Kamińska (tłumaczka), Mariusz Górczyński (informatyk) oraz Łukasz Musiał (wykładowca literatury). Każde z nich publikowało wcześniej krótkie formy prozatorskie, aż wspólnie – na trzy pary rąk, mieszkają wszak w różnych miastach (ale marzą o osiedleniu się w Rejkiawiku) – napisali thriller *Czarna dziura*.



Fot.: Tomasz Markowski

PAWEŁ FLESZAR – pisarz, dziennikarz, absolwent studiów politologicznych, dziennikarskich i medioznawczych na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po dwudziestu latach pracy dziennikarskiej postanowił spróbować dłuższych form. Debiutował w 2019 roku powieścią kryminalną *Powódź*. Za opowiadania był wyróżniany i nagradzany w konkursach literackich: „O Pióro Reymonta”, „Gniewińskie Pióro” i „Krajobrazy

słowa”, a także w konkursie „Gazety Wyborczej” i platformy Netflix na alternatywne zakończenie serialu *W głębi lasu* i książki Harlana Cobena. W 2019 roku został jednym ze zwycięzców konkursu „Kryminał na 100-lecie AGH” – jego opowiadanie *Dodatkowy rzut osobisty* ukazało się w antologii *Archiwum Groźnych Historii*. Choć poznał blaski i cienie pisania, nigdy nie przestał lubić czytania książek.

POLECAMY RÓWNIEŻ

PAWEŁ FLESZAR



PIEKŁO
NIEMO

www.harpercollins.pl

SPIIS TREŚCI:

Okładka

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Od autora

Autor